

PRZEKŁADY I STUDYA.

WŁADYSŁAWOWI I STANISŁAWOWI

f i o r e n t i n i m

bratnia pamiątka.

301529

PRZEKŁADY

I

S T U D Y A

Wacława Przybylskiego.



W I L N O.

Nakładem i Drukiem Józefa Zawadzkiego.

—
1 8 5 7.

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komite-
cie Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy.— Wilno,
3 Listopada 1856 roku.

Cenzor PAWEŁ KUKOLNIK.

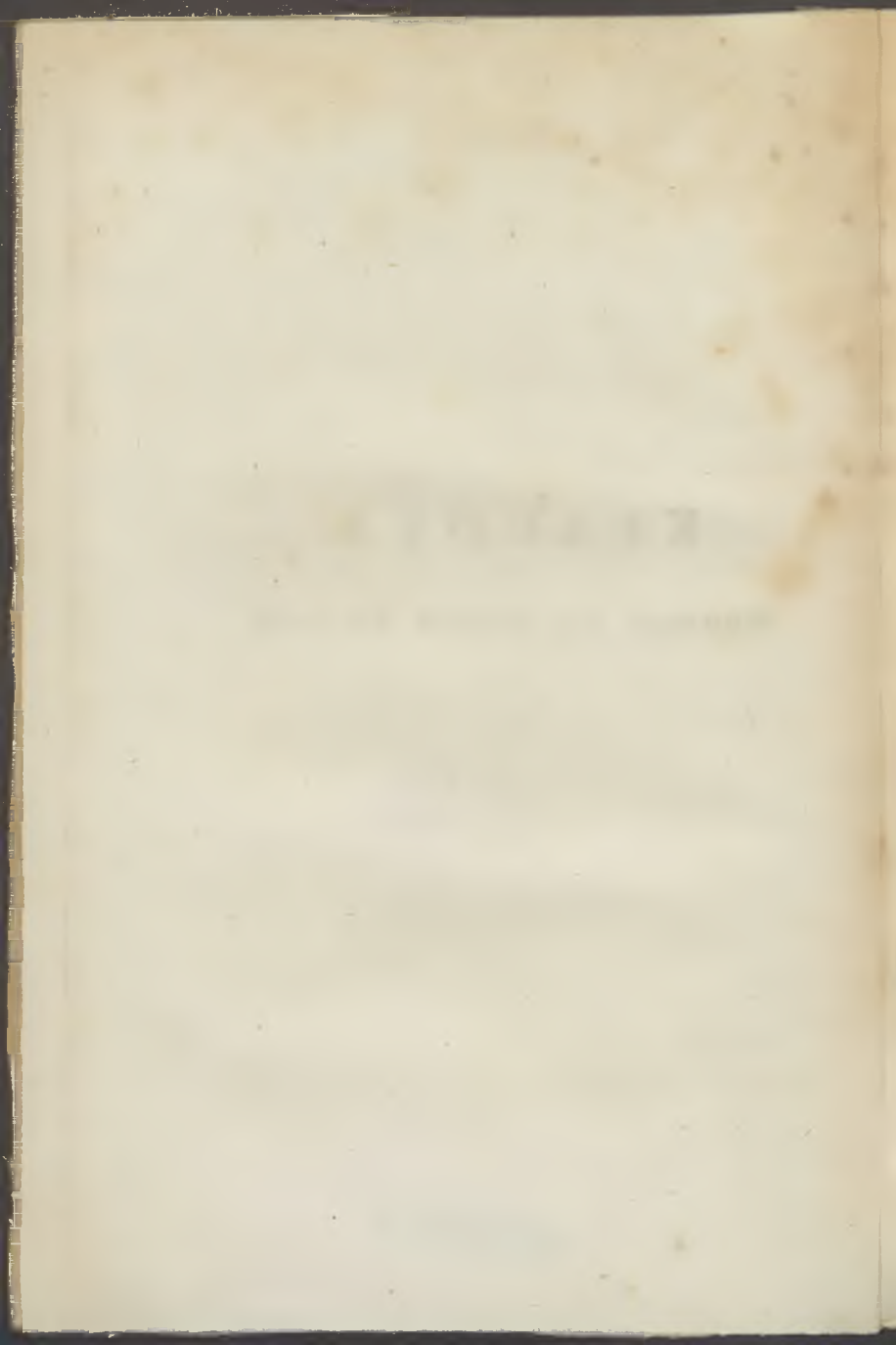


301 529

K. 1297/59

KLAUDYA,

Dramat we trzech Aktach.



AKT PIERWSZY.

Scena przedstawia dziedziniec folwarczny. — Na pierwszym planie szopa łączy dwa skrzydła, mające z każdej strony drzwi do mieszkań wiodące — dalej widać zabudowania folwarczne: stajnie, gumno, gołębnik. — W głębi parkan, za którym rozciąga się wiejska okolica. — Drzwi z prawej strony na pierwszym planie z trzema schodami prowadzą do mieszkania pysznej **Róty**, na lewo do dzierżawcy. — Środek sceny: studnia z korytem i rozstawioném dokoła narzędziem gospodarskiém. — Na awanscenie stolik i krzesła.

SCENA I.

FOWO I RÓŻA.

Fowo siedzi przy stole, przed nim tabliczka marmurowa i worek skórzany. — Zajęty liczeniem pieniędzy, spostrzegając wchodzącą z lewej strony **Rotę** — zdziwiony.

Fowo.

Ah!... właśnieśmy czekali łaskawej pani.

Róża (na schodach swego mieszkania, odwraca się.)

Ah!... to ty ojczu **Fowo**.

F o w o.

Tak się czas wlekle powoli przez te parę tygodni kiedyśmy was widzieć nie mogli — dziwna, że też ja sobie dać rady nie umiem gdy was niema w domu.

R ó ż a (*zdejmując salopę.*)

Cóż chcesz mój stary? zatrzymały mię w mieście interesa względem sukcesyi po moim mężu, (*odnosi salopę do mieszkania i wraca.*)

F o w o.

A kiedyż bo już raz się skończą te interesa? toć bodaj trzy lata jakeście owdowieli?

R ó ż a.

Wiesz przecie mój stary, że kto processuje, powinien uzbroić się w cierpliwość; lecz dzięki Bogu jużem się raz uwolniła od kłopotów: wygrałam proces.

F o w o.

Jak-to wygraliście? i na dobre wygraliście? bez apellacyi?

R ó ż a.

Bez apellacyi. (*Podchodzi i siada obok Fowo.*)

F o w o.

Patrzaj-no, toście teraz bogaci.... Pani Bózo? Folwarczek piękny, (*oglądając się dokoła z zadowoleniem*) a utrzymany co się nazywa aż lubo gospodarzyć.— No proszę, odpalić trzech pretendentów, toż ni mniej ni więcej, trzy tysiączki czystej wygranej.

R ó ż a.

Tak... blisko tego. — Ale jak tam ze zbiorem, czy wszystkoście zwiezli?

F o w o.

Właśnieście, moja liglarko, trafili na okrężne, za jakie półgodzinki, jak tylko mój chłopiec się dowie żeście z powrotem, zaraz przybieży prosić was, byście byli obecni.

R ó ż a.

A... to i wieczerzać i tańczyć będą?

F o w o (*poglądając na lewo.*)

Wszystko już prawie gotowe... baby już muszą garnki z pieca wyjmować, a kobziarza ledwie nie widać.— Ho! ho! na was wiele liczono. Dyonizy już dwa razy dzisiaj przybiegał, dowiadując się czyście nie wrócili.

R ó ż a.

Dyonizy Ronciat? proszę, a jemuż co?

F o w o.

Ba! ludzie gawędzą że i wesela nie długo czekać.

R ó ż a.

Zwolna, zwolna; już kiedy ja z panem Dyonizym czekamy wesela, to pewnie każdy na swoją rękę.

F o w o.

A kto was zgadnie czy tak myślicie jak mówicie, bo już jak sobie chcecie, niech was to nie obraża, a raz na tém trzeba skończyć. Młoda, ładna, bogata i wcale nie głupia kobieta, nie długo posiedzi we wdowim czepcu.

R ó ż a (*wstając.*)

W 28 roku, byłoby to jakoś nie składnie, nieprawdaż? Ja się nie zarzekam, ale niech-no napotkam męża coby mi się podobał.

F o w o (z intencją.)

Cóż myślicie, pani Rózo, żeby to jaki walny chłopak, tak sobie lat 25, przystojny, zręczny w pracy, coby wam nie siedział na fartuszkach ale waszego dobra oszczędzał.

R ó z a.

A już-ci!

F o w o.

Założę się, iż wam więcej chodzi o charakter niż o majątek; bo już kiedy się wzbogacić, to najchętniej z własnej niwy.

R ó z a.

To pewna, iż w moim położeniu mogłabym znaleźć męża, coby podwoił mój majątek, dla czegoż nie? jeżeliby przy tym była oszczędność w prowadzeniu się. . . .

F o w o.

Właśnie że to nie tak łatwo znaleźć. Bogate chłopcy, wiadomo, lubi to wydatkować, bawić się; a zaraz do miasteczka, na wieczorynki, a dawaj im piwa, kawy; wszędzie go spotkasz tylko nie w domu; a przy pługu, przy motyce lichy robotnik i to jeszcze czy go namówisz?

Już to czy gniewajcie się czy nie gniewajcie; a Dyonizy Roncial to nie dla was mąż. U niego co obraz to ofiara, a roztrzepany, a wyuzdany, jak zrzebiec bez wędzidła.

R ó z a.

Wiem o tym i dla tego nie chciałabym go jednak jego folwark z moim graniczy, piękny folwark jak mówią.

F o w o.

Jego folwark? jego folwark? a widzieliście.

R ó ż a.

Nie, nigdy tam nie byłam.

F o w o.

Toż mnie się rozpytajcie; biedactwo nie folwarczyna, rola chuda, piaski; nasze najlichsze grunta, lepsze jak u niego ogrody. A przy tém żadnego ładu; co to mi za gospodarz, co od 4 czy 5 lat w domu gościem i proszę mi powiedzieć dla czego?

R ó ż a.

Ja nie wiem... jak teraz to mię upewnia, że to z miłości ku mnie.

F o w o.

Toż nie pięć lat jak się znacie, a tylko sześć miesięcy, a przedtém gdzie się obracał? Wszędzie, byle nie w domu! Gospodarz któremu chata niemiła, kłaniam uniżenie — kto wie, może tam więcej długu, jak majątku.

R ó ż a.

Nie przeczę. — Ach jak to trudno zrobić dobry wybór!

F o w o (*z umysłem.*)

Wiecie co, nie przymierzając, wam-by trzeba takiego człowieka, jak mój Sylwan.

R ó ż a.

Już mi o tém mówiłeś. Twój Sylwan walny chłopiec, nic nie mam przeciw niemu, lecz on nic a nic nie ma, oprócz dwójga rąk do pracy.

F o w o.

A poczciwe serce, co was kocha? A dobre prowadzenie, z którego szczyć się będziecie? A jego znajomość rzeczy w zarządzeniu majątkiem? Już to proszę wierzyć, że czyta, pisze i rachuje dziesięć razy lepiej od waszego Dyonizego.

R ó ż a.

Wiem-ci to ja, że on nie głupi i nie brzydki, i żona jego nie zarumieni się za swego męża... ale on ma wadę, twój Sylwan, wielką wadę, która może dołączyć zrujnować.

F o w o.

Jakąż wadę w nim postrzegacie?

R ó ż a.

Jest on... nie wiem jakby to powiedzieć; zawiele wymagającym — brak mu wyrozumiałości dla kobiet. Nie daruje on najmniejszego uchybienia, wszystko źle widzi; byle co, już i o zalotność pomówi; a wkońcu zdaje mi się, że będzie zazdrośny i kłótniwy w pożyciu.

F o w o (*zakłopotany.*)

O co to, to nie prawda.

R ó ż a.

Że tak, to tak, ja jego znam, darujesz, postrzegam dobrze, a kiedy brać męża nie wedle serca, to już wolój z funduszem.

F o w o.

Wiem-ci ja dobrze, że mój Sylwan nie ma tych wad, ale... nie mówmy już o tém. Biedne chłopczysko,

gdzieżby on śmiał czego żądać. A jednak jeżeli on cię kocha, jeżeli pracuje tylko z tą myślą, że tém was zadowolni?

R ó ż a.

Doprawdy? tak sądzisz?

F o w o.

A niech-no mu wspomnę o twojem zamażpójściu, o Dyonizym — wnet się zachmurzy i jakby go febra trzęsła. (*Patrząc w głąb*) Zapytajcie się u jego matki, ona wam to samo powtórzy.

R ó ż a.

Daj pokój, nie wspominaj przed nią o takich dzieciństwach.

S C E N A II.

F o w o (*do Matki Fowo, idącej z głębi na lewej stronie z koszykiem w ręku, przykrytym płachtą.*)

Żono! czemuż się z Panią nie przywitacie, moglibyście o zdrowie zapytać?

Matka Fowo (*stawi koszyk przy studni, podchodzi do Róży i biorąc ją za ręce*)

Oh my się pierwiej widzieli, a co tu i pytać o zdrowie, dość spojrzeć na twarzyczkę.

F o w o (*zachodząc z lewej strony, do żony*)

Prawdęś powiedziała. Ale słuchaj-no kobieto, czyś uważała że nasz Sylwan od niejakiego czasu jakoś nie swój... jakby zasmucony, zgryziony.

Matka Fowo.

Rzeczywiście coś mu niedobrze... strach mię bierze żeby go febra nie napadła.

Róża (*pośrodku między niemi.*)

Cóż mu jest?

Matka Fowo.

Nie wiem, chłopak się na nic nie uzala.

Fowo.

Kto wie, może mu miłość wlała do głowy i chłopak się dręczy.

Róża (*cicho do Fowo.*)

Milczałbyś.

Matka Fowo.

Toż mię najbardziej kłopotci... kiedy mam prawdę powiedzieć.

Fowo (*do Róży.*)

Patrz, czy ją namawiałem, ja tylko pytam się (*do żony*) no powiedz mi kobięto?

Róża.

Dosyć już tego, coś mię to obchodzi, wasze tajemnice domowe.— Ale gdzież Sylwan?

Matka Fowo.

Sylwan z żeńcami na polu, nie długo z ostatnim wozem, ze snopem i z muzyką na dożynki przybędą.

Róża (*odchodząc w głąb*)

Pójdę na spotkanie.

Fowo.

Idźcie, idźcie, może to naszą panią rozerwie, dajcie że was nie przeprowadzam, ale ta złamana noga jeszcze mi nie chce służyć.

R ó ż a.

Czy jeszcze cierpisz?

F o w o.

Poboliwa trochę, lecz gospodarka na tém nie traci; ja się krzątam w domu, a Sylwan za to, za dwóch w polu pracuje.

R ó ż a.

Nie chodź i nie kłopotaj; *(do Matki Fowo)* a gdzież są żeńce?

Matka Fowo.

W polu pod leszczynniakiem — do widzenia.

R ó ż a *(wychodzi na lewo w głąb)*

S C E N A III.

F O W O *(siada przy stole), MATKA F O W O* *(podchodzi do niego, uderza go po ramieniu.)*

Matka Fowo.

Wytłumacz mi się co to wszystko znaczy? do czego zmierzają zapytania, któremiś mię przy właścicielce osypał?

F o w o *(wstając i uderzając sobie w czoło.)*

Kobięto! mam myśl. . . .

Matka Fowo.

Tém gorzej! zawsze masz ich zawiele, a to cię tylko z prostej drogi sprowadza.

F o w o.

Milcz kobięto! nie tobie mnie uczyć. . . . Cóżbyś na to powiedziała, żebym ja naszego chłopca z właścicielką ożenił?

Matka Fowo.

Cóż też bo tobie chodzi po głowie? naiwnyś, nie ma co.

Fowo.

A ja ci powiadam, że tak będzie, (*przedrzeźniając żonę, kiwa głową*) kiwaj nie kiwaj głową, a ja co wiem, to wiem, nasza właścicielka wcale nie byłaby od tego; ha, nawet chce bardzo.

Matka Fowo.

Roi ci się mój stary! Właścicielka zaraz postrzeże, że Sylwan nie myśli o niej.

Fowo.

Nie myśli o niej! dowcipnaś... patrzcie-no, jaki wybrydniś; nie myśli.

Matka Fowo.

Nasza pani młoda, dobra, ładna, uprzejma sobie kobiecina; ale niech to będzie między nami, ludzie jakoś gadają.

Fowo.

Głupstwa!

Matka Fowo.

Głupstwa jeżeli chcesz, ale znasz przecie Sylwana. Ma on swoje widzimi się i nie lubi, by kto miał co do powiedzenia o kobiecie na którą ma zamiary; i dość jednego wyrazu niepochebnego, a już go nie złapie. Więcój go to obchodzi niż pieniądze. I dla tego zważ to dobrze mój stary, nie radzę ci gmatwać się w zabiegi, z których dla ciebie nic nie przybędzie.

Fowo (z gniewem.)

Wiadomo, ty nigdy nie wierzysz! masz mię za głupca, czy co?

Matka Fowo.

Wcale nie; tyś sobie projekcista, trochę przebiegły, trochę ciekawy, trochę... ale wkońcu masz rozum i poczciwe serce... nie starajże się być gorszym jak jesteś, dla jakichś tam widoków.

Fowo.

To może Sylwan w kim innym zakochany, jak sądzisz? bo kiedym się pytał przed właścicielką, toś przecie potwierdziła.

Matka Fowo.

Rzeczywiście, lękam się. . . .

Fowo.

Lękasz się, a więc. . . .

Matka Fowo.

Ciszój, on nadchodzi.

S C E N A IV.

MATKA FOWO, SYLWAN, FOWO.

Fowo (do Sylwana wchodzącego z głębi z lewej strony, z widłami w ręku, w słomianym kapeluszu i w bluzie; widły zostawia przy wejściu.)

Wracasz wreszcie mój chłopcze; czy spotkałeś właścicielkę?

Sylwan.

Nie, mój ojczu, śpieszyłem was uprzedzić, przygotujcie wina, tuż za mną okrężne.

(Matka ociera mu pot z czoła.)

Fowo.

Ubierz się na prędcę, trzebać podać bukiet właścicielce.

Sylwan.

Co do tego, mój ojczu, ja się nie zdałem... Nieusposobionym motylkować przy kobietach... a to twoja rzecz.

Fowo.

Motylkować — no w czasbym się wybrał, oszalał.

Sylwan.

A może też i dla mnie już za późno.

(Matka przechodzi ku środkowi, wyjmując igłę i nitkę i przyszywa guzik do koszuli syna, Sylwan na to nie uważa, zajęty rozmową z ojcem.)

Fowo (zdziwiony.)

Chciałbym wiedzieć, co to ma znaczyć? za późno w 25 roku? za późno, kiedy się ma przed sobą królowę wszystkich róż?

Sylwan.

Tak, pyszną-Różą ją nazywają... nie przeczę, to bardzo dobra pani. Serce szczerę, ręka hojna... Mam dla niej uczucie szacunku, ależ nie wymagajcie odemnie więcej, niż dać mogę.

Matka Fowo (skończyła przyszywać, do męża)

A widzisz. *(Podchodzi do studni, porządkuje, później wysypuje warzywo z kosza.)*

F o w o.

O co ci chodzi, zkąd te przymówki?

Sylwan (*podchodząc do ojca, w środku*).

Ja bardzo was dobrze rozumiem, mój ojcze, od dwóch tygodni wmawiacie mi projekta, które mi w głowie nie powstały. A żem wczoraj śmiał się na wspomnienie mi o tém, nie chciałem przez to obudzić w was przekonania, że wasze myśli podzielał.

F o w o.

Wybrał się drożyć, właśnie jakby się kto za nim uganiał.

Sylwan.

Nie myślę wcale tego... Róża nie potrzebuje uganiać się za mężem, dość się za nią upędza, ale ja nie chcę należeć do tego polowania.... Każdy wedle siebie.

F o w o.

Cóż jój masz do zarzucenia? że trochę kokietka, że za śmiała, że lubi grzeczności, tańce, zabawy? A cóż w tém złego?

Sylwan.

Nic — ale nie dla mnie to żona, dla której jeszcze trzeba się wysilać, jakby ją zabawić i rozerwać.

F o w o.

Ho! ho! Zazdrośnys mój biędny chłopcze... ale zwał to dobrze, że w pożyciu to ci szczęścia nie przysporzy.

Sylwan.

Jestem zazdrośny, powiadacie. Dla czegoż nie, mój drogi ojcze? Chciałbym tak kochać moją przyszłą, żebym mógł być o nią zazdrośny, a że nie mogę być o panią Różę zazdrośny, więc jój nie kocham....

Lecz nie traćmy czasu... przyszedłem wam powiedzieć, że mamy czterech czy pięciu najętych żeńców, których trzeba opłacić, bo chcą zaraz odejść.
(*Idąc na lewo*) Ja pójdę po pieniądze.

F o w o.

Nie trzeba, mam je przy sobie. Co roku ta sama historia, nie mogliby poczekać; koniecznie w same dożynki kłopotaj się z nimi, (*siadając przy stole*) zanotowałeś co się im należy?

Sylwan.

Bez tego pamiętam: (*ojciec kreskuje na tabliczce*) za 15 dni zyzowatemu z Busaku, za 13 i pół Dyonizemu z Marenbergu, za 20 Stefanowi, tyleż jego bratu... w ogóle.

Matka Fowo (*z poza szopy*).

Macie tu jeszcze dwoje, co się dopominają swęj płacy, pilno im do domu.

Sylwan (*ze drzeniem*).

A któż tam?

Matka Fowo.

A to ten stary z wnuczką, (*poruszenie Sylwana, Matka Fowo z głębi*) Zbliźcie się, dobrzy ludzie, zaraz wam zapłacą. (*Siada przy studni i obiera warzywo*).

S C E N A V.

FOWO, SYLWAN, MATKA FOWO, RÉMY I KLAUDYA *z sierzpa-
mi w ręku, KLAUDYA z małym workiem.*

R é m y (*zdejmując czapkę*).

Przebaczcie, że was kłopotimy, ale chcielibyśmy

dzisiaj jeszcze wrócić do domu, a ze sześć wiorst mamy przed sobą.

Sylwan.

Dzisiaj — i nie myślcie o tém!

Fowo (*licząc pieniądze*).

Wszystko jedno, zawsze się was opłaci, jeżeli tak chcecie... (*Przypatrując się Rémy*.) Ba! toż ojciec Rémy, człowiek starzej daty, 80 lat, nie prawdaż?

Rémy (*prostując się*).

Ośmdziesiąt dwa lata, a jeszcze stajemy do żniwa.

Sylwan.

Stary wiarus, mój ojciec, był niegdyś podoficerem, i otrzymał wychowanie.

Rémy.

Nie lepsze od was panie Sylwan!... czy to na wojnie, czy na niwie, przy pracy zawsze się pełniło szczerze swoją powinność.

Fowo (*z umysłem, patrząc na Klaudyę*).

Zapewne, przy pomocy wnuczki, co was wyęcza przy pracy. Ja nie mogę się na was użalać, obojeście robili, co mogli.

Matka Fowo (*przechodząc na prawo — do Klaudy*).

Jakże ty zmęczona, moje dziecko; musicie wraz z twoim dziadkiem cokolwiek przekąsić przed drogą.

Klaudya.

Dzięki ci, Matko Fowo, nic nam nie potrzeba.

Matka Fowo.

Proszę mnie słuchać! (*Patrząc na Sylwana, który ją bł-*

ga na migi by należała o opóźnienie, odchodzi do swego zajęcia przy studni).

F o w o.

Mówiliśmy tedy, że się wam należy za 20 dni, jak się zdaje?

Sylwan (*stojąc przy nim*).

Za trzydzieści mój ojciec.

Klaudia (*przy swoim dziadku*).

Mylicie się panowie, wszystkiego za dwadzieścia pięć.

Rémy (*patrząc na Klaudya*).

Dwadzieścia pięć dni, ani mniej, ani więcej.

F o w o.

Nie przeczę... Ile chcecie za to?

Rémy.

Policzcie sami, wiecie przecie co się innym płaci.

F o w o.

Co się innym płaci. Zaraz! aleście wy we dwoje nie zrobili, tego co...

Rémy.

Tyle co dwóch, prawda, i dla tego nie wymagamy płacy za dwóch robotników.

F o w o.

Patrzaj-no! ja myślę, że nie żądacie tego.

Rémy (*ożywiając się*).

A więc, cóż będzie? zkąd nieporozumienie, pracowaliśmy we dwoje, a żądamy płacy za jednego; a wy to znajdujecie niesprawiedliwém.

Sylwan (*wraca od studni, gdzie czerpał wodę dla matki*).

Niema tu żadnego nieporozumienia! 25 razy 50 su, czyni równo 62 franki i 50 centymów, ... a nawet jeżeliby mi ojciec chciał wierzyć...

Fowo.

Zwolna, zwolna — jak u niego wszystko się pali, patrzaj-go, 62 franki za robociznę takiego dziada.

Rémy.

Dobrze, a moja wnuczka... czy to już za nic się nie liczy?

Fowo.

Twoja wnuczka, twoja wnuczka, może być najszczęśliwą w pracy, jak powiadają — ależ to słabe i wątle, a przy zbiorach kobięca robota nie wiele na co się przyda...

Sylwan (*przerywając Rémy, który chciał mówić*).

Darujcie mi ojcze, że wam zaprzeczam; lecz robocizna takiej kobiety, jak Klaudya, to się powinna liczyć. — Na prawdę, chcecie postąpić wedle sumienia, to zapłaćcie im jak za półtora robotnika.

Fowo.

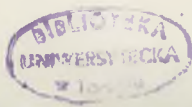
Zaraz! no proszę!... tego tylko czekałem.

Klaudya.

My nie wymagamy tyle, ale zrobiliśmy umowę z P. Sylwanem, i téj się trzymamy;... postawiono nas na zagonie, i nie zostawaliśmy od innych.

Fowo (*wstając do Klaudyi*).

Ty moje dziecko, mówisz przynajmniej rozsądnie. Jeżeliście zrobili z moim synem umowę — to niema



co; już ja jęj zrywać nie będę, i nie myślę ganić go za dobre serce.... Tyś nieszczęśliwa, on ulitował się nad wami, i dobrze zrobił. Nie wielu się znajdzie, co by takie robili umowy. Wiadomo, dwa sierpy na jednym zagonie, nie wielka pociecha, to tylko przeszkoda dla innych żeńców, lecz w końcu....

Sylwan (z prawej strony ojca).

Wyście chorzy, mój ojcze, i nie mogliście pójść w pole zobaczyć roboty, ale ja, ja to sam widziałem idąc z sierpem w rękę po przedzie gromady żniwiarzy, i zaręczam, że ta dziewczyna tyleż zrobiła, co dobry parobczak. Onaby pierwiej skonata przy pracy, niżby pozwoliła, by jęj dziadek przyzostał od innych. Oni więc we dwoje dzieląc się pracą, i odpoczywając na przemian, więcej zrobili niż każdy najmita; sprawiedliwość więc każe, by ze względu na ich ubóstwo, na ich zmęczenie i pocziwe chęci do pracy, zapłacić im po trzy franki od dnia, i ty zrobisz to mój ojcze, boś pocziwy człowiek; a jeżelibyś chciał być jeszcze sprawiedliwszym, jak nasz Ojciec niebieski, co rozmierza swe dobrodziejstwa wedle niedoli i potrzeby, optaciłbyś ich, licząc po półtora dnia za jeden.

Fowo (z gniewem, podnosząc głowę).

Zaraz, a później może po dwa dni każesz liczyć. Oszalał chłopiec czy co, ze swemi napaściami? Czy chcesz mojej nędzy a razem i swojej, że bierzesz stronę najmitów, przeciw własnemu ojcu.

Remy (zatrzymując giestem).

Dość tej gawędy, wam Sylwanie dzięki za dobre

serce... lecz to tylko jałmużna, a my ręki jeszcze nie wyciągamy. Człowiek w nędzy, to prawda, ale za pozwoleniem państwa, ma coś droższego od grosza. Opłaćcie nas wedle umowy, a będzie z was.

Sylwan (*cicho do ojca*).

Ty nie wiesz ojcze, jacy to zacni ludzie, żebyś jeszcze spójrzył na nich przy pracy, toby ci się serce krajało z litości... Bo, bo to boli pomyśleć, że są biędne ludziska, tak nieszczęśliwi, iż muszą pracować nad siły, chociaż na to i wiek nie pozwala. Ośmdziesięcioletni starzec i młoda kobieta żąć przez dzień cały, to zanadto — a tu słońce głowę pali, a wiatr gorący, z południa, gardło wysusza, oczy wypieka. Nie prawdaż? ciężka to dola, i nigdy jałmużna nie będzie bardziej w porę ofiarowaną, wierząc cię mi ojcze.

Fowo.

No dobrze, dobrze, ty mi wszystko wmówić potrafisz, (*do Rémy i Kludyi*) Zgoda na trzy franki, mój chłopiec powiada, że to sprawiedliwie; a u mnie sprawiedliwość przedewszystkiem. (*Na stronie podchodząc do stołu*) Trzeba się śpieszyć, Sylwan gotów później dowieść, że się im po trzy i pół franki należy.

Sylwan (*do Kludyi*).

Przecież nas tak nie opuścicie! zostańcie na zabawę, przy wieczerzy dziadek się pokrzepi i przenocujecie u nas. Matka moja życzy sobie tego...

Matka Fowo (*ze swego miejsca*).

Tak, tak, stary nie podola po całodzienną pracę iść w drogę.

R é m y.

Dzięki wam dobrzy ludzie za gościnność, ale nam trzeba wracać, chłódkiem jakoś idzie się raźniej; lecz byście nie sądzili, że nie oceniamy waszjej uprzejmości; zostaniemy na czas jakiś, ja spotkam okrężne, pokropim snopek ostatni. Klaudya tymczasem pomoże kobietom przygotować wieczerzę, *(do Sylwana, biorąc pieniądze)* Biorę nie licząc, a wam panie Fowo dziękuję.

F o w o.

Pieniądze zawsze liczyć potrzeba.

R é m y *(przyglądając się pieniądzom.)*

Więcej tu jest niżesmy wymagali. Lecz jeżeli żałujecie tego, coście... *(chce oddać pieniądze).*

S y l w a n.

Nie, bynajmniej; ojciec mój kontent że mógł z wami dobrze skończyć.

R é m y, *(oddając pieniądze Klaudyi.)*

No — Poczciwiście ludzie, niech was Bóg zachowa od złego! Ja idę na spotkanie żeńców.

(Odchodzi w głąb).

K l a u d y a *(do Matki Fowo).*

Rozkażcież mi teraz Matko Fowo, w czém mogę być wam pomocą.

Matka Fowo *(odbierając jej sierp i mały worek.)*

Wiesz co, moje dziecię, zawiń się i skończ myć naczynie, zrobisz tém nam wielką ulgę; później wezmiesz obrusy i nakryjesz do stołu w mieszkaniu naszjej właścicielki, tam będzie swobodniej i wygodniej. *(Pokazując na drzwi prawe, sama odchodzi na lewo).*

Fowo (zbierając ze stołu pieniądze, do Sylwana).

Ja opłacę innych najmitów, a ty się przygotuj tymczasem mój Sylwanie; tylko się śpiesz.

Sylwan.

Za chwilę mój ojczu.

Fowo (wychodzi w głąb na lewo).

S C E N A VI.

KLAUDYA I SYLWAN.

(**Kludya**, koło studni winduje wiadro, **Sylwan** miał już wychodzić, lecz zobaczywszy jak to z męczarnią Kludyi przychodzi dźwigać wodę, zatrzymuje się).

Sylwan.

Wy się znowu dręczycie Kludyo, zamiast wypocząć. O! nasze kobiety, to nie umieją tak pracować, a jeszcze we żniwa. Po miesiącu téj szalonej pracy, wy dobić chyba siebie chcecie.

Kludya.

(Smutna, lecz spokojna, mówi głosem łagodnym, lecz pewnym).

Nie zważajcie na mnie, panie Sylwanie.

Sylwan.

(Rzuca widły, podchodzi do studni, wyciąga wiadro i wylewa wodę do małego stojącego szaflika).

Darujcie mi, ale ja muszę na was zważać — Bo u kogo tylko serce na miejscu, jakżeby nie uszanował waszej pracy i cierpliwości, z jaką wszystko znosicie.

*(Klaudya, bierze talerze stojące na brzegu studni, płó-
cze je w szafliku, później wyciera nie patrząc na
Sylwana, który wraca na prawą stronę.)*

Ona mnie nie słucha! a nawet nie chce mnie słuchać,
to widać z jej twarzy... Wiele sobie lat liczycie
Klaudyo?

Klaudya *(ciągle zajęta).*

Dwadziesty pierwszy rok.

Sylwan.

I czy to pierwszy raz jesteście przy żniwie?

Klaudya.

Już trzy lata z kolei.

Sylwan.

Musicie być bardzo biędni?

Klaudya.

Bez wątpienia.

Sylwan.

Musiałaś być małą, kiedy cię ojciec i matka
odumarli?

Klaudya.

O tak — miałam lat pięć.

Sylwan.

A twój dziadek, czy ma choć kawałek gruntu,
czy ogrodu?

Klaudya.

Gdzież tam, nawet chaty nie mamy, mieszkamy
na kacie.

Sylwan.

A czy daleko ztąd mieszkacie?

Klaudia.

Jak mnie się zdaje, będzie koło sześciu wiorst.

Sylwan.

A tak, do waszój wioski będzie więcej sześciu wiorst.

(Klaudia wytarłszy talerze, rozwiesza serwetę na krzeselku, a sama odchodzi na lewo, z kąd wraca wkrótce z koszykiem z bielizną stołową i kubkami — Sylwan sam do siebie.)

Niema sposobu z nią się rozgadać. — Już nie wiem wreszcie o coby ją więcej pytać. Biędna, jaka ona smutna, pomimo swój niby spokojnej twarzy. Ona musi być bardzo nieszczęśliwą... *(Do Klaudyi, która myje kubki w szafliku, a później liczy bieliznę.)* Czy macie krewnych w waszój stronie?

Klaudia *(gra to samo).*

Nikogo już nie mamy.

Sylwan.

A więc was tylko dwoje, ty i dziadek.

Klaudia.

Tak — tylko dwoje.

Sylwan.

Musicie mieć jednak sąsiadów, co wam pomagają w pracy?

Klaudia.

My od nich nie wymagamy niczego.

Sylwan.

Żebyście się też w nasze strony przenieśli, możeby też wam lepiej było?

Klaudia.

Tego nie wiem.

Sylwan.

Pracę, mielibyście zawsze w naszym folwarku...
A przy tém... moja matka to dobra kobieta; jeżeli-
byście, czego chroń Boże, zachorowali — onaby wam
przyszła z pomocą...

Klaudia.

Ach! to prawda, że ona bardzo dobra.

Sylwan.

Pyszna-Róża, także znośna sobie kobiecina.

Klaudia.

Powiadają, że bardzo litościwa.

Sylwan.

No i cóż? czyż to was nie nęci, przenieść się
w nasze strony?

Klaudia.

Nie, mój dziadek już się tam obył.

Sylwan.

I chcecie tam zostać?

Klaudia.

*(Przechodzi przed Sylwanem i robi poruszenia pełne
szacunku, ale i bólu zarazem.)*

O! dla Boga... tak.

(Wychodzi, wynosząc bieliznę przez prawe drzwi.)

S C E N A VII.

SYLWAN sam. (*poglądając na prawo.*)

Musiła zwrócić się gdzieindziej, zapewne ma jakiego konkurenta w swoich stronach, taka piękna i poczciwa dziewczyna nie tylko mnie jednemu musiała wpaść w oko. Niech Bóg ją szczęściem nagrodzi — tego tylko pragnę.

Zamyśla się i staje przed drzwiami pysznej-Róży, jakby w oczekiwaniu, czy nie wyjdzie Klaudya.

S C E N A VIII.

DYONIZY RONCIAT (*wystrojony, nie kontent ze spotkania Sylwana*).— SYLWAN (*ciągle na tém samém miejscu*).

Dyonizy (*dochośnym głosem.*)

Dzień dobry panu Sylwanowi Fowo!

Sylwan, (*z gościem.*)

Dobry dzień panu Dyonizemu Ronciat!

Dyonizy.

A cóż, właścicielka przyjechała wreszcie?

Sylwan, (*odwraca się nie patrząc nań.*)

Powiadają; nie widziałem.

Dyonizy.

Słyszałem kobzę, okrężne, musi być blisko. Już to ja tu zaczekam, djablem się zhasał, a nie darmo, i mój konisko także. Już to dziś trzeci raz przebiegamy tę drogę od mojej wsi tutaj.

(Sylwan zamysłony, nie słuchając go, zabiera widły i wychodzi na lewo.)

S C E N A IX.

Dyonizy (*siada na prawo, zdejmuje wielkie kamasze skórzane i rzuca w kąt.*)

Ten błazen przyjął mnie oziębłe. — Zachciało mu się żenić z właścicielką. Jego ojciec już się z tém chwali i dał mi to do zrozumienia. . . . Cóż u licha, żeby mi to biédactwo zabrać miało kasek z pod nosa! . . . A posag okrągły i kobiétká śliczna, cała młodzieź za nią szaleje. To jakoś pochlebnie zyskać pierwszeństwo, a jak pozyskać, to do mnie należy. — Otrzymamy pierwszeństwo.

S C E N A X.

DYONIZY I KLAUDYA.

(*Klaudia wchodzi przez drzwi z prawej strony, podchodzi do studni, i nie postrzegając Dyonizego, zaczyna myć naczynie.*)

Dyonizy (*na stronie, postrzegając ją.*)

Co to za dziewczyna? jakaś nowa służąca? Trzeba z nią pomówić . . . najpierwíej trzeba zawsze pozyskać przychylnóść służących. (*Wołając Klaudyę.*) Powiedz mi dziewczyno, (*wychodzi z serwetą w rękę; poznaje Dyonizego, drży cała, upuszcza serwetę i zostaje nieruchoma; Dyonizy wydaje okrzyk i cofa się jakby z przerażeniem.*) Co to ma znaczyć? Czégoż tu przy studni, i co tu robisz Klaudio?

Klaudia (*zimno.*)

A wam co do mnie panie Ronciat.

Dyonizy.

Co do mnie, co do mnie... tak, tak... ja nie do was nie mam... ale nie spodziewałem się ciebie tu zobaczyć.

Klaudia (*osuwając się na krzesło*).

Ja mniej jeszcze.

Dyonizy (*bardzo przestraszony*).

A... no i cóż? jakże teraz wam zdrowie? od czasu, jak wtedy, kiedy to... bez wątpienia, że (*wyciera sobie twarz*) ach jak tu gorąco! nie prawdaż?

Klaudia, (*wstając*).

Czy tylko tyle mieliście mnie powiedzieć Dyonizy? nie warto było dla tego odrywać mię od roboty. (*Bierze serwetę i zaczyna wycierać kubki*).

Dyonizy.

Ja nie chciałbym wam przeszkadzać Klaudio, macie pewno pilną robotę? Ale powiedzcie, jaki tu macie obowiązek Klaudio? Czy przyjąłeś tu służbę? to pewno nie dawno?

Klaudia.

Najęłam się tylko do żniwa, i dziś wieczorem wracam do domu.

Dyonizy.

Najęłaś się do żniwa! a więc to o tobie mówiono, że tak dzielnie się trzymasz przy robocie? Żeby to ja wiedział, że to ty...

Klaudia.

Nie przyszedłbyś tu dzisiaj.

Dyonizy.

Nie powiadam tego... przeciwnie... lecz musicie wielkiego doznawać niedostatku, kiedy tak pracujecie? jeżeli rzeczywiście nędza wam dokucza... byłoby moim obowiązkiem...

Klaudia.

Cóż zrobić.

Dyonizy.

Przyjść wam z pomocą.

Klaudia (*upuszcza serwetę, podchodzi z godnością*).

A jakie masz prawo, kto cię upoważnił mię wspierać Dyonizy Ronciat?

Dyonizy (*na stronie, z radością*).

Do diabła! ja sądziłem, że ona sama mię będzie dręczyć... aż tu jakby sobie nie przypominała wcale tego... Ach! nie darmo, tém gorzej, teraz na mnie kolój. (*głośno*) Cóż to? czy już nic ci mnie nie przypomina?

Klaudia.

Nic wcale.

Dyonizy.

Ale — tyś zawsze dumna! ale duma do niczego cię nie doprowadzi; Klaudio! ja rozumiem to dobrze, żeś przyszła tu zemścić nademną?

Klaudia.

Czy nie za późnoby było? po pięciu latach...

Dyonizy.

Po pięciu latach... czego... jak to powiedziałaś?

Klaudia.

Po pięciu latach zapomnienia.

Dyonizy.

Zapomnienia z mojej strony, wszak to chciałaś powiedzieć?

Klaudia.

Jak z jednej tak z drugiej strony wzajemnie!

Dyonizy (*wpatrując się w nią*).

Doprawdy? cóż robić, tém lepiej, jeżeli to wzajemne, to możemy się teraz porozumieć i pogodzić ze sobą. Wiesz co Klaudio, kończmy krótko a węzłowato, już to nie darmo... powiedz lepiej ile żądasz na zadosyć-uczynienie za...

Klaudia (*wpatrując się weń nawzajem*).

Za co?

Dyonizy (*wahając*).

Za... hm! hm!

Klaudia (*z siłą i boleścią*).

On już umarł!

Dyonizy (*odkrywając głowę*).

Umarł!? (*Na stronie z ręką na sercu*) niema co, zawsze mię to obchodzi, tak jakby mnie kto ścisnął za serce.

Klaudia.

Umarł zeszłego roku, słyszysz to Dyonizy! a tyś nawet o tém nie wiedział. Przyszedł na świat sierota, chociaż miał ojca — opuścił nas, a tyś nawet garścią piasku nie posypał trumienki własnego dziecięcia. Żył w nędzy razem ze mną i umarł z nędzy, ale nie z mojej winy, ... a żem go przeżyła, to także nie moja wina. Czyś ty wspomniął kiedy o nim? ... Póki on żył, 20 roku wciąż przez trzy lata

prosiłam proboszcza by pisał do ciebie, przypominając ci twoje obietnice... tyś nic nigdy nie odpowiedział. Od roku już nie miałeś listu, powinieneś był przecie zrozumieć co to znaczy. Biedna Klaudya straciła już całą swą pociechę i wszystkie nadzieje, jej nic już teraz nie trzeba.

Dyonizy.

Cóż chcesz... biedna Klaudyo!... to twoja własna wina, powinnaś była częściej pisać, lub wkońcu przyjść do mnie.

Klaudya.

Ja?

Dyonizy.

Albo przynajmniej — jak uważasz... przysłać mi swego dziadka.

Klaudya (z dumą).

Mojego dziadka? z jego charakterem? dawnego wiarusa, ośmdziesięcioletniego starca? którego jedyną dumą, iż nigdy nie wyciągał ręki, a jedyną nadzieją skonać pracując koło roli; i tybyś chciał widzieć go żebrzącego o chleb dla mego dziecięcia, i u kogoż? u ciebie Dyonizy, coś ją uwiódł w piętnastym roku życia? u ciebie, co dla tego by ją wprowadzić w obłąd, używał obietnic, prośb, pogroźek, jakie tylko człowiek prawdziwie kochający uczynić ma prawo? Wszak żebym wymagała, zobowiązałbyś się wtenczas na piśmie ożenić się ze mną, czyż nie ofiarowałaś mi téj rękojmi? czyż ja nie odmówiłam? O! ja byłam dzieckiem nieświadomém, głupiém, ale zawsze jednak więcej miała serca niż ty poczciwości, bom nie śmiała cię obrazić twym słowom

nie wierząc. I ty chciałeś, by mój dziadek, który wiedział o wszystkiém, przyszedł ci przypominać twoje obowiązki. Oh nigdy! biedny starzec jeżeliby miał dożyć, by pójść do ciebie, to tylko dla tego, by cię zabić. *(z boleścią)* A bezemnie... jeżelibym go nie powstrzymywała, kto wie czyby nie ściągnął na swe siwe włosy nieszczęścia?

Dyonizy.

Do licha... Nie darmo... czy twój dziadek jest tutaj?

Klaudya.

O! nie lękajcie się, zanadto już postarzał dla zemsty, mój biedny dziadek! jeszcze przy pracy... *(płacze)* Lecz mu już nie długo, a ja za nim wnet pójdę, jam już wszystko straciła, i nikt mnie nie będzie potrzebować.

Dyonizy.

Wiesz co, Klaudyo! wysłuchaj mnie... Jam się zapomniał to prawda, jam źle z tobą postąpił, to także prawda; lecz nie bierz tak gniewu do serca; wszystko się może jeszcze jakoś załatwić.

Klaudya.

Nie, Dyonizy, nie się już załatwić nie może, gdyż od dawna nie mam dla ciebie szacunku, więc kochać już cię nie mogę.

Dyonizy.

Posłuchaj, Klaudyo, wiesz co, jeżelibym ci ofiarował... zaraz sto talarów bitych?

Klaudya *(ze wstrętem)*.

A... podły!

Dyonizy.

No mniejsza, czterysta franków!... niech pięćset.

Klaudia.

Zamilcz!... Ach dosyć! kto ci dał prawo do takich obelg?

Dyonizy.

A to mi dobre — czy nie zawiele wymagasz czasami; cóż, chciałaś może żebym się z tobą ożenił?

Klaudia.

Póki żył mój mały, dla jego przyszłej doli musiałam tego żądać, ale teraz — oh teraz! wołałabym umrzeć sto razy, niż wyjść za człowieka, którym pogardzam.

Dyonizy.

O jakżeś ty niedobra Klaudio! ja to widzę, ty chcesz się zemścić; powiedziano ci pewnie, że ja mam się żenić z tutejszą właścicielką, ale to nie prawda, to plotki.

Klaudia, (ściska ramionami).

Nie wiedziałam; cóż to mię obchodzi.

Dyonizy.

No — słowo honoru Klaudio, ja wcale nie myślę o ożenieniu, nie masz przeto powodu mnie ogadywać; bo inaczej... jeżelibyś i chciała to zrobić, najprzód wszystkiemu zaprzeczę.

Klaudia.

Któż lepiej od ciebie kłamać potrafi?

(słychać kłósz).

Dyonizy.

Ciszéj, ciszéj Klaudyo! na co nam te kłótnie przy świadkach; okrężne się zbliża. Bądź tylko dobrą moja biedna Klaudyo, wierz mi, ja cię za to nagrodzę.

(Podczas ostatnich słów Klaudya odchodzi w głąb', a Dyonizy zostaje na awanscenie z prawéj strony).

SCENA XI.

Widać wchodzących kobziarzy, za nimi dziatwa wiejska dalej żniwiarze, Sylwan z matką i dziewczętami z folwarku Pyszna-Róża pod rękę z Fowo, dalej jeszcze najmici, a między nimi ojciec Rémy z Klaudyą.— W głębi daje się spostrzec wielki wóz drabiasty ze zbożem, na wozie dwóch ludzi trzyma snop strojny w kwiecie i wstążki.— Wóz przez dwa woły ciągniony, zatrzymuje się przed wrotami dzierżawcy; snopek przyjmują dwaj żniwiarze i przenoszą na środek sceny; Ojciec Fowo przeprowadza Pyszną-Różę na prawą stronę od snopka, a sam z żoną i Sylwanem przechadzi na lewą.— Rémy i Klaudya w głębi, Dyonizy z prawéj strony między Różą i kobziarzami, wieśniacy całą tę grupę otaczają wieńcem.

**FOWO, SYLWAN, MATKA FOWO, KLAUDYA, OJCIEC RÉMY,
PYSZNA-RÓŻA., DYONIZY, KOBZIARZ, ŻNIWIARZE
NAJMICI, DZIATWA I SŁUŻĄCE.**

Fowo.

No, Sylwanie! otoż i snopek ostatni, odczepże bukiet i podaj właścicielce.

Sylwan.

Nie, mój ojcze, nasz zwyczaj chce inaczej — musi wziąć bukiet albo najmłodszy albo najstarszy z gromady, a ja nie jestem ani jednym ani drugim.

Matka Fowo.

Sprawiedliwie mówisz, obyczaj przedewszystkiém, a nawet za moich młodych latek, to był obowiązek najstarszego; mówiono, że to szczęście przynosi.

R é m y (*podchodząc do snopa*).

Najstarszym z gromady bodajże ja jestem, nikt mi wszakże tego nie zaprzeczy, (*patrzac na snopek*) a do tego lepiej znam od innych stare zwyczaje. Najprzód, czyście dobrze snopek zrobili? powinno być tyle przewiązek, ile było żniwiarzy. A przy tém nie żałować, na skropienie snopka, wina, co Bóg dobrym ludziom daje. . . . (*Na chwilkę przed tém na znak Sylwana dziewczęta wchodzą do mieszkania, z kąd przynoszą naczynia z winem i inne przedmioty, które stawiają na stole, Rémy wciąż mówi dalej*). A później niech żyje wesele, zdrowie, przyjaźń i dostatek! niech żyją starzy! niech żyją młodzi! (*patrzac na dzieci*) Niech żyją i te robaczki! . . . Wszyscy powinni śmiać się, śpiewać, skakać. (*z uszanowaniem*) Ale przedewszystkiém trzeba uświęcić snopek; biada tym, co się ze starych natrzásają zwyczajów!

R ó ż a.

Róbcie mój stary, jak wiecie lepiej, jak dawny każe obyczaj, a w nagrodę weźmiecie sobie snopek.

R é m y, (*z uśmiechem*).

Dajecie mi snopek, ale czy mi dacie siły zanieść go do domu, o sześć wiorst ztąd?

R ó ż a.

Rozumiem, mój poczciwy stary, w zamian za snopek niech każdy wedle swój możliwości składkę poło-

ży; ja kładę pięć franków. Biedniejsi położą co będą mogli, lecz każdy dać coś powinien, bo to zawsze przynosi szczęście temu co daje. (*Kładzie pieniądź u stop snopka*).

Rémy (*klaniając się*).

Dobra pani! wyście bardzo łaskawi.

(*Ojciec Fowo przybliża się zwolna, szuka w kieszeni jakiej drobnej monety*).

Rémy (*ochoczo*).

Położcie tu poczciwe chęci i szczerę serce, a rachunek będzie skończony.

Fowo (*kładzie monetę i ściska za rękę Rémy*).

Matka Fowo (*kładzie nożyczki, igielniczek, nożyk, wiórek i inne drobnostki kobiecie, podając rękę Rémy*).

Rémy, (*wskazując na Klaudyę*).

Dziękuję wam za nią, lecz i bez tego ona was szczerze i serdecznie kocha.

(*Matka Fowo obejmuje Klaudyę*).

(*Sylwan podchodzi; zdejmuję zegarek i chce położyć, Rémy go zatrzymuje*).

O bardzo proszę, to zapiekne dla takich jak my biédaków.

Sylwan.

Wy nie macie prawa odmówić... wyście prowdyrem dożynek, ja także coś wiem o starych zwyczajach. (*Kładzie zegarek, ściska za rękę Rémy, klania się Klaudy, która nań spogląda nieznacznie*).

(*Mała dziewczynka z całą powagą niesie duże jabłko*).

Rémy, (*przyjmując i całując dziecko*).

Dziękuję, moja ty babulko... przyjmuję twe błogostawieństwo, serdeńko ty moje.

(Podczas gdy mu składają swoje ofiary, Róża podchodzi do Dyonizego stojącego na stronie).

R ó ż a.

Cóż to, czyż to wy nie dać nie myślicie, dać biędnemu człowiekowi, przecież, zdaje mi się, możność wam pozwala.

Dyonizy *(szukając w kieszeni).*

Tak, tak, wiadomo...

(Podchodzi jak inni, ale Rémy powstrzymuje go gięstem i wpatrując się weń...)

R é m y.

Dyonizy Ronciat, *(z gniewem i pogardą)* dalej z twoją dłońią i z twojemi ofiary... ja ich nie chcę.

(Otaczający nie zważają na słowa Rémy, ale Róża bliżej stojąca, słyszy to).

R ó ż a *(do Dyonizego).*

Cóż to — Co ma ten stary przeciw wam?

Dyonizy *(do Róży).*

A ja cò mogę wiedzieć, do licha... ja go wcale nie znam. Stary to, musiało mu còś się przywidzieć.

F o w o *(krzycząc).*

Dałej stary! śpiewka. A wy tam ciszej.

R é m y *(śpiewa złamanym głosem).*

Skropim potem krwawym rolę,
Nim wywalczym biędną dolę.

Chór *(powtarza:)*

R é m y.

Po ciężkich trudach i wysileniu,
 Gdy od łez gorzkich brzęknie powieka,
 Nie myśl o szczęściu ni o wytchnieniu,
 • Biędny rolniku, śmierć cię już czeka.

O h ó r.

Biędny rolniku, śmierć cię już czeka.

R ó t a, (zatrzymując).

Tylkoż nie takie, nie takie pieśni — to nazbyt smutne.

R é m y.

To stara piosenka, a ja lepszych nie umiem.

F o w o.

Lepiej już wcale nie śpiewać, niż w dzień dożynek śpiewać pieśni pogrzebowe.

R é m y.

Śmierć was przeraża, boście młodzi! Jak dożyjecie mojego wieku, wtenczas sobie powiecie, że śmierć i życie to jakby jedno i to samo. To się wiąże ze sobą, jak zima z latem, jak ziarno z rolą, jak gałąź z korzeniem. (*Patrząc na Dyonizego*) Trochę przedź, trochę później, zawsze trzeba cierpieć by żyć, a żyć dla tego, by później umierać. No, ale kiedy wam nie do smaku moje stare piosenki i nie chcecie słuchać, ja wam lepiej opowiem gadkę o zbiorach i żniwach.... Kto śpiewać nie może, niech mówi przynajmniej.— Ale w gardle mi zaschło, dajcie-no szklanekę wina.

F o w o.

Co tam wino, ot łyknijcie gorzałki, to was lepiej wzmocni, już to u mnie pytajcie, to jedyne po żniwach.

Rémy (*patrzac na Dyonizego*).

A tak, zgoda na wszystko, ja wam coś mam powiedzieć i muszę powiedzieć; dawaj co najmocniejszego.

Klaudya.

(*Chcąc mu przeszkodzić pić wódkę, którą mu Matka Fowo podaje*).

Mój dziadku! nie pijcie tego w waszym wieku; przypomnijcie sobie, że zeszłego roku o mało to was nie zabiło.

Rémy.

Bah! bah! daj mi tam pokój; jestem słaby, muszę się wzmocnić.

Dyonizy (*półgłosem do Róży i kobziarza*).

No dalej kobzo! dosyć już słuchać co ten stary majaczy, już on sam o tém nie pamięta.

Matka Fowo (*która nalewając żniwiarzom, zbliża się*).

Wybaczcie, panie Ronciat, lecz gdy człowiek w wieku mówi, młodzi słuchać powinni. A gdy o żniwach gawędzić rozpocznie, to święta mowa, i przerwać ją, to nieszczęście przyniesie.

Rémy, (*podnosząc szklankę*).

Wołajcie za mną przyjaciele: cześć zbożu! cześć żniwom!

Wszyscy (*krzyczą*).

Cześć żniwom!

(*Osoby działające grupują się jak z początku sceny*).

Rémy.

(*Odkrywa głowę, wszyscy robią toż samo. Następuje cisza dokoła*).

Oddajcie cześć zbożu, dziękujmy Bogu za Jego łaski bez granic. Ze wszystkich twych darów dobro-

liwy Boże, to najbogatszy. Piękna roślinko! pociecho nasza, ozdobo ziemi, nagrodo rolnika! Tyś skarbem dla niego, tyś pożywieniem bogacza i nędzarza zarazem. Dzięki ci Panie, żeś zebrać ją pozwolił. *(Do otaczających)* Idźcie za moim przykładem dzieci, pijcie na cześć zboża i zbiorów. *(Wszyscy piją, Matka Fowo i inne kobiety przechodząc do koła, napełniają szklanki).*

Wszyscy *(z powagą).*

Dzięki Ci Panie! żeś zebrać pozwolił.

(Podchodzą do snopka, każdy przewraca szklankę, by ostatnia kropła spadła na snopek).

Fowo *(zabierając swe dawne miejsce).*

Dobrze Ojczy Rémy! dzielnieście mówili. *(do innych)* Wcale stary nie głupi.

Rémy *(do snopka).*

Niech Bóg dobrotliwy zachowa plon zebrany w stole tak, jak błogostawił na polu; zarodziło nam w tym roku, drożyzny nie będzie; tém lepiej dla tych, co pracują dla drugich. Biédactwo cierpi za wiele, więc dobry Bóg zsyła im lata obfitsze. Bogaty zbiera dla swych dzieci, dla biédnych Bóg Ojcem. On każe swemu słońcu pracować zarówno dla wszystkich. Dzięki Ci Panie za chleb tani i dobre żniwo.

Wszyscy *(zapijając).*

Dzięki Ci Panie za żniwo!

Klaudia *(odbierając kubek od Rémy).*

Nie pij mój dziadku, wyście bladzi.

Rémy.

Co? albowiem teraz źle mówił? *(do Róży)* mozem taskawą panią obrazić?

R ó ż a.

Nie, mój stary, ja także nędzę pocziwą szanuję, mówcie dalej, słuchamy.

R é m y.

(*Oddając jój bukiet ze snopka*).

Niech Bóg dobrych panów nagrodzi... (*obejmuje ją i całuje w ramię*) Niech ich zachowa tak długo, póki ubodzy będą na świecie. (*patrzac na Ronciata*) Ludzie szczęśliwi, co hardo niesiecie głowy, a źle robicie... a są tacy! pamiętajcie, że was Bóg widzi! Ludzie pokrzywdzeni, litości godni... a są i tacy: oby byli poznani. (*stojąc przy snopku*) Trawko, trawko żytnia, czemu ty mówić nie umiesz; czemu nie możesz nam powiedzieć, ileś kropel naszego spożyła potu, gdy cię trzeba było zasiewać, zbierać, oddzielać twe ziarno od plewy, chronić cię przez całą zimę, by twe ziarno znowu rzucić do roli, przykryć kołdrą z ziemi,— dać ci pożywienia, by cię znowu zebrać, zżąć i przynieść w snopku tutaj, gdzie dla pracujących nowe zaczną się mozoty. (*unosząc się*) Trawko żytnia, dla ciebie włos pokrywa się siwizną, barki się pochylają, ręka odmawia posłuszeństwa stargana pracą, nędzarz koło ciebie się mozoli lat 80, by w nagrodę za wszystkie swe trudy dostać garść słomy, na której złoży głowę, oddając Bogu swą duszę znękaną. (*do Dyonizego z gniewem*) Bo są źli ludzie na świecie, Dyonizy Ronciat! są serca niepocziwe, wszak prawda? wszakże mię rozumiecie, powiedzcie?

Dyonizy (*do Kobziarza*).

Dwadzieścia groszy, tylko mi zamij co siły.

Kobziarz.

O nie, mój panie... przeszkadzać staremu... tożby mi kobza pękła.

Rémy.

(Jakkajęc się odpycha Klaudyę, która chciała go uprowadzić).

Puść mnie... daj mi wypowiedzieć... Są ludzie, co zabierają bliźniemu więcej niż życie, ... zabierają honor, imię pocziwe. Oh tak! puść mnie, dziecko moje... tyś mi myśli poplątała.

Klaudya.

Dziadek mój chory, patrzcie na jego oczy, to, co mówi jego zabija — pomożcie mi odprowadzić go.

Rémy.

(Podtrzymywany przez Sylwana i Klaudyę, wszyscy skupiają się dokoła).

Oh tak! jestem chory... nic nie widzę.— Czyście mnie opuścili, wy wszyscy... Jam was zasmucił, poczekajcie jeszcze wam zaśpiewam: *(porywając za snopek, na który się osuwa)* Biędny rolniku, śmierć cię już czeka.

Klaudya (z rozpaczą).

Dobrzy ludzie, mój dziadek umiera.

Róża (do jednego ze żniwiarzy).

Śpiesz po doktora, po księdza.

Sylwan.

Śpieszcie dla Boga!

Rémy (z głową na snopie).

Zapóźno! Bóg mi przebaczy — Ja tyle cierpiątem na tym biędnym świecie!... moje dziecko... moje

biędne dziecie... poczciwa dziewczyna, słyszycie to...
(*ściskając rękę Sylwana*) nie wiem kto wy jesteście, ale
mieście opiekę nad nią.

Klaudia (*padając nań*).

Dziadku mój! mój biędny dziadku! ja z tobą ra-
zem....

Rémy (*podnosi się trzymając za słomę*).

Cześć zbożu! garść słomy, posłanie nędzarza.
(*Pada na słomę*).

Róża.

Miejmy opiekę nad tą biędną dzieciną.

Matka Fowo.

To się aż serce kraje.

Fowo (*ze smutkien*).

Oto smutne dożynki.

Dyonizy (*nachylając do Klaudy*).

Klaudio! Klaudio! ja cię nie opuszczę — wierzaj.

Sylwan (*z drugiej strony*).

Klaudio! dziadek cię powierzył méj opiece, wo-
la jego święta.

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT DRUGI.

Scena przedstawia wnętrze mieszkania dzierżawcy.— Wiejska obszerna, wedle starego zwyczaju, czysto utrzymana izba.— W głębi drzwi w ścianie środkowej.— Na lewo obok drzwi okno, pod oknem szafka z naczyniem; z tejże strony wielki komin z gorejącym ogniem, a przed kominem żelazka do prasowania.— W głębi z prawej strony schody prowadzące, na galerję, z której wejście do składu na strychu na pierwszym planie stół z przyrządem do prasowania.

SCENA I.

OJCIEC RÉMY siedzi przy kominie z bezmyślną fizygnomią.—
MATKA FOWO przy stole przędzie. — **KLAUDYA** prasuje bieliznę.

Matka Fowo.

Zaręczam cię, moje dziecko, że nie jesteście dla nas ciężarem, i że źle robicie chcąc nas porzucić. Pracujesz lepiej niż inne służące, robota pali się pod twoją ręką; a przy tém pocziwe serce, to także coś warte. Przypuśćmy, że twój dziadek przyczynia nam trochę wydatku, od czasu owego nieszczęśliwego wypadku już on i koło siebie ogarnąć się nie może; lecz

za to ty swoją pracowitością wszystko wynagrodzasz; a zatem radzę ci zostać z nami, przynajmniej póki łaska Boża twego dziadka nie podźwignie.

Klaudia.

Wyście zanadto dobrzy, Matko Fowo; nie bierzcie przeto za złe jeżeli chcemy was porzucić, nie dla tego żebyśmy waszój przychylności ocenić nie umieli. Wyście tyle dla nas zrobili, że wiekbym mój na wasze usługi poświęcił; ale wierzajcie, jak mi Bóg miły, jak wyście mi drodzy, tak dłużej zostać nie mogę.

(Podchodzi do komina, zmienia duszkę w żelazku, obejmuje dziadka i wraca do stołu).

Matka Fowo.

O przyczynę nie pytam cię Klaudio, chociaż kto wie może i domyślam się trochę, ale to mi każe jeszcze cię więcej szanować; może przyjdzie chwila, że ja ci sama to powiem:— Jedź moje dziecko, dobrze robisz, trzeba ci jechać, ale teraz twój dziadek tak słaby, iż musisz piérwiej postarać się sposobu do wyżywienia go, a później myśleć o wyjeździe.

Klaudia.

Dziadek mój słaby, to prawda, ale nic już nie cierpi, a on tak przywiązany do swojej strony, że jak mnie się zdaje, jego tęsknica dręczy. Co do pracy, to prawie jestem pewną że ją znajdę; dają mi lam przedzę do domu, bluzy do szycia, a i koło roli będę mogła pracować, bo u nas zima lżejsza; a choć trochę więcej będę miała pracy, pracując i za dziadka, to cóż mi lam. Choćby się i zdrowie zrujnowało, nie wielka szkoda! Zawsze tyle pociągnę co ten

nieszczęśliwy, jemu już nie długo, bo od dwóch miesięcy jak u was zostaje, nie może już do sił powrócić. (*Zabiera bieliznę ze stołu i chowa do szafki pod oknem*).

Matka Fowo (*wstając*).

Jak mnie się zdaje, musi mu być znacznie lepiej, bo i dziś z rana rozmawiał ze mną dość długo i tak rozsądnie, jak nigdy tego nie było od owego smutnego wypadku.

Klaudya (*przechodząc na lewo Matki Fowo*).

Rozmawiał z wami? i cóż wam powiedział?

Matka Fowo.

Pytał mnie czy go już doktorowie skazali, i czy długo mu jeszcze marnieć tak przyjdzie.

Klaudya (*patrząc na dziadka*).

Biedny dziadku! bolejesz nad tém, czuję to mocno żeś nie skończył od razu. Ale wierzajcie mi, choćby mi przyszło do grobowej deski pielęgnować go i opiekować się jego niedolą, nie narzekałabym, że mi z nim zaciężko. O niech się dzieje jak Bóg zrządzi, hyle mi jego raczył zachować; wy nie wiecie matko Fowo, co to był za człowiek? (*Ociera oczy ukradkiem*).

Matka Fowo, (*biorąc ją za rękę*).

Dla tego więc moja biedna Klaudyo! musisz jeszcze czas jakiś zostać z nami, na niczém mu nie zabraknie, a możesz go ciągle mieć na oku.

Klaudya.

Wiem-ci to ja, że mu nigdzie lepiej nie będzie jak u was, mnie toż samo.

Matka Fowo.

A więc cóż?

Klaudia.

Muszę wam być posłuszną i zostanę na jakie parę tygodni. Pomogę wam przy suszeniu i tarciu lnu. Ale później darujecie mi, obowiązek każe mi się oddalić. Ja zagawędziłam się a czas leci, trzeba pójść po... zabiorę dziadka, ruch może mu posłużyć.

(Zbliża się do Rémy, podnosi go bez oporu z jego strony i bez zeznania tego co się z nim dzieje).

Matka Fowo *(mówiąc głośno).*

Ojcie Rémy, wyjdźcie na świeże powietrze, dla was z tym będzie lepiej, jak siedzieć ciągle przed piecem.

Rémy, *(mówi z wysileniem).*

Mnie ciągle zimno.

Matka Fowo *(do Klaudy).*

Uważasz, on dziś wszystko rozumie.

Klaudia.

Czy to cię nie zmęczy mój dziadku, pójść ze mną?

Rémy.

To my wracamy już do siebie.

Klaudia.

Jeszcze nie, ale wkrótce.

(Odchodzi z Rémy przez drzwi w głębi, Sylwan z galerji bacznie ich postrzega).

S C E N A II.

MATKA FOWO, SYLWAN.

Sylwan (*do Matki, wracając do stołu*).

No, jakże Matko, udało ci się?

Matka Fowo (*podnosząc głowę*).

Sylwanie, robiłam co mogłam, czyż matka skłamał przed swoim dziecięciem. Zbłądziłam może słuchając ciebie, ale bo ja ci się oprzeć nie umiem.

Sylwan.

I... ona zostanie?

Matka Fowo.

Przez jakie parę tygodni będzie nam pomagać przy wyrabianiu lnu.

Sylwan.

Dwa tygodnie tylko, nie więcej? Zawsze więc chce nas porzucić.

Matka Fowo (*odnosząc prząsnicę na szafkę pod okno*).

Ona nie zmieni swego postanowienia, bądź tego pewnym, to zanadto poczciwa dziewczyna, by chciała wnieść w dom niezgodę.

Sylwan (*zchodząc*).Matko, ja nie wiem co się wam przydało, wam się zdaje, że ja świata nie widzę za tą dziewczyną... A ja wcale o niej nie myślę. (*Ogląda się w tę stronę kędy wyszła Klaudya*).**Matka Fowo** (*przyciągając go ku sobie*).

Mój Sylwanku! zmyślać przed matką to się nie godzi.

Sylwan.

Ależ wierzajcie, że ja o niej nie myślę. Bo chcecie mię tylko wysłuchać, od czasu, jak ojciec zapadł na nogę, ja jestem jakby głową domu i gospodarzem, i widząc, że dwie i trzy nawet służące nie przyniosą tyle korzyści w folwarku, co jedna Klaudya, chciałyby ją zatrzymać, na to przecież musicie się zgodzić, że to zręczna, pracowita, żwawa, oszczędna i wierna dziewczyna, co nad tēm tylko myśli, by jakimkolwiek bądź sposobem przysłużyć się wszystkim. Czyż tego mało? Nie wiele na to trzeba rozumu i sumienia, żeby to ocenić, a po co tu wyjeżdżać z uczuciami jakimiś?

Matka Fowo.

Wszystko to święta prawda moje dziecko, lecz żeś tak gorąco chciał ją zatrzymać, zgodź się na to, była na widoku nie korzyść gospodarki, lecz jakaś tam słabostka do tēj dziewczki; zgoda na to, że ty sam chciałyś sobie to wybić z głowy, ale ja widzę jasno, ona ci się podoba, a nawet musiałeś jęj to powiedzieć.

Sylwan.

Nie matko, jak mi Bóg miły, nigdy.

Matka Fowo.

Nigdy?

Sylwan.

Nigdy się nie mógł odważyć.

Matka Fowo.

A więc ona odgadła, bo wie o tēm.

Sylwan.

Jeżeli wie, toście wy musieli jój to powiedzieć?
O jakaś ty dobra, moja droga mateczko! (*uściska ją*).

Matka Fowo.

Patrzcie-no tego-urwisa, schlebia mi tylko dla tego, by do swoich dziwactw namówić... Nie, nie Sylwanie, ja jój nic nie mówiłam i nic też nie powiem, nie masz prawa ubiegać się o Klaudyę, bo się z nią ożenić nie możesz.

Sylwan.

Ożenić się! a cóżby mi przeszkadzało? Myśmy nie tak bogaci, bym ja miał prawo szukać posagu. Cały nasz dostatek to: ręce zdrowe i chęć do pracy, a Klaudya przyniesie mi w posagu toż samo. Czyż nie piękny i nie okrągły kapitalik do gospodarki?

Matka Fowo.

Ależ twój ojciec wcale inaczej tę rzecz uważa, i niechby mu tylko przez myśl przeszło, że ty chcesz coś podobnego zrobić, onby się nie uspokoił ani na chwilę, póki Klaudya zostawałaby u nas.

Sylwan.

Mój ojciec mój ojciec da się przekonać.

Matka Fowo.

To jeszcze pytanie! Od czasu, jak wbił sobie w głowę, że właścicielka na dobre w tobie się rozkochala, z wielkiej radości, to aż od przytomności odchodzi i proszęz mu powiedzieć, że ty się chcesz żenić z Klaudyą, Klaudyą, wnuczką najmity, Klaudyą najemną służącą, o! toby go strasznie zmartwiło.

Sylwan.

Ojciec mój trochę gorączka to prawda, ale można z nim trafić do końca, byle się nie sprzeczać, ale powoli daje się przekonać. Wierzaj mi matko, ja nie z tej strony oczekiwałem przeszkody. Najgłówniejszą zawadą to, że Klaudya nie kocha mnie wcale.

Matka Fowo.

Ona lęka się pokochać, i dla tego chce odejść.

Sylwan.

A może lęka się by o niej nie zapomniał kto drugi, co na nią czeka w jej stronach.

Matka Fowo.

Wszystko to być może. Nie masz zatem powodu śpieszyć się. A w końcu my tej dziewczyny tak jak nie znamy, ani jej, ani nikogo z jej okolicy, oprócz Dyonizego Ronciat, który jak powiada, nie przypomina jej sobie wcale. Przez litość przyjęliśmy ją w dom, o nic nie pytając, było to naszą powinnością. Lecz ona jest bardzo skryta, ja to uważałam, jak co do siebie, tak co do innych, i nigdy nie zwykła odpowiadać na pytania. Kto ją tam wie, jakie jej tam stosunki, czy złe, czy dobre.

Sylwan.

Matko, matko! i cóżeście wy powiedzieli? Ona ma złe stosunki, my jej nie znamy. I któż wedle was będzie cnotliwy jeżeli nie Klaudya? Przez miesiąc żniwa, a teraz przez dwa miesiące, jak dniem tak nocą ciągle ją mamy na oku; a powiedzcie mi czyście spotkali kogo, coby z taką godnością umiał zno-

się nędzę, coby pomimo lat młodocianych tyle umiał wzbudzić uszanowania? Chciejcie ją tylko porównać z naszymi dziewczętami. Bogatsze to pyszne i zalotne, szukają majątku w zamążpójściu, a biedne spodłone, zżebaczałe, w miłości wyglądają jałmużny. Powiedzcie, czyż Klaudia ma co z niemi wspólnego? ona co zamiast się domawiać datku, nigdy nie nie przyjmuje, czego nie może swoją pracą opłacić. Ona co się tak kryje ze swém ubóstwem, iż całe niemal noce przepędza nad sztukowaniem i łataniem przyodziewku swego i dziadka. Ona, co się tak umie postawić względem mężczyzn, iż podczas żniwa, gdy była jedna na polu w pośród jakich trzydziestu parobczaków, nie koniecznie delikatnych i wstrzemięźliwych w mowie, tak się umiała zachować, iż nikt nie śmiał jęj obrazić nieskromném słowem lub prosną śpiewką. Jam na to wszystko patrzył, gdy upadając prawie od zmęczenia, nigdy się nie zapomniała, lękając się nawet ukośnego wejrzenia, kazała siebie poważać, bo sama uszanować siebie umiała. O! nie, nie, ani pruszyńka nie ciąży na sumieniu téj dziewczyny, a kto by nie chciał tego widzieć, to chyba musi być ślepy.

Matka Fowo.

Ach moje dziecko! jakżeś się ty zakochał.— Cóż robić? widzę teraz, że przyjdzie iść na przekorę twemu ojcu, byle tylko tobie uczynić zadość. Ojciec pogniewa się i przestanie, a twoje szczęście toż na całe życie. Otoż i on idzie z właścicielką i Dyonizym, tém lepiej, będziemy go mogli odciągnąć i przekonać, a tymczasem Dyonizy z Różą niech sobie radzą jak potrafią.

S C E N A III.

MATKA FOWO, FOWO, RÓŻA, SYLWAN, DYONIZY RONCIAT.

Sylwan.

Całe wieki jakeśmy was widzieli, panie Ronciat, wszak to bodaj od dożynek?

Dyonizy.

Czy moja obecność tobie niemiła?

Sylwan.

Wcale nie, bardzo mi przyjemnie was widzieć.

Dyonizy.

Jabym sądził... i nie darmo, że ci nie było pilno, mnie w tych stronach zobaczyć.

Róża.

I dla czegożby się miał o to tak troszczyć? Czy nie zdaje się wam czasami, że już cała młodzież nasza gaśnie przy waszej osobie.

Dyonizy.

Ach śliczna Różo! wy znowu mnie prześladowacie, ja mogę wzajemnością się wyplącić.

Róża.

Radzę spróbować, pokażcie wkońcu choćby raz swój dowcip, który tak bacznie chowacie pod kluczem.

Fowo (*niespokojny*).

A zabawniście, doprawdy zabawni!

Dyonizy.

Możebym więcej okazał dowcipu, niżbyście sobie tego życzyli, jeżeliby mi się zamarzyło wygadać się z tém co jest i jak jest.

Róża.

Z czémże to proszę, macie się wygadać?

Dyonizy.

Mogę tylko to powiedzieć P. Róży na cztery oczy, jeżeli na to zezwoli.

Róża.

Gotowam słuchać, bo już od godziny nudzisz mię, plotąc trzy po trzy.

Sylwan (*w głębi do Fowo*).

Chodźcie mój ojczy, ja mam coś także wam powiedzieć, wraz z matką.

Fowo (*do Róży*).

Zostawujemy was łaskawa pani. (*cicho*) Lecz jeżeliby chciał czernić Sylwana, nie wierzcie mu ani na jedną jotę.

Róża (*cicho do Fowo*).

Nie troszcz się, już ja mu piękną dam odstawkę, temu panu Ronciat. (*Poglądając za Sylwanem wchodzącym na schody*) Lecz jeżeli twój syn mię kocha jak powiadasz, to daj mu do zrozumienia, iż czasby się otrząść z nieśmiałości i przecie raz mnie o tém powiedzieć.

Fowo (*cicho*).

Prosił mię na słówko, zgaduję o co mu chodzi.

Sylwan.

Chodźcie-no ojczy, czekamy.

(*Podaje mu rękę i pomaga wejść na schody — kryją się w głębi galeryi*).

S C E N A IV.

RÓŻA I DYONIZY.

Róża (*siadając z lewej strony*).

A więc proszę się wytłómaczyć.

Dyonizy.

A tak, trzeba się porozumieć, moja śliczna; już to trzeci miesiąc jak mię zbywasz ni tём, ni owém, i wolałbym już lepiej wiedzieć od razu co mię ma spotkać, niż wyglądać i oczekiwać, wtenczas kiedy wszyscy, a nawet wasz dzierżawca rozgłaszają, że wy wychodzicie za Sylwana.

Róża.

Mówią o tём? to dobrze, niech sobie mówią.

Dyonizy.

Za pozwoleniem, to mnie obraża!

Róża.

Ja przecież z mojej strony żadnych nie robiłam panu obietnic. Podobało się wam zalecać się do mnie, jak wola i łaska; ależ nie mieliście przecie pewności wygranej.

Dyonizy.

Macie racją śliczna Rózo, każdy młody chłopak musi się ubiegać na chybił, trafił; wyście jak mi się zdaje warci tego by się trochę pokłopotać goniąc za wami. (*Przynosi krzesło z prawej strony i siada obok Róży*).

Róża.

To co innego, zaczynasz być grzecznym.

Dyonizy.

Umiem być aż nadto grzecznym, póki tego za-

żąda, a jeżeli się uniosł, to już pewno nie o mnie, ale o was tu chodziło.

R ó z a.

Co tego to nie rozumiem, panu się zdaje, że to byłoby hańbiącym dla mnie wyjść za syna mego dzierżawcy, dla tego że on biedny.... A jeżeli tak się mnie podobało, to sądzę że mego dobra wystarczy na nas dwoje. Skoro człowiek chociaż biedny jest pracowitym i szczerym, bodaj że wart więcej niż ci, co rozpraszają majątek, bez pracy nabyty.

D y o n i z y.

Całuję nóżki, wszak to do mnie przepijacie.

R ó z a.

Bynajmniej, lecz skoro nastajecie na mnie bym też wam wytłómaczyła z tego, że nie potrafiła ocenić waszych zabiegów; darujcie, ale mnie się zdaje żeście nie wolni od zarzutu.

D y o n i z y.

Ja? ktoś mnie przed wami oczernił, ale ja wiem co to ma znaczyć.

R ó z a.

Wiesz, a więc lepiej wyznaj sam wszystko.

D y o n i z y *(na stronie).*

Właśnie, piękniebym się wy kierował.

R ó z a.

A więc?—

D y o n i z y *(na stronie).*

Złapałem się.

R ó z a.

Wszak prawda Dyonizy, wam coś cięży na su-

mieniu. Jeżelilibym była złośliwa, dokuczałabym wam tём w obec ludzi, lecz ja czekałam rozmówić się z wami na cztery oczy, teraz czas właśnie. Wyznajcie że musieliście krzywdę komuś wyrządzić?

Dyonizy.

Zkąd się wam u licha to wszystko bierze? Chyba że chcecie plotkom wierzyć?

Róża.

Nikt mnie nic nie mówił, bo też nikogo nie pytałam, a przytём człowiek, u którego mogłabym się dowiedzieć nie jest zdolnym do odpowiedzi, ale pamiętacie ostatnie dożynki i te kilka wyrazów do was zwróconych, bodajże zatrudno wam będzie z tego się wytłómaczyć.

Dyonizy.

Ten stary od rzeczy prawił.

Róża.

Stary miał rację, w tём co mówił. Powiedzieliście że go nie znacie, a jednak on z waszych stron. A wasza okolica zdaje się nie tak wielka, żebyście tam wszystkich znać nie mogli. Nie wracaliście tu lękając się spotkać z ludźmi, w obec których musielibyście się rumienić; a co do mnie, nie życzyłabym sobie wcale zostać żoną człowieka, któremu by mógł kto powiedzieć: pozbawiłeś mnie więcej niż życia, bo pozbawiłeś honoru; wszak tak stary powiedział. Od tego czasu przyjmowałam pana zimno, i kiedym kogo spotkała w mieście, prosiłam byś zaniechał i swych prezentów i swych zabiegów.

Dyonizy (*wstając*).

Jeżeli was obraził Rózo, darujcie. Nie darmo, gdy się kocha, to zazdrość i niechęć do wszystkich nas opanowują... Człowiek nie wie sam co mówi.... Co się zaś tycze tego starego i jego wnuczki...

Róża (*wstając*).

Jego wnuczki? właśnie domyślałam się, że to o nią chodziło.

Dyonizy.

Do licha!... musiała wam co mówić o mnie. Wiedzę to dobrze, że was źle względem mnie usposobiła.

Róża.

Pod przysięgą zaręczam, że mi ani wspomniata o was.

Dyonizy.

O! wyście przyrzekli nie zdradzić tajemnicy.

Róża.

Dyonizy! więcej mi powiedziałeś niżem wiedziała, a więcej domyślałam się niż chciałeś powiedzieć. Tyś uwiodł to biedne dziecko, i ściągnął na jej głowę niedolę i nędzę. Oto dla czego jej dziadek odtrącił twój dalek podczas dożynek. Nie wszyscy na to patrzyli, ale ja, ja dobrze widziałam.

Dyonizy.

Zapewne pani masz dobre oczy, szkoda tylko że nie wszystko widzisz.

Róża.

A czegoż ja nie spostrzegłam?

Dyonizy.

Nie widzisz tego, że twój Sylwan, co go masz

za szczérość i naiwość samą, smali cholewki do tej dziewczyny do tego stopnia, że wielu przebakują, iż on się z nią ożeni a nie z wami, i to nie długo.

Róża.

Powiadają o tém? przystyszało się wam Dyonizy.

Dyonizy.

Zapytajcie kogo chcecie z domowych... oprócz rodziców, którym dobrze z tém, że was wyprowadzili w pole, wszyscy to samo powiedzą, że on za nią szaleje.

Róża (z uniesieniem).

Szaleje za tą Klaudya?

Dyonizy (z umysłem).

No... ona nie jest tak brzydką.

Róża (niarkując się).

Zapewne, Klaudia wcale nie brzydka, a młoda, to cóż w tém dziwnego, jeżeli przypadła do serca Sylwanowi, dla czegoż nie miałby z nią się ożenić. To poczciwy człowiek, on nie jest w stanie nadużyć zaufania nieszczęśliwój.

Dyonizy.

Ah! wy to tak przyjmujecie Różo, dla was to wszystko jedno.

Róża.

Widzisz przecie.

Dyonizy

A zatem darujcie mi żem was zmartwił, i zgodźcie się wyjść za mnie.

Róża (z gniewem).

Ja nie pójdę zamąż.

Dyonizy.

To się tylko tak mówi, przyjdzie to odwołać.

Róża.

O! że nie to nie! Zostańmy dobrými przyjaciółmi. Lecz proszę mnie nie prześladować swojemi projektami, zabraniam tego.

Dyonizy.

Doprawdy?

Róża.

Tak jest.

Dyonizy.

A to mi proszę, dla tego że kiedyś miałem znajomości, tak jak gdyby to wam ubliżało; wszakżem ja wtenczas jeszcze was nie znał. Że młody chłopak trochę się pobałamuci, nim statek przyjdzie i o swoim losie myśleć pocznie, cóż w tém złego. Czy nie myślicie ukamienować wszystkich, co mieli w życiu słabostki? Wiecie co, bodaj że zanadto drożycie się pani Różo... (z umysłem) Możeby też i wam znalazło się co zarzucić, a jednak ja wam wcale nie wymawiam tych kilku malutkich tklivostek, co was zajmowały przed i po zamążpójściu. Tak, tak! myśmy nie aniołowie, tacy dobrzy ludzie jak i inni, i ze względu na to, radziłbym trochę być wyrozumialszą dla mnie.

Róża.

To już zaczynamy bawić się i w grubijaństwa? ale to tylko może wstręt do was we mnie obudzić.

Dyonizy.

Ale nie, wcale nie miałem tego zamiaru.

R ó ż a.

Tak jest, rozumiem. Wy młodzi ludzie chętpicie się z waszych słabostek a pogardzacie naszemi; lecz ja to tylko wiem, że nikt do mnie nie przyjdzie z wyrzutem, zem go opuściła w niedoli, lub też hańbą okryła. Moje błędy, jeżeli je i popełniła, mnie tylko saméj szkodę przyniosły, wtenczas kiedy o was tego nie można powiedzieć, bo przyjemność była na waszój stronie, a boleść zostawiliście bliźniemu. Teraz możecie sobie pójść i więcej się nie trudzić, mnie nadskakując.

Dyonizy.

To czysta odstawka, no, niema co, będziemy się starali pocieszyć. *(na stronie odchodząc)* To Klaudya tego przyczyną, o do licha, skwitujemy się. *(odchodzi)*

S C E N A V.**R ó ż a** *(sama).*

To fałsz wierutny! Sylwan ani patrzy na tę Klau-dyę, bo czyżby ojciec jego był do lego stopnia ograniczony, by mi prawić, że on choruje z miłości ku mnie, wtenczas, kiedy synalek myśli o innéj, *(spostrzegając ojca Fowo na galeryi)* a, otoż i on! Trzeba raz z tém skończyć i dowiedzieć się prawdy.

S C E N A VI.**RÓŻA, FOWO,** *(ze strapioną fizygnomią).***R ó ż a.**

Cóż mój stary, jakieś miny wyrabiasz, co się stało, co słyhać nowego?

Fowo, (zchodząc z galeryi, zostaje w głębi).

Oto słyhać, że... nic niema nowego, łaskawa pani!

Róża.

Cóżes się tak wytrzeszczał na mnie, ojczy Fowo, wiesz, co mnie się zdaje, że ty albo sam siebie, albo mnie oszukujesz. Twój syn nie myśli o mnie i zamierza ożenić się z waszą służącą Klaudyą.

Fowo.

A! to pani już wiesz o tém?

Róża.

Więc to prawda?

Fowo.

Nie, to nie prawda. To, to jakieś dziwactwa ułożyli sobie z matką, ale najprzód, ja się na to nie zgodzę.

Róża.

On już wyszedł z pod opieki, nie możesz mu zaopiekować, a oprócz tego, ty nie jesteś panem u siebie w domu, i zawsze wkońcu musisz ustąpić.

Fowo.

O co to, to nie, nie ustąpię, tylko chciejcie mnie podtrzymać, a zobaczycie.

Róża, (z urazą).

Ja mam cię podtrzymywać i zmuszać twego syna by się ożenił ze mną? Czyś ty oszalał, może tobie się zdaje, że twój chłopiec mnie tak bardzo obchodzi, że już ja sobie partyi nie znajdę, bym się miała komuś tam, gwałtem narzucać.

F o w o.

Tra la la! otoż już i zagniewaliśmy się, łaska-wa pani; wszystko to minie, ja wam powiadam trzy-majcie się ostro, a mój Sylwan wybije sobie z głowy te dziwactwa; że go kochacie to pewna, boście to tak wzięli do serca, że aż rumieńce wam na twarz wy-skoczyły.

R ó ż a.

Zgoda na to, zagniewana jestem, ale to dla tego, żeś mnie niewiedzieć do jakiej roli namówił. Wbi-łeś w głowę twemu synowi, żeś się w nim pokocha-ła, a teraz będę służyć im za igraszkę, jemu i jego żonie Klaudyi; lecz ja będę dosyć pomszczoną; zgo-da, niech się żeni ze swoją Klaudyą. Ja chcę, gdy-byś się na to zgodził, żeby to jak można prędzej się stało. Właśnie tego tylko pragnę.

F o w o.

Czyżbyście co widzieli wedle niej, coby mogło zra-zić Sylwana, mówcie prędzej.

R ó ż a.

O nie! ja się w podstępny nie bawię, dla tego nie powiem, niech się żeni ze swoją Klaudyą, niech się żeni! (*wychodzi*).

S C E N A VII.

F o w o (*sam*).

Jeszcze się nie wszystko skończyło, zastanówmy się nad tém, byle tylko nie tracić głowy: najprzód trzeba wyprawić ztąd Klaudyę. Ale nie, to byłoby

jeszcze gorzój. Muszę się dowiedzieć co Dyonizy powiedział o niej naszej właścicielce, ot co jest.

(Odchodzi w głąb i spostrzega Sylwana bladego i strapionego).

S C E N A VIII.

SYLWAN I FOWO.

F o w o.

A! to ty! no i cóż trwasz jeszcze w zamiarze drażnienia i obrażania twego ojca?

Sylwan.

Nie, mój ojcze! ja nie sędzę żeby to was mogło obrażać, że chcę postępować jak na poczciwego człowieka przystało, ja się dla pieniędzy nie ożenię, i nie mogę oszukiwać kobiety, co jest dla nas i dla wszystkich tak dobrą i zastuguje na to, by Bóg dał jój człowieka, co by ją szczerze kochał. Nie mogę przeto powiedzieć Róży że ją kocham, skłamałbym, a przecież mój ojcze nie chciałbyś twego syna do kłamstwa namawiać.

F o w o.

Ja cię do tego nie zmuszam, ale co do téj żeniaczki z tą nędzą, z tą żebraczką, wara! ani myśleć.

Sylwan.

Dla czego mi wspominać o Klaudyi, czyżem ja mówił że się chcę z nią żenić?

F o w o.

Twoja matka mi w obec ciebie o tém mówiła, a tyś nie zaprzeczał,

Sylwan.

Ja tylko to mówiłem ojcze, i jeszcze raz powtarzam, jeżeliby tylko była pocziwą tak jak się zdawała, jej nędza na zaletęby jej posłużyła. Lecz wyście się unieśli mój ojcze, a szacunek jaki mam dla was, nie pozwolił mi przerywać.

Fowo.

A teraz skorom się uspokoił przychodzisz mi powiedzieć, żeś się uparł robić mi na przekorę,

Sylwan.

Nie, mój ojcze, jam się rozmyślił, mnie się żenić nie wypada.

Fowo, (*podchodząc doń*).

Jużci tak, tak się żenić nie wypada mój chłopcze; chwała Bogu, żeś przecie przyszedł do rozsądku, ja bo jestem zanadto gorączka, nie myślmy już o tém mój Sylwanie, zgoda?

Sylwan.

Jeżelim wam, mój ojcze, w czém ubliżył, darujcie.

Fowo.

Nie, nie mój chłopcze! to ja się uniosłem, nie myślmy już o tém. (*na stronie*) To się da odrobić, nie jeszcze tak złego niéma, śpieszmy opowiedzieć to właścicielce, by przeszkodzić złemu.

S C E N A IX.

Sylwan sam, (*siada z prawej strony i płacze*).

Ja sie żenić, o nie, nie, nigdy! Niéma kobiety wolnej od zarzutu, o tak, ani jednej, bo przecież i

Klaudia jest winną! Kochanka Dyonizego, tego głupca, pyszałka, wiecznie zadowolonego z siebie, za którym mówią tylko pieniądze i jego pewność w obchodzeniu się z kobietami. Ho! te wszystkie skromnisie to nadzwyczaj niebezpieczne! Ona go kochała, ona mu się oddała i przyszła tu na żniwo tylko dla tego, by się z nim zobaczyć i zmusić go do ożenienia, jak on powiada, a mnie się zdawało, że ona mię kocha tajemnie, że tylko skromność nie pozwala jój z tém się wypowiedzieć. (*wstając*) A może też on skłamał? może ze złości, że go Róża odrzuciła, nie wie sam jak dać sobie rady, przecież to już nie pierwszy raz się chwali ze swych stosunków z kobietami, które go nawet nie znały, to zwyczaj tych spanoszałych próżniaków, narzucają ci się do licha, szepcą ci, proszą o sekret, a nieszczęśliwa z opinii, odarta, nawet bronić się nie może. Ach Klaudio! musimy się z sobą rozmówić, oskarżaj siebie, wyznaj wszystko!... bo inaczej będę musiał ciebie zapomnieć i tobą pogardzać.

S C E N A X.

KLAUDYA I SYLWAN.

(*Klaudia wchodzi z małym workiem z pierwszego aktu, odmyka szafkę, wyjmuje z niej niektóre sprzęty i składa je na krześle na lewo; Sylwan, który spostrzegłszy ją odwrócił się gwałtownie, pogląda na nią ukradkiem*).

Sylwan (*po chwili milczenia*).

Czegoż tu szukacie Klaudio?

Klaudia.

Zbieram moje manatki, panie Sylwanie, czas w drogę.

Sylwan.

Jak to? odchodzicie?

Klaudia.

Za chwilę.

Sylwan.

Dla czegoż to? mieliście zostać jeszcze z parę tygodni?

Klaudia.

(Kłęką przy krześle, składa swoje rzeczy, mówi łagodnie).

Jużem się była zgodziła, sądziłam bowiem, że moja praca na cokolwiek w domu się przyda, lecz spotkałam panią Różę, która, co się nigdy nie zdarza, ciężko mię dotknęła. Najprzód mówiła mi coś, czegom pojąć nie mogła, a później dała mnie do zrozumienia, że ja z moim dziadkiem jesteśmy ciężarem w jej folwarku. Przyjęłam to z pokorą i pośpieszyłam najać wózek, lecz matka wasza ze łzami mi mówiła: »tak, trzeba ci odjechać moje biedne dziecię, lecz twój dziadek jeszcze stały, lepiej ja każę do wozu zaprządz woły nasze,« i wnet pobiegła się rozporządzić, a ja zabiorę tylko mego dziadka i... żegnam was panie Sylwanie. Dzięki wam za wasze względy i za wszystkie dobre, coście dla nas zrobili.

Sylwan.

Pani Róża nie miała racyi, wy nam wcale nie zawadzacie.

Klaudia.

Pracując o ile mi starczyły siły, nie sądziłam by

choroba mojego dziadka mogła przyczynić wam kłopotu, a wszyscy tak tu byli dobrzy dla nas, iż nie śmiem się żalić na chwilę złego humoru, póki mego życia będę wdzięczna wam wszystkim; a wam panie Sylwanie najbardziej, boście wy uratowali życie mojego dziadka. A chociaż my nic nie mamy i nie wiele możemy, jeżelibyście kiedy nas potrzebowali, czy jakiej usługi wedle naszej możności, ja zawsze będę na rozkazy waszj rodziny, i z prawdziwą roskoszą starałabym się wam odsłużyć. (*wstaje*).

Sylwan (*wzruszony*).

Dzięki ci Klaudyo, dzięki. (*na stronie*) O mój Boże! pierwszy to raz tak przyjaźnie ze mną rozmawia, a ja się cieszyć nie mogę. (*głośno*.) Więc jedziesz? I nie mi nie masz do opowiedzenia.

Klaudya.

Zdaje się że nie, panie Sylwanie.

Sylwan.

I nie wiesz nawet co ma właścicielka przeciw tobie?

Klaudya.

Nie.

Sylwan.

Coby jój mogli powiedzieć, by ją z tobą poróżnić?

Klaudya.

Nie chcę wiedzieć o niczém, by nie mieć żalu do nikogo.

Sylwan.

Czy nie masz podejrzenia na kogo z waszych stron!.. naprzykład... na Dyonizego Ronciat?

Klaudia (ze drżeniem).

Jeżeli kto mnie biędną fałszywie oskarżał, to niech mu Bóg tego nie pamięta.

Sylwan.

A jeżeliby to było prawdą?

Klaudia.

Nie lękam się by prawda o mnie wypowiedziana, mogła mnie narazić na pogardę ludzi uczciwych i dobrej woli.

Sylwan.

Rzeczywiście, ci co cię oskarżają grzeszą; ale mogłabyś tego uniknąć, zadając fałsz obmowom.

Klaudia.

A to mi na co, ja przecież złąd odchodzę.

Sylwan.

Lecz taka jak ty kobieta, powinna dbać o ludzki szacunek.

Klaudia.

To tylko mnie może obchodzić.

Sylwan.

Ależ o... obchodziłoby równie i człowieka, co by cię kochał.

Klaudia.

Coby mię kochał,.. ja niechęć wcale być kochaną.

Sylwan.

Przecież chcesz wyjść za mąż.

Klaudia.

Bardzo się pan myli.

Sylwan.

O! to mi dobre, przecież jeżeliby Dyonizy Ronciat chciał się z tobą ożenić, poczytałabyś sobie za obowiązek i za przyjemność uczynić chęciom jego zadosyć.

Klaudia.

Nie poczuwam się ani do jednego, ani do drugiego.

Sylwan.

Ale on co innego mówi.

Klaudia.

On mówi o mnie? to dobrze... ja pewno o nim mówić nie będę.

Sylwan.

Postuchaj mnie Klaudio, za cóż cię trzeba łąpać za słowa.— Mów mi, mów wszystko z całą ufnością. Powiedz dla Boga od jak dawna znasz tego człowieka? twoje słowa będą dla mnie świętością.— Lecz jeżeli mi nie powiesz... zmusisz mnie wierzyć wszystkiemu.— *(staje przed nią z wyrazem boleści)* Przez litość, nie rozstawajmy się tak, bo to boli, bardzo boli!— Dla czegoż nie chcesz postępować ze mną otwarcie?... ty ciągle milczysz... ależ pamiętaj, że milczenie niekiedy większą jest prawdą obraży, niż słowa same. Można być zalotną ze skromnym układem. Odpychając wciąż... przyciągamy tylko więcej... Klaudio! Klaudio! musisz mi wszystko powiedzieć. *(wspiera się na szafkę i płacze)*.

Klaudia *(przechodzi na prawo, wciąż, starając się wyjść)*.

Ja odchodzę panie Sylwanie, oto jest wszystko, co wam mogę powiedzieć. Nie bronię się od robio-

nych mnie zarzutów. Dopóki moja noga w waszych postaje progach, winna wam jestem szacunek, uważam was jako swego pana, skorom się raz najęła u was do pracy. Byliście dla mnie z ludzkością i łagodnością, pozwólcież mi i wynieść ztąd to w przekonanie.

Sylwan (*z siłą, zagradzając drogę*).

Dobrze więc, powiadasz że jestem twoim panem, mam przeto prawo cię pytać i dowiedzieć się prawdy, by cię w chwili potrzeby zasłonić i usprawiedliwić.

Klaudia.

Tak, mielibyście to prawo jeślibym chciała tu zostać, a ja musiałabym wam odpowiadać; lecz ja nie chciałam i nie chcę pozostać... ja odchodzę (*z boleścią odmykając małe drzwi i patrząc na Sylwana*) Żegnaj was panie Sylwanie... (*odchodzi*).

S C E N A X I.

Sylwan (*plącząc siada przy drzwiach*).

Mój Boże! mój Boże! cóż to za duma, cierpliwość i zimna krew? Jeżeli przy tém wszystkiém nie ma poczciwości, toż to musi być ostatnia z ostatnich... A może ona niewinna... Dyonizy to niegodziwiec... a ja? ja jestem szalony... to okropnie — (*patrząc na zewnątrz*) Już woły założone, ona odjeżdża... odjeżdża! a cóż będzie ze mną? co ja pocznę, co ja pocznę?

SCENA XII.
SYLWAN I RÓŻA.

Sylwan.

No, cóż łaskawa pani, wyprawiliście nareszcie naszą służącą?

Róża.

Ja? wcale nie! Jakież ja mam prawo do waszój czeladzi? Wy ich umawiacie, wy ich opłacacie, karmicie, odprawiacie. A mnie cóż to może obchodzić?

Sylwan.

A jednak to nie my odprawiamy Klaudyę?

Róża.

Powiedziałam już raz, że nie w tém nie mam, to więcej jakaś dziewczka ma u was wiary odemnie?

Sylwan.

Boleśnięcie ją poniewierali, co wy macie dla Boga przeciw niój?

Róża.

Cóż chcecie żebym miała przeciw niój? cóż mię ona obchodzi?

Sylwan.

Kiedy tak, to powiedzcie jój, że nie żałujecie kęsa chleba dla jój starego dziadka, gdyż jój się zda je, że wam się to niepodoba i dla tego nas opuszcza.

Róża (*z gniewem*).

Wykierowała mnie na skąpą i bez serca, dla tego żem ją zapytała, czy długo myśli tu pozostać? a zresztą, czy ja mogę spamiętać co tam się z ust zerwało? Oj to ziółko takie dziewczyny, a dumne to a obraźliwe. Byle słówko powiedzieć, zaraz ci wmówią, że do nich przepijasz.

S C E N A XIII.

SYLWAN, RÓŻA, KLAUDYA, (*prowadzi swego dziadka, który chociaż ledwo się wlecze, jest cały niespokojny, czego nie było widać po nim na początku aktu*). **FOWO I MATKA FOWO** (*wchodzą jednocześnie; ojciec Fowo zostaje na stronie zamyślony i milczący, żona jego z całą dobrocią nadskakuje Rémy i Klaudyi*).

Matka Fowo (*w głębi Teatru*).

Ale gdzież tam ojcie Rémy, nikt was nie wyprawia, rozstajemy się jako dobrzy przyjaciele, i musicie wraz z nami wypić na rozstaniek.

Sylwan (*do Róży głośno*).

Otoż macie, oni odchodzą! A jednak nie wypadałoby nam odprawiać w ten sposób ludzi, którzy sami chcieli nas opuścić, a przez cały ciąg swego pobytu u nas jeno dobre od nich mieliśmy; tém bardziej, że jeszcze niedawno matka moja uprosiła ich zostać na parę tygodni. Takie postępowanie pani Róžo, może nas wystawić jako ludzi bez serca i niesłownych. — A wy coście byli zawsze dobrą i łaskawą, powinniście przynajmniej przynieść im pociechę słówkiem współczucia.

Róža.

Wyście panem u siebie. Zatrzymajcie ich jeżeli taka wola.

Fowo (*z gniewem, podchodząc z prawej strony do Róży*).

Chwilkę jeśli łaska; po was łaskawa pani, to bodaj ja jestem głową domu, a baba i smarkacz milczeć powinni, kiedy ja mówię. Prawdę mówiąc nie mogę

się żalić na tych ludzi, zrobiłem im dobrodziejstwo i nie żałuję tego. Ale także powiadam, że mogą i że powinni ztąd odejść w ten moment, taka moja wola.

Rémy (z wysileniem).

Oni powinni ztąd odejść?

Sylwan, (z lewej strony obok matki).

Wyście tu panem mój ojciec i nikt się wam nie sprzeciwia. Aleś ty poczciwy i sumienny człowiek, i dla tego nie powinienes tak łatwo przykładać wiary do tego, co tam ktoś mógł skłamać, żeby wam później nie przyszło całe życie żałować krzywdy, biednym ludziom wyrządzonej.

Róża, (z niechęcią).

No i cóż Fowo? proś ich niech zostaną. Cóż to mnie obchodzi? Widzisz przecie że twój syn na dobre przywiązał się do tej dziewczyny, i prędzej czy później będziesz zmuszony ich pożenić? Co do mnie, jabym się chciała do tego przyczynić, i tym raz na zawsze zawiązać gębę wszystkim niestusznym na mój rachunek plotkom. Sylwan może do tego stopnia dobroduszny, iż się mu zdaje, że ja pragnęłam by się o mniet starał wtenczas kiedy...

Sylwan.

Bynajmniej łaskawa pani, nigdy tego nie przypuszczała i nie rozumiem do czego to wszystko zmierzano coście mówili.

Fowo.

Ja także nie wiem pani Różo, na co wam się przydało mówić w obec tej dziewczyny, że mój syn ma zamiar z nią się ożenić, wtenczas kiedy niema

jeszcze kwadransa, jak się wygadał przedemną, co myśli o niej.

Rémy (*gra ta sama*).

Ta dziewczyna! któż to jest ta dziewczyna?

Sylwan.

Za pozwoleniem, mój dobry ojcze, co się tycze tego, nicem wam ani złego ani dobrego nie powiedział. A co mam teraz w myśli, to jeden Bóg tylko o tém wiedzieć może.

Fowo.

Dobrześ powiedział mój synu, nie zmuszajmy nikogo rumienić się, lecz ja przecież mogłem oświadczyć pani Róży, że ty wiesz o wszystkiém.

Sylwan.

Zadalekoście zaszli mój ojcze, ja nie nie wiem złego na konto Klaudyi, a zatém nie wierzę żadnym plotkom.

Fowo.

Ja sądziłem, że ci Dyonizy Ronciat opowiedział wszystko, również jak i mnie.

Rémy.

Dyonizy Ronciat?

Sylwan.

Dyonizy Ronciat nie jest jeszcze dla mnie wyrocznią.

Fowo.

No, to możesz w księgi metryczne wierzyć, chciój tylko zajrzeć do ich paralii, (*pokazując na Klaudyę*) a znajdziesz tam chrzestną metrykę dziecięcia, którego ona jest matką, a ojciec niewiadomy.

Sylwan.

Mój ojczy, mój ojczy! wyście pewni tego coście powiedzieli.

Fowo.

Zapytaj u niój samój, jeżeli zaprzeczy....

(Klaudyja podchodzi naprzód bez Rémy, który wciąż przez całą tę scenę był coraz bardziej wzruszony, wkońcu wraca do przytomności, zatrzymuje Klaudyę).

Rémy.

Zamilez moje dziecie, ani słowa więcj, teraz na twego dziadka kolój odpowiadać.

Matka Fowo.

A widzicie, wam się zdawało że stary nie rozumie, oj gorzki mu kielich daliście do wypicia!

Rémy, *(głosem wciąż wzrastającym),*

Niestety! prawdę powiedzieliście, mój gorzki kielich do spełnienia! Sądziłem że zamarł na dobre, i dla tego nie starałem się zrozumieć co się dokoła mnie działo i co ja znaczyłem na tym Bozym świecie. Lecz wyście mnie rozbudzili i pragnę żyć, żyć jedną chwilę tylko, by wam powiedzieć żeście nieszczęśliwi, o stokroć nieszczęśliwsi odemnie! Wy oskarżacie moje dziecie, moje dziecie, co więcj od was wszystkich warte, co również jak i ja nic od was nie pragnie, co pracuje jak galernik by mnie wyżywić, i która była równie dobrą matką, jak dobrą córką! Moja Klaudyo! moja biedna Klaudyo! *(Klaudyja łkając kryje się na jego łonie).* A więc tak jest, to prawda, ona była oszukana, bo w piętnastym roku życia zaufała człowiekowi bez serca i religii.

Ona pokochała, sądziła że jest pocziwym; kto kocha prawdziwie, w tego sercu podejrzliwość nie znajdzie miejsca.— I to prawda, że pod nagą biedną strzechą hodowało się dziecię zapoznane od własnego opuszczone ojca! (*Sylwan osuwa się na krzesło obok swej matki i zakrywa twarz rękami, i zostaje w tém samym położeniu do końca aktu, Rémy mówi dalej zwracając się do pozostałych*). Biedne dziecię, takie było ładne, spokojne, a pieszczotliwe, a nieszczęśliwe! Aniołek Boży, nam na pociechę zesłany, i on nam miał wstyd przynosić — o nie, myśmy go zanadto kochali, by się za niego rumienić. I w całej okolicy wszyscy go kochali wraz z nami i ubolewali, że długo nie pociągnie; takle to było wątłe dziecię, biedny mały, łzami go wykarmiła matka.— I wy nam to zarzucacie, wy wypędzacie moją córkę jak włoczęgę, a nie szczujecie psami bezczelnego, co zaprzysiągłszy jej miłość, zahaczył o nią i opuścił ją w nędzy, i co się jeszcze odważa przychodzić do was oskarżać ją o błędy, które sam popełnił? A jednak widzieliście ile cierpi ta dziewczyna i jak pracuje. Czyście słyszeli kiedy żeby się użalała, wymawiała lub się unizyła, i wyście się odważyli jej zarzucić, że chce zhałamucić wam chłopca! (*Pokazując Sylwana*). A czy wart on jej? ... Zgoda, że z niego dobry robotnik i pocziwy człowiek, ale czy przeszedł on tak jak my przez ciężkie doświadczenia? Czy go przygniotła kiedy swym podwójnym ciężarem nędza i boleść? Czy wywalczył życiem tak jak my cierpliwość i zgodzenie się z wolą Bożą? ... Nie, nie, duma was zaślepiła, cała wasza wyższość tu na ziemi to, żeście dostatniejsi od nas, ale tam! ... tam wysoko ... zo-

baczmy jeszcze, kto bliżej będzie Boga sprawiedliwego! (*Pociąga Klaudyę wgląd' za sobą*). Pójdź Klaudyo, wychodźmy ztąd! Jeszcze mi zostało dosyć siły, by się dowlec do naszej chaty i tam umrzeć spokojnie.

Matka Fowo i Róza (*pomieszana*).

Nie, ojcie Remy! wy nie możecie tak odejść...
Ojcie Remy!.....

Remy (*wciąż się zapalając*).

Odstąpcie! my nic od was nie żądamy! Wam się zdawało, że mi zabraknie siły do zastonienia mego dziecięcia — o niechciejcie probować!...

(*Wychodzi z Klaudyą, grożąc w obłkaniu osobom, co chciały mu drogę zastąpić*).

(*Zasłona spada*).

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT TRZECI.

Ta sama dekoracja co i w drugim Akcie, z tą tylko różnicą, że stół stoi na prawej stronie, na nim waza i pokrycie.

SCENA I.

FOWO, MATKA FOWO.

Fowo (*siedzi przy stole, ale nie myśli o jedzeniu, odwrócony do publiczności*).

Matka Fowo (*siedząc z lewej strony*).

Mężu! czemuż nie jecie polówki?

Fowo (*zakłopotany*).

Dziękuję moja imość, nie głodnym.

Matka Fowo.

Wypijcie szklanekę wina, to wam apetyt poprawi.

Fowo.

Nie, moja imość, pić mi się nie chce.

Matka Fowo.

Toś ty chory?

Fowo.

Ale gdzież moja imość, mam się dobrze.

Matka Fowo.

Wiesz co, mój stary, ciebie coś dręczy?

Fowo.

O że nie, to nie; przeciwnie, jestem bardzo zadowolony.

Matka Fowo.

A... jesteś zadowolony? Niéma z czego.

Fowo, (z gniewem).

Ot niéma z czego? Cóż to ulicha ma znaczyć narzeczcie? Od dwóch blisko godzin ciągle mnie drażnisz, nic mi nie mówisz — a teraz choć i patrzysz na mnie, to jakimis szklannými oczami, to do niczego niepodobne.

Matka Fowo.

Słuchaj mój stary, w oczach twój żony możesz się przejrzeć jak we zwierciadle własnego sumienia — nie cieszą cię moje oczy, bo i twoje sumienie nie może cię radować.

Fowo.

A tobieby się chciało, żebym przyznał że nasz Sylwan ma racją kochając tę Klaudyę? No pozwól sobie powiedzieć, żeś ty waryatka — a ja... ja prędej każę sobie odciąć aż po łokcie obie ręce, niż się przyłożę do tego małżeństwa.

Matka Fowo.

Tobyś wolał stracić syna?

Fowo.

Kobięto, kobięto! czy to byle mię drażnić, mówisz mi rzeczy, rzeczy, rzeczy...

Matka Fowo.

O jakże ci mężczyźni są ślepi!

Fowo (z gniewem).

Ślepy, ja?

Matka Fowo.

Toś ty nie widział, co Sylwan chciał zrobić — kiedy wózek, na którym był ojciec Rémy z Klau-
dyą, wyjeżdżał już za wrota?

Fowo.

Co chciał zrobić, co chciał zrobić? — no pobladł, słabo mu się zrobiło, pośtonił się ot i wszystko, ale to przejdzie.

Matka Fowo.

To tobie się zdało, że człowiek tak, ze słabości, pada pod koła wozu.

Fowo.

Oj jaka sprytna? jak zaczniesz sobie roić, to nie-
wiedzieć gdzie zejść możesz.

Matka Fowo.

O! to nie rojenie, chwilka jeszcze, a koło roz-
trzaskałoby mu głowę — matka tego nie roi, i bez
tego poczciwego Tomasza, co tak w porę zatrzymał
woły, jużbym ja nie miała syna.

Fowo.

Gwałtem ci się chce wmówić mi, że on to zrobił
umyślnie.

Matka Fowo, (wstając).

Ja nie chcę ci wmawiać Fowo, ale to święta
prawda. Sylwan nie osłabiał wcale. — Błady był jak
chusta to prawda, ale zupełnie był przytomny i sil-

ny, a widać że się nawet długo namyślał, bo się piérwiej obejrzał, czy nań nie patrzą; a gdy mu się zdało że go nie widzą, gdy poraz ostatni przemówił do Klaudyi, a ta nawet nie zwróciła ku niemu głowy; wtenczas zawołał — wszystko skończone! i rzucił się pod koła wozu, zapytał u Tomasza, co mu powiedział podnosząc go prawie gwałtem: »Co to wam się przydało, panisko, czy chcecie gniew Boży ściągnąć na swą głowę?« — Zapytał u pani Róży, która mu powiedziała: »Co robisz Sylwanie, czyż chcesz zabić swoją matkę?« — Ja przybiegłam, lecz próżno pytałam, nic mi nie odpowiedzieli, tyś zawołał na Tomasza ruszaj, ruszaj! a Sylwan mi wytłómaczył, że mu noga pomknęła, gdy się chciał zwrócić. — Biedne dziecię, jeszcze się wysilał na uśmiech dla swojej matki. Ale ten uśmiech mój mężu! gdybyś go widział, tak jak ja, niezmrużyłbyś oka przez noc całą.

(Płacze ze łkaniem).

Fowo *(zakłopotany).*

Jeżeli tak jest, to trzeba by... trzeba by...

Matka Fowo.

Cóż trzeba by? Ci ludzie nigdy się nie zgodzą wrócić do nas, skrzywdziliśmy ich, zarzucając im jako winę ich nieszczęśliwą dolę.

Fowo.

Już ja to wiem, że m zadaleko był zabrnął, ja to nawet wtenczas postrzegłem i żałowałem tego, i chciałem to jakoś złagodzić, ale nie chcieli mnie słuchać. Mają oni także swoją dumę! Niech sobie idą, później to się jakoś da naprawić... przy okoliczności, *(wstając)*

wiesz co, poszlijmy im półkorca zboża na zimę... Ale trzeba pierwej pocieszyć Sylwana. — Gdzie on teraz?

Matka Fowo (*nie odwracając głowy*).

A na lamusie zakopał głowę w słomę jak człowiek, co nie chce nic więcej widzieć, ani słyszeć, ani też mówić o niczym.

Fowo, (*po chwili, odwracając żonę*).

Może on zasnął?

Matka Fowo.

Gdzie mu tam spać. — Piersi mu rozrywa boleść, a tu jęknąć nie można; schował się tam, bo większa była niedola niż jego siły. Gdy ja zbliżam się do niego, udaje że śpi; ale twój siostrzan Janek, który się tam także schował nie spuszcza go z oka. Słyszał go płaczącego, a jego biedne serce to tak stuka, że ledwo piersi nie rozłamie.

Fowo, (*pochmurnie*).

Musi się wkońcu opamiętać, niech się sobie wypłacze.

Matka Fowo, (*jakby z wyrzutem*).

Tak, tak, ale dajże mu łzy, czyż ci się zdaje, że człowiekowi w pełnej sile to tak łatwo we łzach roz płynąć, jakby śnieg od słońca. A ja ci powiadam, że on nie zapłacze, ale to go o śmierć przyprawi, czy z rozpacz i szaleństwa, czy z tęsknicy i zniechęcenia do życia.

Fowo, (*odstępując od niej*).

Kobięto! ciężko mię dotykasz: to wedle ciebie ja jestem złym ojcem, lo ja zabijam, moje własne dziecię?

Matka Fowo (*podchodząc doń łagodnie*).

Nie, mój dobry, aleś ty postuchał podszeptów
pychy, pokrzywdził nieszczęśliwych, a Bóg sprawiedliwy
pokaże cię za to.— Syn twój życie obrzydził,
a nasza pani gniewa się na nas i chce nas porzucić.

S C E N A II.

**FOWO, MATKA FOWO, później RÓŻA, a jeszcze później
OJCIEC RÉMY I KLAUDYA.**

Róża (*za sceną*).

Chodźcie, chodźcie dobrzy ludzie! ja tak chcę —
a przecież ja tu jestem panią?

*(Wchodzi, zrzucą z siebie narzutkę na krzesło; Rémy
i Klaudia idą za nią z wahaniem się i zostają w głę-
bi sceny).*

Matka Fowo, (*biegąc naprzeciw nich*).

A mój Boże! wy nam ich powracacie, dobra pani.

Fowo (*postępuje powolnie i zatrzymuje się na półsceny*).

Ach! patrzcie dobra pani, toście wy ich z drogi
zwrócili.

Róża, (*zadyszana*).

A ile mi to kosztowało, musiałam pędzić czwa-
łem by ich dogonić, i kazałam, nie pytając nikogo
zawrócić Tomaszowi. O ja musiałam ich dogonić,
choćby mi przyszło powóz zdruzgotać, zawsze to
lepiej, jak pozwolić poczciwym ludziom odejść od
nas z żalem w sercu.— A wina była z naszej stro-
ny. Najprzód wasza ojcze Fowo, a później moja. Cóż
ci nieszczęśliwi winni temu, żeś ty mi napłótt nie-

stworzonych rzeczy? Wszak mię rozumiesz Fowo, lecz ja ci przebaczę wszystko z warunkiem, że ojciec Rémy i Klaudya serdecznie będą u was przyjęci... chciałam powiedzieć u mnie.

Matka Fowo, (*podchodząc do Róży*).

Jak to? dobra pani! toście wy sami... i wam zdało się... i wy zgadzacie się na...? Wiesz co, (*rzuca się ję na szyję*) wyście zacna kobiéta, dobra z was pani, to się rozumie — a serce... o poczciwe, kochane macie serce pani Rózo! Krew to u was jak siarka, ale to się zapali na chwilę i znowu do dobrogo powraca — o moje dziecko! muszę cię raz jeszcze uściskać. (*Uściska ją i dodaje z cicha*) To Bóg dobry was natchnął i tém od wielkiego uwolnił nas nieszczęścia; a ponieważ zaczęliście, to i skończycie, nie prawdaż?

R ó ż a.

A jużci! ale cóż mam robić?

Matka Fowo,

(*odciągając Różę na prawo, by uniknąć podstłuchiwać męża, który chociaż sprząta na stole, ale stara się złowić wątek rozmowy*).

Checie pójść ze mną?

R ó ż a (*cicho*).

Zgaduję! chodźmy, chodźmy!

Fowo (*do Róży, odchodząc w głąb*).

Gdzież to tak rychło, łaskawa pani, jeszcześmy się nie rozgadali; co was pociąga?

R ó ż a.

To nasza tajemnica, później się dowiesz. Daléj ojciec Rémy, Klaudyo, rozgoście się tu i wypocznijcie.

Wyście i tu tak jak u siebie, wszak mnie rozumiecie. Mój dzierżawca chce się przed wami wytłómaczyć ze swój niedorzeczności.

Matka Fowo.

Chodźcie, chodźcie łaskawa pani!

(Matka Fowo i Róża wychodzą).

SCENA III.

FOWO, RÉMY I KLAUDYA.

Fowo, *(jak nie swój)*.

Ale gdzie to tak śpieszycie, łaskawa pani? *(Chce wyjść za nią i spotyka się oko w oko z ojcem Rémy i Klaudyą)* Wróciliście zatem mój stary? to dobrze. Najprzód, ja nic nie mam przeciwko wam. Wszak mię rozumiecie ... że ... że z powodu naszej pani.... a ta gorączka ... powiedziało się jakieś słówko późnij drugie. *(starając się odejść, mówi na stronę)* Ale gdzieżście to poszli łaskawa pani? *(Rémy i Klaudya ustępują mu z drogi, Rémy patrzy nań zimno i obojętnie, Klaudya tak jakby nic nie widziała)* Ależ siadajcie, bądźcie tak jak u siebie — tak chce nasza pani. A ja tymczasem pobiegnę zobaczyć, dokąd ona tak śpieszyła. *(wymyka się).*

SCENA IV.

RÉMY I KLAUDYA.

(Podchodzą na awanscenę. Klaudya chmurna i zamyślona).

Klaudya.

Pocóście mnie tu przyprowadzili, mój dziadku?

R é m y.

Czyż ty tego nie chciałaś moje dziecko? czyż ja kiedy ci robiłem na przekorę?

K l a u d y a.

Alem ja wcale tego nie życzyła, drogi dziadku! I to mimo méj wiedzy posłuchaliście nalegań pani Róży.

R é m y.

Tys była chora.

K l a u d y a.

Jam wcale nie chora. A o téj porze bylibyśmy już w domu. Co my tu będziemy znaczyć? mój Boże! Nie tu nam miejsce.

R é m y, (spoglądając nań).

Cóż chcesz? Pani Róża tak jest dobrą: błagała, płakała; czyż można było nie uczynić zadość jéj szczeréj, serdecznój prośbie? Ja myślałem, żeś chciała jéj przebaczyć i zobaczyć się z matką Fowo; ona cię tak kocha.

K l a u d y a.

Ja wszystkim przebaczam — ale wracać tu nie chciałam. A tyś mię nie usłuchał mój dziadku.

R é m y.

No, nie gniewaj się Klaudyo! Cóż chcesz? w moim wieku, i zwłaszcza po takiej chorobie, to człek traci wolę i charakter.

K l a u d y a.

O nie, dzięki Bogu, wyście pozdrowieli jakby cudem Bożym. *(poglądając nań z koleji)* Wyście krzepcy, spokojni, odmłodnieliście, mój drogi dziadku! a więc uchodźmy ztąd.

R é m y.

Ja nie czuję się źle, ale takem słaby, tak słaby, moje dziecko! (*Siada z lewej strony niej, i kapelusz kładzie na stole.*)

Klaudia, (*klękając przy nim*).

Ach mój Boże! to prawda, musicie być osłabieni. O mój biedny dziadku! to ja was zabijam.

R é m y.

To mi dobre, czyż ja się na co użalam? Poco mi to mówisz? Czyżem ci kiedykolwiek robił wyrzuty, powiedz?

Klaudia.

O wyście dla mnie jak opatrzność sama!

R é m y.

Nie jestem ja wcale opatrznością, moja Klaudio, ale tylko biednym starcem, którego nieszczęścia zła mały, jak wątlą słomkę, lecz któremu Bóg dobry zesłał wielką pomoc, bo mi dał taką jak ty wnuczkę.

Klaudia (*ponuro*).

Wnuczkę, co ściągnęła hańbę na twoje siwe włosy.

R é m y (*wstając wraz z Klaudya*).

Zamilcz Klaudio, ty nie masz prawa oskarżać i przeklinać wnuczki którą ukochał. Twój błąd tylko ciebie zgubił, a moim obowiązkiem starać się być o tём zapomniata. Zbawca świata wziął na swe barki owieczkę zbłąkaną, a czyż tego, co dobry pasterz zrobił dla swój owieczki, ojciec nie robi dla swego dziecięcia? dosyć cierpiałas, dosć łez, dosć pracy, dosć było pokuty moja Klaudio. A grzech nasz był jednaki:— obojeśmy ufali zbyt; nie wiedzieli, że

są źli ludzie, serca przewrótne. I ciężkaśmy odnieśli karę, bośmy stracili naszego małego. Oprócz mnie ty nie masz nikogo, a dla mnie cóż bez ciebie zostanie na ziemi? I mybyśmy jeszcze się nie mieli kochać? Dostyc już szarpać twoje biedne serce — słyszysz Klaudyo! ja ci każę żebyś sobie przebaczyła, darowała, taka jest moja wola.

(Pod koniec rozmowy, Rémy rozwiązał sznurki z narzutki Klaudyi i daje jój znak, by narzutkę złożyła na krzesło, ona słucha go).

Klaudy a.

Mój dziadku, ja was tylko kocham, was jednego na świecie.

S C E N A V.

RÉMY, KLAUDYA, MATKA FOWO I RÓŻA *wprowadzają SYLWANA prawie gwałtem.*

R ó ż a.

No, dalej Sylwaniu! wszyscy powinni mnie dzisiaj słuchać.

Matka Fowo.

Tak, mój Sylwanku! nie można się pani opierać.

(Sylwan podprowadzony do Klaudyi, drży cały i chciałby się wyrwać).

Sylwan.

Matko! pani Różo! ja nie wiem wcale, czego po mnie wymagacie?

R ó ż a.

To nie chcesz powiedzieć ojcu Rémy, że ci przyjemnie z nim się obaczyć — a kiedy tak, to ja go z so-

hą zabieram, mam mu wiele do powiedzenia. (*Bierze Rémy pod rękę z lewej strony*).

Matka Fowo, (*biorąc go z drugiej strony pod rękę*).

Ja także mam coś do powiedzenia. Chodźcie ojczy Rémy.

Rémy, (*zabierając swój kij i kapelusz*).

Czy to ma być jakaś tajemnica?

Róża.

Być może, zobaczycie. Chodźmy, czyż się mnie lękacie? Oh! nie tak jestem złą, jak może na to wyglądam.

(*Klaudyja chce iść za swoim dziadkiem, Matka Fowo zatrzymuje ją z uśmiechem*).

Matka Fowo.

A! moje dziecko zanadto ciekawa.

Rémy (*naiwnie do Klaudyi*).

Toś ty ciekawa, moja Klaudyo?

(*Klaudyja zatrzymuje się zakłopotana, w chwili wyjścia Sylwan zostający w głębi chce odejść z niemi, Róża go zatrzymuje*).

Róża.

Sylwanie! chwilkę cierpliwości; zabaw Klaudyą, ona wiele doznała przykrości, i każdy z nas obowiązany ją pocieszać.

Sylwan.

Ależ ja nikomu nie wyrządziłem krzywdy, ani obelgi.

Róża.

Co do mnie, ja tego o sobie powiedzieć nie mogę, i dla tego muszę się przed ojcem Rémy wyspo-

wiadac — a wiesz, że przy spowiedzi świadków nie potrzeba; możesz więc tu pozostać. (*Popycha go ku Klaudyi i wychodzi z matką Fowo i z ojcem Rémy*).

S C E N A VI.

SYLWAN I KLAUDYA.

Klaudia, (*z wysileniem*).

To święta prawda, wyście mi nie przyczynili boleści, panie Sylwanie, ja nie mam do was żalu najmniejszego — a zatém... nie potrzebujecie z niczego się tłumaczyć. (*chce odejść*).

Sylwan,

(*nie zatrzymując ję, staje jednak tak, by ję zagrodzić drogę*).

Zapewne, nie potrzebujemy już niczego sobie tłumaczyć. Ja nie pojmuję po co mię tu przyprowadzili. Wyście tu Klaudio, to dobrze! Ja nic nie mam przeciw temu. Zle zrobili, że was obrazili; dobrze, że was chcą pocieszyć. — Ale cóż to do mnie należy.

Klaudia.

Wiedziałam o tém, i jeżeli tu jestem, to mimo mej woli, ja nie chciałam wrócić — o! i nigdybym nie wróciła. Mój dziadek dał się namówić pani Róży, ale my tu nie zostaniemy, nie możemy zostać.

Sylwan, (*z gniewem*).

O! ja nie przeszkadzam ani odjechać, ani też zostać; jeżeli sądzicie że ja należę do téj dzisiejszej komedyi, to bardzo się mylicie. Co to do mnie należy? Bo czyż ja mam prawo wtrącać się do twoich myśli, twojej przeszłości, twojego prowadzenia? Rób

jak chcesz, żyj jak się podoba, ja się tém nie zakłopotę.

Klaudia, *(z rezygnacją)*.

(w przeciągu całej sceny prawie się z miejsca nie rusza).

A któż was prosi, byście się kłopotali?

Sylwan, *(ożywia się powoli)*.

Oh! bo tu nie dawno jeszcze, niewiedzieć jakich niestworzonych nie nagadali rzeczy; ale zgodźcie się sami, czyżem wam kiedy powiedział chociażby jedno słowo, którego bym w obec całego świata nie mógł powtórzyć.

Klaudia.

Jabym tego nie zniosła.

Sylwan.

O! ja wiem żeście dumna i odważna — To bardzo właściwe w waszém położeniu.

Klaudia.

Człowiek poczciwy, dobry chrześcijanin, poczytałby sobie za obowiązek, nigdy mi nie wspominać o mojem położeniu. A ponieważ wy nie macie tyle serca by to zrozumieć; proszę więc na zawsze uwolnić mię od swoich rozmów.

Sylwan, *(chodząc wielkimi krokami)*.

Oh! ja was nie obrażam, ja się tylko lituję nad wami.

Klaudia.

Schowajcie waszą litość dla tych, co jęj prosić będą.

Sylwan.

Doskonale! chcecie pewno, by was czcili jak świętą, nie prawdaż?

Klaudya, *(powolnie)*.

Niedola co się nie narzuca i nie uskarża, ma prawo do szacunku.

Sylwan, *(kryjąc się ze łzami, z przekorą)*.

Niedola co nie narzeka; bywają zdarzenia, że to zakrawa na hańbę, co się kryć musi. Mnie się zdaje iżby więcej szanowali wasze nieszczęśliwe położenie, jeżelibyście tak zręcznie nie starali się go pokryć tajemnicą.

Klaudya.

Biędni, panie Sylwanie, muszą na życie pracować.— A dziewczynę, w mojem położeniu, jak sami powiadacie, każdy odepchnie, dla tego więc by mieć pracę, muszę milczeć.

Sylwan *(z żywością)*.

I kłamać?

Klaudya, *(wahając się)*.

Komużem skłamała? nikt mię nie pytał.

Sylwan, *(głośno)*.

Przeciwnie, ja was dziś jeszcze z rana pytałem, ot tu, na tém miejscu.

Klaudya.

I ja skłamałam przed wami?

Sylwan.

Milczeć w pewnych okolicznościach, jest to samo co kłamać.

Klaudya.

W pewnych okolicznościach! w jakich okolicznościach?

Sylwan.

Gdy się przyjmuje czyjeś przychylnie uczucia, nie wyznając mu czém się jest.

Klaudia.

Macie racya, ale gdy się nie przyjmuje téj przychylności, wtenczas nie mamy żadnych obowiązków względem nikogo.

Sylwan.

A tém lepiej, chowajcie sobie wasze tajemnice i wasze przychylności, nikt ich od was nie żąda więcéj. (*Dają się słyszeć głosy za sceną*) Chyba może Dyonizy Ronciat! Mój Boże! — bo to jego głos słyhać.

Klaudia, (płacząc na stronie).

Dyonizy Ronciat... O dla Boga! na jeden dzień, to już za wiele.

(Osuwa się na krzesło znękana; Sylwan zdrczony siedzi z drugiej strony i chce na się przybrać objętną fizyognomią).

S C E N A VII.

SYLWAN, KLAUDYA, RÓŻA, DYONIZY RONCIAT, RÉMY,
FOWO, MATKA FOWO.

Róża, (wchodząc pierwsza).

Bardzo dobrze, jeżeli chcecie się wytłómaczyć, możecie to zrobić w obec mnie i całej rodziny.

Dyonizy, (idąc za nią).

Eh! cóż mi tam, ja się nie lękam nikogo.

Fowo (wchodzi z Rémy).

Ojcie Rémy! uspokojcie się, nie róbcie u nas rejwachu.

(Idzie na lewo i siada na rogu stołu, Matka Fowo zbliża się do Sylwana z niespokojnością, Rémy staje za krzesłem swęj wnuczki i patrzy nic nie mówiąc).

Dyonizy.

No, jakże? nie prawdaż? dziwno wam mnie tu widzieć?

Róża.

Rzeczywiście, bom was prosiła żebyście nas uwolnili raz na zawsze od swego towarzystwa.— Macie zamiar coś zrobić złego, ale tego już nie potraficie cichaczem dokonać; a ludzie, których oskarżacie, potrafią się bronić.

Dyonizy.

Jeżeli tu wracam, śliczna Różo, chociaż odprawiliście mnie z kwitkiem, widoczna, że to nie dla was przychodzę.— Pozwólcie mi więc rozmówić się z tym starym w mieszkaniu twoich dzierżawców.... Przychodzę tu w zamiarze.... ot tak sobie pogawędzić, byle się jakkolwiek porozumieć.— Możecie sobie przywołać całą czeladź na świadków; oh! ja się zgadzam na wszystko! No i cóż? jakże będzie?

Fowo, (ze swego miejsca).

Zgoda na wszystko, byle się już więcej nie spierać i nie wadzić. — Jak na dzisiaj dosyć już tego mamy, tych kłótni.

Rémy, (bardzo spokojnie).

Nie frasujcie się ojczy Fowo, ja wam za pana Dyonizego Ronciat odpowiadam.

Dyonizy, (ośmielając się).

O! co do tego, macie zupełną słusność, ojczy Ré-

my!... I wiesz co mój stary, mam nadzieję, że po-
tém co ci mam zamiar powiedzieć, prędko się po-
rozumiemy. (*Kłapie go po ramieniu*).

Rémy, (*z szyderstwem*).

A! panie Ronciat, mamy już szczęście być z so-
bą na *ty*? raczyłeś dotknąć mojego ramienia? Czy
nie zawiele to dla mnie-zaszczytu?

Dyonizy, (*stropiony*).

Dzisiejszego wieczora, wyście w wesołym humo-
rze ojcze Rémy! zdrowie wasze widać znacznie się
poprawiło? Bardzo mnie to cieszy.

Rémy.

Bardzo mi jest dobrze. Zbytek łaski.

Fowo, (*na stronie*).

Oj źle! będzie lichy. (*ze swego miejsca*) Powiedzcie
ojcze Rémy... czy...

Rémy (*do otaczających*).

Dozwólcie mi wysłuchać co nam pan Ronciat ma
powiedzieć. Ja czekam, jużś pan gotów.

Dyonizy.

Zawsze, słuchajcie tylko dobrze.— No, niema co...
wyrządziłem wam przykrość — aleście się odpłacili
wzajemnością. Chcecie mnie ogłosić za człowieka bez
serca. Nie kryjecie się z waszą historią, a to się
diable prędko rozchodzi. Chcecie wszystkich przeciw
mnie poburzyć, to widoczna. Kiedym tu wracał,
cała parafia, już była źle o mnie uprzedzona; i proszę
łaskawie jak tu słuchać, kiedy na cię wołają: »A ty
totrze! tyś chciał wypędzić starca Rémy; lecz pa-

trzej śliczna Róża zwróciła go z drogi!« Kiedy kobiety grożą pięściami, a dziatwa o mało kamieniami nie poczęła ciskać... Wszystko to stawi mnie w śmiesznym położeniu... Nie dość już żęście się przyczynili u pani Róży tak pięknie, żem został odprawiony z kwitkiem; chociaż przedtęm to jakęś nie bardzo krzywo na mnie patrzała...

Róża.

Bezczelny! jakie kłamstwo.

Dyonizy.

I po cöz się gniewać, moja śliczna, chciałaś mówić ze mną w obec wszystkich; zęgoda i ja nic nie ukrywam. To darmo, ojczę Rémy, ja nie mogę zostać dłużęj w takim położeniu, musimy raz przecie skończyć. Mówcie otwarcie — Ilebyście chcieli na wynagrodzenie krzywdy, którą wam wyrządziłem, niema co, jeżeli tylko sumka nie nazbyt wielka.... to jakoś się to załatwi.

Remy, *(zawsze spokojny)*.

Ofiarujecie mi pieniądze, panie Ronciat? I... za cöz to, jeżeli wolno być ciekawym?

Dyonizy.

Jak to! czyż mnie nie pojmujecie?

Remy.

Ani trochę, widzicie żem już mocno stary; powstałem z ciężkiej choroby, trzeba mi więc darować; prawie zupełnie straciłem pamięć.

Dyonizy.

Cöz to? żarty, ojczę Rémy? już zapomnieliście o...

R é m y.

Nie sobie nie przypóminam, a nie mogę przecież przyjąć od was pieniędzy, nie wiedząc czy zapracowałem na nie.

Dyonizy, (*zmięszany*).

Zapracował! zapracował! ja tego nie mówiłem. Wiem-ci to ja dobrze żeście nigdy nie pochwalali mojej swawoli. Wyście poczciwy człowiek, ja się o to nie spieram. Wam się zdawało, że ja się chcę ożenić z waszą wnuczką?...

R é m y.

Prosilicie więc o jej rękę, i to nie żartem, w obec rodziny? jak przystało na poczciwego człowieka? Poczekajcie-no chwilkę, niech-no sobie to wszystko przypomnę.

Dyonizy.

To mi dobre, po co tu długie gawędy? wy pamiętacie wszystko, a ja nie myślę zaprzeczać. Rzeczywiście, wszystko między nami było już tak jakby skończone, rodzice moi zgodzili się na nasze pobranie.... Ale ja nie miałem zamiaru was oszukiwać. Doprawdy, ani mi przez myśl to nie przeszło. Byłem jeszcze taki młody, a szczery, a głupi! Ja się kochałem, i dla tego nie miałem się na baczności.— Twoja wnuczka, było to gorzkie dziecię; ona nie pojmowała nawet niebezpieczeństwa — i biegaliśmy razem jak dwoje narzeczonych, bez żadnej złej myśli — i gruchaliśmy, gruchaliśmy aż niewiedzieć jak... No, ale skorobyśmy się pobrali, Bóg dobry przebaczyłby, no i nie było tak w tém nic złego.

Rémy, (z wyrzutem).

O! wielkie w tém jest złe, gdy chłopak niepocciwy. Bo dla tego by potém zerwać, trzeba mieć ważne powody; powiedzcie szczerze, jakieście pocciwi, czyście poznali, że moja wnuczka będzie złą żoną? czy była kokietką? mówcie śmiało. Może dawała słuszne powody zazdrości? może się trzpiotała?

(Podczas gdy to mówi, Klaudya wstaje i bierze za rękę Rémy, jakby się kryła pod jego opiekuńcze skrzydło, Rémy sadza ją, wciąż patrząc na Dyonizego).

Dyonizy.

Nie, ja prawdzie zaprzeczać nie myślę; chociaż widzę to dobrze, iż prawie gwałtem zmuszacie mnie bym się ze wszystkiego wypowiadał... Wina była z mojej strony. Klaudya... mówię to w obec jój samój, Klaudya była cnotliwą, przywiązaną do mnie, i byłem tak jój pewny...

Rémy.

Jak to? więc porzucicieś ją bez powodu?

Dyonizy.

Miałem powody i bardzo słuszne, lękałem się nędzy, żeniąc się z dziewczyną, co nic nie miała.

Rémy.

Ach tak! to prawda. Ona już nic nie miała. Ciotka, po której mogła odziedziczyć, ni ztąd ni zowąd uprojektowała sobie wyjść zamąż na starość, i to właśnie w czasie waszego narzeczenia, a więc dla tego zmieniliście swoje zamiary; nie sądziłem, abyście tylko tyle mogli powiedzieć na swoje usprawiedliwienie.— No ale ponieważ sam to wyznajesz...

Dyonizy.

Do licha, pociście mnie ciągnęli za język?

Rémy.

Jednak nie możecie temu zaprzeczyć?

Dyonizy.

No tak, cóż chcecie? wieluby tak samo na mo-
jém miejscu postąpiło. Rodzice moi mieli wprawdzie
fortunkę, ale trzeba było koło niej pracować.— No,
a ja nie do pracy się hodowałem. Baw się, mówio-
no mi, baw się, tyś bogaty, ożenisz się z kim ci
się zamarzy, boś ty jedynak. Będziesz sobie panem.
No, nic dziwnego, zasmakowało mi takie życie— a
widząc żeście zrujnowani, powiedziałem sobie, że
albo będę musiał wrócić do pługa i pracować w po-
cie czoła, albo złapać przyzwoity posazek i dalej
takie życie prowadzić.— Oto cała moja wina, wy-
znaję ją szczerze, już to taka moja natura.

Przeniostem majątek nad miłość, i co za dziwota?
oto postąpiłem za przykładem wielu innych. Możem
się pomylił, błąd mój nie poszedł mi na rękę, już kilka
razy nie udała mi się żeniaczka; i dla tego opuści-
łem nasze strony i przyszedłem tutaj szukać sobie
żony, mając na celu zabezpieczyć waszą przyszłość,
jak tylko długi swoje popłacę. A tu zamiast mnie
pomagać, zachodziecie mi drogę.— Trzeba już to raz
skończyć, powiedzcie mi przecie czego odemnie żą-
dacie, a skoro się dowiedzą żem załagodził tę sprawę,
może mi nie będą już nią oczy wypiekać.

Rémy.

Zanadtoś wspaniałomyślny, panie Ronciat, ofiaru-
jesz mi pieniądze w zamian za utracony honor i do-

bre imie, musiałem w waszych oczach upaść bardzo nisko, kiedy się odważacie robić mi takie ofiary. *(Postępuje krok naprzód i zwraca się do innych)*. Dobrzy ludzie, coście mię przytulili i ratowali od ostatniego żniwa; powiedzcie, może podczas choroby kiedyś był nieprzytomny, dopuściłem się jakiej podłości, któraby mogła upoważnić pana Ronciat rzucić mi w oczy taką obelgę, w obec was wszystkich.

F o w o.

O naprzykład, to mi piękne! Wście człowiek zacny, godzien uszanowania, ja za to ręczę.

Matka Fowo.

I ja także! A wnuczka godna swojego dziadka.

R ó ż a.

I trzeba być podłym, by wam za krzywdę ofiarować pieniądze.

Matka Fowo.

Nie podlewajcie oliwy do ognia, pani Rózo, ojciec Rémy i tak już mocno gniewny.

(Sylvan powstaje, jakby się budził z odrętwienia i patrzy wciąż na Klaudyę).

R é m y.

Nie lękajcie się matko Fowo, tak jestem spokojny w duszy, jak będę w chwili skonań. To was zadziwia? Zadziwia to pewno i pana Ronciat? Zapewne nieraz sobie pomyślał czem się to dzieje, że ja przez pięć lat milczałem cierpliwie? Dla czego ja, stary wiarus, jeszcze krzepki i zdrowy, silniejszy od ciebie, coś nigdy nie pracował, jeszcze cię nie zgniotł jak muchę, lub nie roztrzaskał głowy o pierw-

szy kamień przydrożny. — Ja ci to powiem, teraz na mnie kolej szczerze się wypowiadać. Ja byłem ślepy, byłem niesprawiedliwy, względem mego dziecięcia. — O tak, jam jęj straszną zadawał obelgę podejrzewając, że w jęj sercu została jeszcze iskra przywiązania do takiego jak ty człowieka. Teraz przepraszam ją publicznie za mą niesprawiedliwość, (obejmuje Klaudyę, mówi dalej do Dyonizego), ale razem wyznaję, iż pomimo że się zapierała, jam sobie wyobrażał, iż jęj łzy wylewane w ukryciu i jęj wstręt do małżeństwa, pochodziły z niewygasłych jeszcze wspomnień, z niewyrugowanego przywiązania. Po sto razy brałem się do maczugi, by czałować na cię w lesie, i po sto razy wypadała mi broń z ręki, gdy przez uchylone drzwi dostrzegł moje dziecię modlące się we łzach, a może też ona za ciebie modliła się w tęg chwili? Lękałem się by mszcząc krzywdy mego dziecięcia, nie zostać dlań nienawistnym.

Dyonizy, (*wzruszony*).

Zaprawdę! wysłuchajcie mnie ojczc Rémy, że bym ja mógł przypuszczać że Klaudya do mnie przywiązana... ale nie, wszak tu na tęg miejscu właśnie podczas dożynek, ona mi powiedziała, że mnie nie kocha... cóż dziwnego? ... jakże ja jęj miałem co innego osłarować?

Rémy.

I powiedziała ci prawdę — ja to wiem; a wiem od dziś załedwie. Oto dla czego widzisz mię spokojnym, — bo teraz mogę cię nareszcie ukarać.

Fowo.

Ojczc Rémy! ojczc Rémy! uspokojcie się.

Dyonizy, (*nabierając odwagi*).

Ej! dajcie mu pokój, ja się bronić nie będę od człowieka w tym wieku — wolę odejść.

Rémy.

Nie lękaj się Dyonizy Ronciat, nic ci się nie stanie. Sądziłem żeś ty niegodziwy, a ty tylko jesteś podły. Jedyna kara jaką cię obarczę, to moja pogarda. — Wynoś się zład pókiś cały, ja ci daruję. Wynoś się zład z twoją pychą i lenistwem, z twojemi pieniędzmi i bezczelnością, z jakąś mnie je ofiarował.

Fowo.

To lubię, to, panie, zaszczyt przynosi, gdy człowiek może mówić w ten sposób.

Matka Fowo.

Dobrze, ojcze Rémy, pocziwieście postąpili.

Róża.

Godna mowa, zacne postępowanie.

Dyonizy, (*przygnieciony wstydem, jakby się broniąc od spójrzeń wszystkich*).

A więc to tak? Łoście wy łapkę nastawili na mnie, by później wszystkich przeciw mnie oburzyć? Ba i bardzo! ja znajdę sposób zawiązania wam gęby... nie wiem jeszcze co zrobię... ale pomyślę i znajdę jakikolwiek sposób... o czém wy ani myślicie... ani ja nawet. (*Odwraca się do wyjścia*).

Róża.

A tymczasem poszukajcie sobie drzwi do wyjścia — czas bo już.

Dyonizy, (*wracając*).

Wam się zdaje, że ja odejdę zład zбитy, niestawny i zgnębiony? Otoż bardzo się mylicie — ja wam dowiodę zem więcej wart niż myślicie.... Ojcie Rémy, raczcie posłuchać. — Klaudyo, powiedz mi że kochasz mię jeszcze, i że dla tego nie chciałaś ani słyszeć o pójściu zamaż. (*Poruszenie Sylwana*). A niech mię diabli porwą, jeżeli się z tobą nie ożenię.... (*cisza*) No i cóż Klaudyo, ty mnie nie słuchasz? Ja jestem Dyonizy Ronciat i ofiaruję ci swoją rękę — jestem poczciwy człowiek! No prędzej śpieszmy się, bo do licha mogę się później rozmyślić.

Rémy

(*do Klaudyi, która przez całą tę scenę była jakby skamieniała*).

Moje dziecko, czy słyszysz? na ciebie kolój odpowiadać.

Klaudia, (*z powagą wstając*).

Mój dziadku! dla tego by zaślubić, trzeba w obec Boga zaprzysiądz mu miłość, szacunek i poważanie na całe życie. A gdy się tego człowieka tylko pogardza, byłoby to kłamać Bogu, krzywoprzysięgać. Ja odmawiam.

Dyonizy.

Jak to, bez żartu tak?

Klaudia.

Odmawiam.

Róża.

I jabym to samo na jej miejscu zrobiła.

Rémy, (*do Dyonizego*).

Tys ofiarował zadosyć uczynienie, odrzucono je — teraz na mnie kolój wymagać co mi się należy.

Dyonizy, (*nakłada kapelusz*).

A! niech mię kaczki zdepczą, kiedy wiem, czego jeszcze możesz po mnie wymagać.

Rémy.

Musisz opuścić te strony.

Dyonizy.

O! na honor, z wielką przyjemnością. Już oddawna miałem to na myśli.— I nie darmo; któżby chciał żeby go palcami wytykano. Dobrej nocy całemu towarzystwu! Ruszam do mego wujaszka Raton, więcej 30-tu wiorst ztąd, i ręczę wam, że tam mi się lepiej powiedzie, i potrafię w końcu pomyślnie się ożenić. (*Do Rémy*) Byleście tylko nie przychodzili tam na żniwa. Dajcie mi słowo, że już więcej nie będziecie mnie prześladować.

Rémy, (*biorąc go za kołnierz i potrząsając zlekka*).

I ty mi jeszcze śmiesz przepisywać warunki... Zabraniam ci pokazywać się w naszej parafii, lub gdziekolwiek moja wnuczka mogłaby cię napotkać. Przysięgnij na to.

Dyonizy.

Ale... przysięgam (*patrzac na Różę*) i nie żałuję tego.

Rémy, (*dając mu znak do odejścia*).

Niech ci dobry Bóg przebaczy, jak my ci przebaczymy. Bodajes mógł jeszcze się nawrócić i naprawić wszystkie złe, coś tu zrobić. A teraz możesz odejść. Bywaj zdrów.

Dyonizy.

(Waha się, czy ma się pokłonić Klaudyi; która nań nie patrzy; nie odważa się na to i mówi):

Bywajcie zdrowi ojcze Rémy. *(nakłada kapelusz i odchodzi z naciąganą pewnością)*. Powolne służby całej kompanii.

SCENA VIII.

CIŻ SAMI, oprócz DYONIZEGO RONCIAT.

Matka Fowo niespokojna o Sylwana, który wciąż stał powury i milczący, zostaje przy nim; Róża podchodzi do Klaudyi, Fowo do Ojca Rémy).

Fowo *(do Rémy, wyprowadzając go naprzód)*.

Zaprawdę, czy nie zagwałtownie postąpiliście odmawiając małżeństwa, które wam wracało opinię ludzką?

Rémy.

Zapewne, to mogłoby nas podnieść w ludzkiej opinii; lecz trzeba byłoby ją za drogo kupować. Trzeba byłoby kłamać w obec Boga, fałsz zadać własnemu sercu i sumieniu.— Myśmy chrześcijanie przedewszystkiém ojcze Fowo.

Fowo.

I dobrzy chrześcijanie, możemy oddać sobie sprawiedliwość. Twoja Klaudya, wiesz co, to dziarska kobięcina, to ją dosyć usprawiedliwia, że nie piśnawszy ani słówka, potrafiła zmusić swego uwodziciela, ot tak panie, milcząc sobie, ofiarować jój zadosyćuczynienie. A co do was ojcze Rémy, to proszę wierzyć, wyście co się nazywa człowiek; i wie-

cie co, ja czuję to mocno, że zawiniłem dziś zrana was obrażając? to mnie martwi, doprawdy; kiedy mi przebaczacie, to dajcie mi rękę na zgodę — ot tak, od serca.

R é m y, (*ściskając go za rękę*).

Z całego serca, ojcze Fowo! ale to z całego serca, słyszycie?

F o w o,

(*sposstrzega iż Sylwan przysłuchuje się z natężoną uwagą;
Matka Fowo także przysłuchuje się*).

Mówmy ciszej, cóż za potrzeba wspominać o sercu przed... temi dziećmi.

R é m y, (*nie zniżając głosu*):

A to dla czego? Jeżeli kto miał złą opinię o méj wnuczce, czyż nie zechcecie dać z siebie przykładu, jak ją trzeba poważać?

F o w o (*półglosem*).

Zapewne tak, przyjdzie to z czasem, ale teraz trzeba ostrożności, oględności. Jeżeli chcecie ją wydać zamąż kiedykolwiek, pocóż jój nieszczęście rozgłaszać?

R é m y.

To wam się zdaje, że ona nie warta pocziwego chłopaka, co by się więcej oglądał na dobroć Bożą, niż na zawziętość ludzką.

F o w o, (*z umysłem*).

Zawziętość, jeśli chcecie, tak jest.... ale ona wszędzie panuje — i skoro dzieci na to są niebaczne, rodzice muszą się za nich oglądać.

R é m y,

(cicho szturchając Fowo łokciem i pokazując na Różę, która wciąż stoi przy Klaudyi).

Przecież pani Róża więcej dała powodów do mówienia o sobie niż moja wnuczka, a czyż dla jej dobrego serca i dobroczynności, nie może jej tego poczciwy człowiek przebaczyć i pokochać.

F o w o.

Jużci tak, ale do czego to wszystko zmierza?

R é m y, *(z umysłem, ciągle cicho),*

A ponieważ oprócz tego ona jest bogatą, wieleby się znalazło rodziców, co by chcieli z nią swoich synów pożenić.

F o w o, *(draśnięty, głośniej).*

Czy to mówicie dla tego, by mię dotknąć?

R é m y *(głośno).*

Wcale nie, ja tylko moją wnuczkę mam na względzie. Dla mnie Klaudya jest uświęconą przez cierpienie, i dla tego nie mogę słuchać gdy mi kto dowodzi, iż ludzka opinia może coś jej ująć.

F o w o, *(bardzo głośno z gniewem).*

Ludzka opinia! to moje zdanie, i od niego ja nie odstąpię. *(Dobitnie)* Jeszcze dla tego, że wy pięknie mówić potraficie, nie trza mnie za głupca uważać.

Matka Fowo, *(stając między niemi).*

A to mi dobre, właśnie teraz pora do kłótni?

R ó ż a, *(pociągając Rémy do siebie).*

Cóż tam takiego się stało?

F o w o.

Oto jest, że stary strasznie zawzięty ze swą dumą.

R é m y,

(z początku spokojnie, a później powoli się zapalając).

Moja duma! o to nie to, ojczy Fowo! wy mię nierozumiecie. Moja duma, ona zdruzgotana, jam ją dziś własnymi podeptał nogami! I tém oddałem hołd uwielbienia sprawiedliwemu Bogu, co mi cudownie siły i rozum powrócił, właśnie w chwili, gdy moje dziecię zbezczeszczone, zelżone, najbardziej potrzebowało mojej pomocy. Była chwila, że gniew wrzał we mnie, byłem nieprzytomny. To choroba szamała się we mnie z uzdrowieniem.— Lecz to trwało jeden moment — i rozjaśniło mi się w oczach, i zdawało mi się, gdym do was przychodził, iż Przedwieczny objawił mi widocznie swe prawdy, i widziałem je oko w oko. — A wtenczas wszystko, co mię przygniatało... i moja duma, jak ją nazywacie, rozpierzchła się jak mgły poranne przed promieniem Bożego słońka.— O tak! Bóg jest wielkim, Bóg jest sprawiedliwym — On chce żeby prawda panowała tu na ziemi.

(Fowo słuchał w milczeniu, Sylwan podchodzi i klęka przed ojcem Rémy).

S y l w a n.

Wyście prawdę powiedzieli, człowieku dobrej woli! I dla tego moja pycha, moja niegodziwa pycha upokarza się przed wami. Proszę was o rękę waszej wnuczki, którą nauczyliście mnie szanować, ile ona na to zasługuje. *(Rémy pokazuje mu gościem, że to Klau-dya powinna odpowiedzieć. Sylwan wstając do Klau-dyi).*

Klaudio! przebacź mi, przyjmij mię za dożywotniego opiekuna. Jam cię kochał nad życie — a gdym się dowiedział o prawdzie, o! jam cię nie obwiniął o nic, Bóg mi świadkiem, ale zazdrość mną miotała. — Ale ja nie będę nawet zazdrośny, nie mam do tego żadnych powodów. Zaufaj mi, będę cię kochał i zastaniał tak szczerze, jak cię dziadek twój kocha. Zaufaj mi, wierzaj, ja się nie ulękne świata, i potrafię go zmusić szanować moją żonę.

Klaudia, (*zwracając się do Sylwana*).

Nie, Sylwanie! jam przysięgła ukarać siebie, niosąc sama całe brzemie swego błędu.

Matka Fowo, (*podchodzi do Klaudy*).

Klaudio! może dla tego tak mówisz, by mnie się nienarazić, ale wiesz przecie, że ja cię zawsze za córkę sobie pragnęła.

Klaudia, (*zwracając się do Matki Fowo i Róży*).

Matko Fowo! żądajcie odemnie życia, oddam je dla was z ochotą, ale więcej nic zrobić nie mogę.

Róża.

Klaudio! jam cię najbardziej obraziła, czyż chcesz bym padła przed tobą na kolana?

Klaudia.

Pani Różo! to ja powinienam klęknąć przed wami, by wam za waszą dobroć i wszystkie łaski podziękować, ale nie wymagajcie odemnie tego, czego uczynić nie mogę.

(*Sylwan zrospaczony odmową Klaudy, rzuca się na szyję ojcu*).

Fowo, (*zwyciężony do Klaudyi*).

Moje dziecie, to pięknie z twojej strony tak się trzymać — ale przez litość dla siebie i dla mojego biédnego syna, zaufaj jego i mojemu słowu.

Sylwan.

O dzięki ci ojcze! dzięki.

Klaudya.

Ojcze Fowo, ja wam jestem wdzięczną, ja was szanuję, ja was kocham — ale... nie mogę być posłuszną.

Sylwan, (*ze łzami*).

O mój Boże! mój Boże! ona mnie nie kocha.

Rémy,

(*biorąc Klaudyę za rękę i podprowadzając do Sylwana*).

Klaudyo! teraz na mnie kolój cię błagać, czy i twemu dziadkowi odmówisz?

Klaudya.

Nawet dla dziadka nie mogę złamać przysięgi danej w obec Boga.

Rémy.

Dobrze więc! Bóg dał prawo moim siwym włosom złamać tve śluby, i ja je łamię. Ja ci każę być posłuszną i zaślubić oto tego młodzieńca, bo to człowiek sprawiedliwy.

(*Klaudy*a stania się i pada na piersi Rémy).

Sylwan, (*z drugiej strony Rémy*).

Ona blednie, ona cierpi, ona mnie nienawidzi!

R é m y,

(podtrzymując Klaudyę na rękach, i zwracając się do Sylwana z radością).

Nie, ona cię kocha, i gwałt jaki sobie zadaje, by ukryć swe uczucie przechodzi jęj siły. — Ale ja to wiem, — kiedyśmy ztąd wyjeżdżali, ona była nieprzytomną, bredziła, płakała. Oto dla czego wróciłem. (wznosząc ręce) Dzięki Ci Boże! żeś mię zachował od śmierci i pozwolił doczekać chwili, gdy dla mego dziecięcia znalazłem opiekę i podporę. (słychać dzwon kościelny, do Sylwana do Klaudyi) Na kolana dzieci — Przyjaciele na kolana — to dzwonią na Anioł Pański — to czas spoczynku. — O Boże! zeszliz pokój do serc naszych i zakończ dni próby, w których każdy z nas pełnił swą powinność. Jutro ten sam dzwon nas do pracy obudzi — i wstaniemy z radośnem obliczem, z sumieniem spokojnem. (Podnosi dzieci, — wszyscy wstają). Bo praca nie jest pokaraniem człowieka... To jego nagroda i siła... to jego chluba i pociecha. — Ja jestem zdrów i będę mógł znowu pracować, a tój roskoszy nie znałem od przeszłorocznych dożynek.

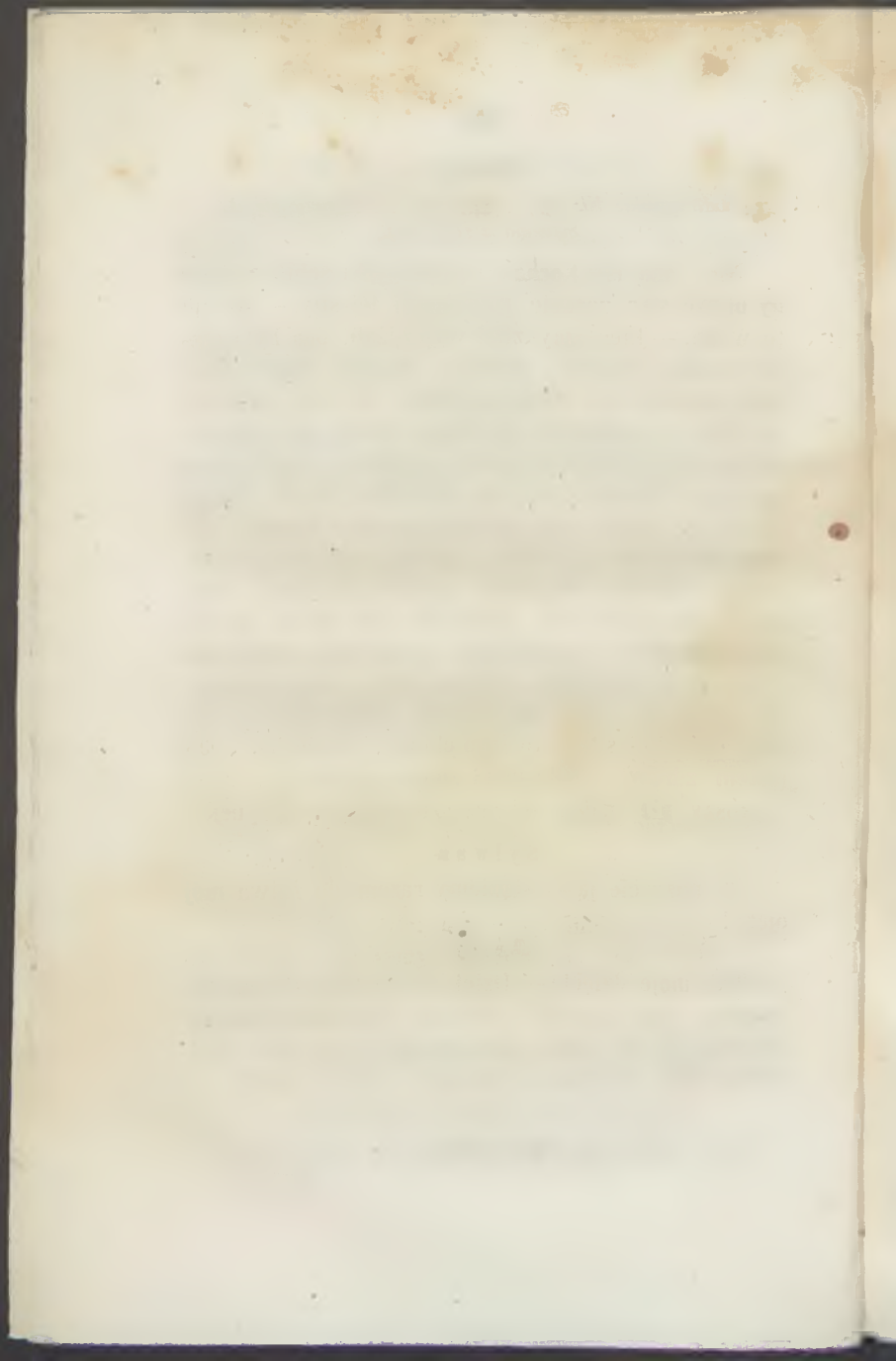
S y l w a n.

O! poznacie ją — staniemy razem do żniwa mój ojczy!

R é m y.

Tak moje dziecię — Dzięki niech będą Przedwiecznemu, co mi dozwala pracować i być szczęśliwym. (Prostując się) O! czuję, że do stu lat jeszcze żyć i pracować będę. (Wszyscy go otaczają. — Zasłona spada).

K O N I E C.



PIEŚŃ MIRZY,

POEMAT WSCHODNI

Jerzego Sand'a.

THE HISTORY OF THE

REIGN OF

CHARLES THE FIRST

W przeciągu czterech lub pięciu wieków, wśród których nad Nazaretem, zaświeciła jutrzeńka chrystyanizmu, myśl ludzka wciąż się wrywała ze spowiaków niemowlęctwa. Ludzie wyżsi oświata, przeczuwając potrzebę radykalnej zmiany w pojęciach i życiu narodów, nieraz dawali światu pierwsze iskry boskiego natchnienia, które życiem i męczeństwem Zbawiciela poparte, rozpromieniły pierś całej ludzkości. Jeszcze przed przyjściem na świat Chrystusa formowały się oderwane sekty, które jakby zwiastunami lepszej doli były. I oto zjawiają się Karaici, Saduceuszowie, Gnostycy, Epikurejczycy, Stoicy i Cynicy, Filozofowie; Natchnieni i Astrologowie i Samotnicy. Jedni wychodzą z zasady spirytualizmu Chrystusowego, jak Orygenes i Manes; inni znowu, starając się dojść do tegoż samego celu, śpieszą w ślady Platona i Pytagoresa. Wpółród tego zamętu wyznań i marzeń, gorączkowej pracy, myśli, rojeń chorobliwych i wzniosłych uniesień, niektóre umysły wyrobiły sobie nową formę przejawu, formę łatwą, przyjemną, dającą się do wszystkiego nagiąć, która

jedynie dawała się zastosować do umysłów świątłych, z lekkim charakterem połączonych: usposobienie takowe umysłu, które przeważa w towarzystwach cywilizowanych, lecz które przeżyły już siebie, my nazwiemy, używając terminu współczesnego *eklektyzmem*, chociaż wyraz ten nie zawsze miał to samo znaczenie; my jednak użyliśmy go dla tego, by oznaczyć stanowisko moralne ludzi, którzy w owój epoce do żadnego nie należeli wyznania. Ilez to rozmaitych charakterów i sprzecznych usposobień umysłów spostrzegamy w pośród eklektyków. — Należeli do nich ludzie poważni i szaleńcy, uczeni i kobiety; gdyż nauka ta, zasadzając się na usunięciu wszelkich prawideł, łatwo potrafiła zbratać i pod jeden zaciągnąć sztandar zimnego pedanta, natchnionego poety. — Retorowie obładowywali się tam argumentami, a metafora rozpierała czaszkę poety. Indya i Chaldea, Homer i Mojżesz, wszystko było dobrém dla tych umysłów, pragnących nowości, obojętnych w obec wypadków: szczęśliwe charaktery, które, dzięki Bogu, zawsze jakoś bujały na niwie ociążałych polemik. Byli to głosiciele wielkich prawd, szczerzy wielbiciele cnoty i wiary, li tylko przez zamiłowanie piękna i poszanowanie mądrości, prawdziwi Epikurejczycy w codzienném życiu, posłannicy weseli i wytworni, bardowie na wpół biblijni, na wpół pogańscy, umysły śmiałe, dowcipne i oświecone, pełne rojeń poetycznych; jedném słowem: był to wierny obraz naszych prawdziwych współczesnych artystów.

Poemat, który tu poniżej przytaczamy, był opowiedziany wierszem hebrajskim z portyku Cezarei, przez kobietę Mirzą nazwaną, która była jedną z prorokiń

owego czasu, coś pośredniego między sybyllą i artystką, poetę w spodnicy, jak i teraz czasem się zdarza, z charakterem dzielnym i energicznym, który zaginał w tłumie; awanturnicy bez ojczyzny, rodziny i wyznania, co się kształciła na romansach i psalmach zarazem, wcielana przez swych kochanków i nauczycieli do rozmaitych wyznań, które w owym czasie wyrywały sobie wzajem władze nad umysłami ludzkiemi. Kobieta ta, chociaż nie pierwszój młodości, była piękną, przygrywając na lutni lub cytrze, zmieniając stosownie do miejsca pogląd i mowę, należała do wszystkich kłótni religijnych i filozoficznych swojego wieku, rozsiewając wszędzie iskierki natchnienia i poezyi, i zostawując pozasobą jakąś dziwną a nieokreśloną atmosferę miłości, świętości i szafu; w gruncie dobra istota, którą książęta sadzali obok siebie za stołem biesiadnym, a lud słuchał z uwielbieniem na placach publicznych.

Oto jój poemat, który w takiej formie, w jakiej się nam dostał, przechodząc przez mnogie tłumaczenia. Śmiało stawimy go przed uczonych krytyków i poetów naszego wieku, wiedząc jak mało przywiązują teraz wagi do wszystkiego, ile zdudzenie powszechne wyradza pobłażliwości dla wszelkiego rodzaju urojeń.

I.

Onego czasu, daleko jeszcze przed owym dniem, który ludzie liczyć zaczęli, Stwórca powołał przed się cztery duchy, którzy swawolnym lotem szybowali w przestrzeni, i rzekł im: idźcie pracować razem, ręka w rękę i zawsze razem.

Ustuchali więc i już nie rozłączeni pracowali nad dziełem Bożem, i oto nowa gwiazda zjawiła się w przestrzeniach eteru, tą gwiazdą była ziemia, na której mieszkamy; a te cztery duchy, są cztery pierwiastki ją składające.

Dwa jednak duchy czując się silniejszymi od innych, wojnę im wypowiedziały.

Ogień i woda niszczyły ziemię, a powietrze raz się przepętniało wilgotnemi błot wyziewami, to znowu rozpałało się od zawziętego działania promieni słonecznych.

I wiele przeszło wieków, których ludzie nie wiedzą, a które w obec wieczności Boga, są mniej niż godzina w życiu człowieka, a glob nasz leciał w przestrzeni, jak zrzedziec stepowy bez przewodnika i wędziłła; biegiem jego rządziły tylko cztery duchy, na łaskę których Bóg go zostawił. Raz uniesiony szalonym pędem, zbliżony do słońca, zanadto smalenizną się pokrywał; to znowu wycoczywał bezwładny i ponury, daleko od ożywczych promieni, które każda wiosna sprowadza na ziemię. I bywały dnie jako lata, a noce jako wieki. Ziemia nie miała stałego kształtu, a chłodną strefę, gdzie Kaledończyk i Skandynaw przemieszkują, letnie skwary paliły. Krainy, gdzie teraz słońce miedziany kolor skórze ludzkiej nadaje, pokryte były niezmiernymi lodowinami. Duch ognia wstąpił w pierś ziemi, i zdawało się, że szatan pazurem i zębem rwał wewnątrz globu: głuchy ryk rozlegał się pośród skał roztrząskanych, a ziemia drżała i szamotała, jak niewiasta w chwili porodu. Niekiedy potwora targając się w łonie macierzy, podważał gór podstawy, a pod

dolinami tworzył lochy bez sklepień i podpory. I góra i dolina znikały społem, a fale smolnego jeziora z klekotaniem zalewały ich zwalone szczątki. Wyziwy ostre i cuchnące zarażały powietrze, roślinna wiedła zniszczona, a woda pomagając ogniewi, niszczyła do reszty rozszarpane łono siostrzycy. W końcu ogień torując sobie drogi przez skał i ziem pokłady, wybuchnął na zewnątrz, jak rzeka podczas wylewu. Morze wystąpiło z brzegów, i dnia każdego nowe wciąż sobie obierało łożę. I w przeciagu nocy jednej, gromadziły się góry popiołu i błota, które słońce i wiatry wedle swój woli rozpraszały. Tworzyły się potoki tak głębokie, że do dna nie dójść człowiekowi, wędrującemu dzień i noc całą; olbrzymie meteory błądziły nad wód powierzchnią, jakby słońca oderwane ze sklepień niebieskich, a fale oceanu przelewały się po szczytach gór, których teraz czoła ubrały się w chmury, daleko od mieszkań człowieka. Pośród téj walki ziemia i woda, zazdrośne siostrzyce, wydały ze swego łona szeregi roślin i zwierząt, które się wzajem niszczyły.— Olbrzymie wodne porosty, starały się bieg rzek zatrzymać, lecz z łona wód wyszły polipy olbrzymie i porwały żyjącymi barki porosty, a w ich uścisku miriady pokoleń zwierzęcych zaginęły; ze szczątków walki uformowała się ziemia urodzajna, którą my deprecemy, a która dawny świat jakby zasłona przykryła. Każdy dzień przynosił wciąż nowe istnienia, ginęły całe pokolenia zwierząt i znowu się odradzały, materia niewyczerpana nigdy, przeradzała się w tysiące najrozmaitszych kształtów. Z głębi oceanów wyłonili się wieloryby wielkie jako wyspy, lewiatany

obrzydłe, pełzające po piasku, wraz z krokodylami o dwódziestu nogach. I nikt wiedzieć nie może liczby i kształtu istot, które się w proch obróciły; wyobraźnia ludzka odtworzyć ich nie może, a gdyby i mogła, człowiek umarłby z przestachu na samą myśl widzenia tego.— Kto wie, może pszczoła była niegdyś siostrzycą słonia; a jakie zaginione plemie owadów zniszczyło mammutów, których człowiek uważa za olbrzymów w stworzeniu. Wpółśród tych błot, które pokrywały całe lądy, mogły się zrodzić płazy, które się rozwijając glob cały przebiegały; a orły z gór wierzchołków niedostępnych dla zdrobniatej naszej gazelli, unosiły w swych szponach nosorożców. Jednocześnie gdy drakony skrzydlate z wiatrem wschodnim zleciały, likorny złośliwe zstępowały z zachodu, a gdy trzecie plemie potworów, pędzone wiatrem południa, pożarłszy dwa pierwsze, ginęło przeładowane pokarmem; mijazmy, wyziewy od gnicia powstałe, zwabiły hyenę z północy, sępów większych od hyeny i mrówki, większe od sępów. A na tych stosach, jak góry ciał strupieszających, wpośród tych jezior z krwi potworów pożerających i pożeranych, drzewa, dla których niema nazwiska, wznosiły aż pod obłoki swój przepyszny ustrój zieleni; a róże piękniejsze i większe niż córka człowieka, oddychały aromatem, który upajał duchy ziemi, przybrane w strojne szaty, które teraz zkarłały do błyskotliwych skrzydełek motyli i do zlocistego pyłku pręcików kwiatowych.

Te przewroty wulkanów i potoków, prace bezkształtne czasu i materji, wiekiem chaosu, księgi święte nazwały. Lecz oto, gdy cztery duchy w zawiętej

walce czas pędziły, zdarzyło się iż stanęli przed Bożem obliczem, i przejęci strachem, ośłupieli. Bóg ich przed się zawołał i rzekł im: »Dla czego świat ten, którym wam powierzył żyje bezładnie, jako pijany? Czyście nie gasili pragnienia z puharu pychy? Czy wam się zdało podobać dziełom Przedwiecznego? I dam wam do rządzenia ducha silniejszego, który zstąpi na ziemię i ujarzmi was i zmusi żyć w pokoju.« — Cztery duchy oddaliły się, a gdy ich żrenicy dójrzeć nie mogły blasku oślepiającego, co tron Przedwiecznego otaczał, otucha w nich wstąpiła, spojrzeli na siebie wzajem i rzekli: dla czegożbyśmy nie mieli oprzeć się Przedwiecznemu? Czyż nie jesteśmy tak jak i On nieśmiertelni? On nas stworzył, lecz zniszczyć nie może; gdyż sam wyrzekł: »dla was końca nie będzie.« — Przedwieczny nie może słów swych znieważnić. On dał nam świat ten, a myśmy go pokryli roślinnością i zwierzęty. My także jesteśmy stwórcami. Połączmy się społem, uzbrojmy nasze wulkany do walki, niech ocean huczy, lava wre, piorun przeszywa powietrzne strefy; a później niech Przedwieczny przyjdzie przepisywać nam prawa.

Wyrzekłszy te słowa, zaniechali wzajemnej nienawiści, skierowali lot swój ku wierzchołkom najwznioślejszym ziemicy; góry na góry zwałimy, wyrzekli, i dosięgniemy tam gdzie Stwórca przebywa, i obalimy Go i wszystkim światom panować będziemy.

Lecz gdy tak pracą nierozsądną zajęci byli, Anioł przez Boga posłany, rozlał nad nimi kielich pogardy, a odretwieni usnęli snem ciężkim, jako człowiek pijany.

Za przebudzeniem spostrzegli na trawie istotę nieznaną, piękniejszą od nich, chociaż wątlą i delikatną. Głowy jego płomień nie otaczał, a ciała zbroica z łusek węzowych nie pokrywała; zdawało się, że jedwabnik wysnuł złocisty włos jego, a skóra była biała i gładka, jak lilii płatek.

Duchy zadziwione otoczyły go, zachwycając się nad jego pięknością i wzajem się zapytując, czy to był duch, czy też ciało. A istota nowa tymczasem spała na mchach spokojnie; kwiaty nachylały swe korony ku niemu, jakby chcąc go podziwiać; ptaki i owady przelatywały nad nim, nie mając odwagi dotknąć dziobem ust szkarłatnych i tworząc powiewną zastonę ze skrzydeł, co ukrywała twarz jego od porannego słońca, którego zazdrośne promienie pomimo przeszkod przedrzeć pragnęły, by podziwiać nowy utwórBoży. Naówczas duch wód w te się odezwał słowa: »Kto jest on? i który z nas go stworzył bez wiedzy drugich? jeżeli ziemia ze swego wnętrza go wyłoniła, dla czego moje wyziewy nadbrzeżne nic o tém nie wiedzą? z jakiego ogniska iskra go ożywiła? Azali jest rośliną, że go ani pierze, ani włos, ani łuska nie pokrywa? A gdy jest rośliną, zkadże to pochodzi, że ja nie zrosiłem jego zarodku, a powietrze nie przyczyniało się wcale dla wzniesienia łodygi i ubarwienia korony? Jeżeli jest stworzeniem, gdzież stwórca jego? Gdy zaś duchem jest tylko, jakim prawem przychodzi on wypoczywać w naszej dziedzinie? Skrępujmy go i niech pod nim otworzą się paszcze wulkanów, niech go ziemia pochłonie, by z jój wnętrzy już nigdy na powierzchnię wyjść nie mógł.«

Na to duch ziemi odrzecz: »Jest on ciałem, sen bowiem go obezwładnia i nad nim panuje jak nad zwierzęty; nie jest rośliną, gdyż oddycha i zdaje się być przeznaczonym do ruchu jak ptaki i czworonożne, a jednak nie ma skrzydeł, nie może przeto latać; ani kieł dzika, ni pazur tygrysi nie zbroją go do walki; nie posiada nawet żółwiój skorupy dla własnej ochrony. Istota to słaba i najmniejsze z naszych zwierząt, może go pozbawić życia i niedozwolić rozrodzić się w pokolenie. A gdy żaden z nas nie stworzył go, musiał przeto Przedwieczny począć go nam na przeszkodę, by nas ządziwić i przestraszyć; lecz dosyć trochę chłodu, by go o śmierć przyprawić.«

Po cóż ten niepokój, odezwali się inni: „jest w naszej władzy, przebudźmy go i przypatrzmy się jak też chodzi i jak posila; pozbawiony skrzydeł, skrzeli i wszelkiego rodzaju narzędzi do otworzenia sobie drogi i zbudowania schronienia, nie będzie mógł istnieć w żadnym elemencie.“

I cztery duchy rokoszu zaczęły się naigrawać i szydzić z dzieła Boga Wszechmocnego. Naówczas istota nowa przebudziła się, i ku wielkiemu ich zdziwieniu nie poczęła uciekać, czy to pełzając jak płazy, czy też jak czworonożne chodząc; powstała je-no na nogi, i z głową ku niebiosom zwróconą podniosła wzrok swój, a duchy rokoszu iskrę Boskiego ognia postrzegli w jego źrenicy. I któż jest on? rzekli, co nie pełza, nie lata, a którego źrenica światła słoneczne ożywia? Czy się jak lekki dymek ku niebu uniesie? I czém się to dzieje, że z tak wątłym ciałem, piękniejszy jest ód najpiękniejszych

Aniołów nieba. I oto strach ich opanował, i cali drżący zaczęli go pytać.

Istota ta jednak ich nie słyszała. Zdawało się, że oko jój nie mogło uchwycić ich kształtów, gdyż wcale nie zwróciła na nich uwagi, ani też na ich pytania odpowiedzi.

I znowu radość w nich wstąpiła, i poczęli się cieszyć mówiąc: bydle to nie ma zmysłów, słuchu i wzroku, zapewna i głosu wydać nie może; głupszym jest przeto od wszelkiego zwierza. Zwierzę, chociaż nie rozumie nas i widzieć nie może, lecz instynktem przeczuwa naszą obecność. Dreszcz tajemniczy opanowuje najmniejsze ptaszę, gdy wulkan ryczy, lub gdy się burza zbliża, niedźwiedź i pies ucieka skowycząc, delfin wybrzeża porzuca, a drakony szukają przytułku na wierzchołkach najwznieśszych drzew puszczy; a te oto bydle zmysłów pozbawione, za ledwie na pokarm polipom postużyć może.

Naówczas nieznana istota głos podniosła, głos dźwięczniejszy niż najpiękniejsze ptaszę śpiewanie, i śpiewała hymn dziękczynny Stwórcy, w mowie, której duchy rokoszu zrozumieć nie mogły. I wielkim był gniew ich, tajemnicza mowa ta ich obrażała, a śpiew pełen miłości i zapału, przepęłił pierś ich nienawiścią i wściekłością: porwali się więc na swego wroga, lecz wróg, nie spojrzawszy nawet k'ich stronie, padł na twarz przed Przedwiecznym, a powstawszy, z rozjaśnionem obliczem, ku dolinom krok swój skierował, nie zmieniając swój wyprostowanej postawy, i stąpając po krawędziach przepaści, z pewnością antylopy lub lisa. A gdy kamienie i ciernie skórę jego obrażyły, traw i liści uzbierał i z nich

dła się obówie urządził z taką szybkością i zręcznością, iż duchy rokoshu z prawdziwą przyjemnością temu się przyglądały.

Lecz w miarę, jak Boża istota naprzód postępowała, ziemia i całe przyrodzenie zdawały się święteczne szaty i tysiące nowych powabów przybierać. Rośliny tchnęły aromatem, a istota jakby powszechną miłością przejęta, wciąż się nachylała to ku kielichom kwiatowym, by się zapachem upoić, to ku kamykom przezroczystym, to się zwracała z uśmiechem radości ku ptakom, drzewom i ku wiatrom przelotnym. I wietrzyk jój pierś pieścił rokosznie, ptaki z piosnką wesela za nią śpieszyły, jaskrawy motyl siadał na kielichach kwiatowych, drzewa jedne przed drugimi nachylały się ku niej, swe owoce niosąc w ofierze.

Istota spożywała owoce nie ze zwierzęcą łapczywością, lecz powoli, jakby chcąc się dłużej nasycać rozkosznym sokiem granatu i pomarańczy. I oto łania ze swém kozłębem przysła k'niej ofiarując jój swe mléko na pokarm, a nowa istota napełniła konchę mlékem, gasiła pragnienie gładząc łanię, później pieszcząc mlode kozłę, z tój samój konchy karmiła, i łania z kozłębem poszły wślad za nią, jako za swym panem.

Duchy postępowały za nią w milczeniu, nie mogąc zrozumieć tego, co widzieli; w końcu zbudzili się z ostupienia i wyrzekli: Już to nadto, by dzieło ciemności i głupoty miało się z nas naigrawać obelżywie; to małe widmo Anioła, do ciała przykute, musi więc zarówno ze wszystkimi zwierzęty śmierci i zgniliznie podlegać. Gdy łania ze swém kozłębem,

ptasze i owad, drzewo i owoce, trawka i wiatru podmuchy; słowem, wszystko mu podlega — oto dziki lampart i pantera rozerwą go na szmaty.

Lecz lampart przeszedł i nie dotknął stworzenia Bożego, a pantera popatrzywszy nań chwilę, z niedowierzaniem uchyliła swój giętki i lśniący kark pod głaszczącą dłonią swego nowego pana.

Oto wąż zjadliwy, co ciało jego śmiertelnemi pokryje ranami — wyrzekli duchy nienawiści. Aliści wąż, co spał skręcony na piasku, gdy Boża istota nieznaną wołała mową, którą śpiewała hymn Przedwiecznemu, rozwijając powoli swe kręgi, złożył swą korną głowę u stóp pana, który się odwrócił tylko, nie czyniąc mu nic złego. — Gdy stół przechodził, sądziły duchy rokąszu, że olbrzymie to zwierzę uwolni ich od przychodnia. Lecz stół przyjął owoce podane przyjaźną ręką i poszedł w ślad za nim, słuchając rozkazów i zbierając po drodze swą trąbą owoce, na wyniosłych dojrzewające drzewach. — Nadszedł wielbłąd i ugiął kolana, i na swym karku poniósł przychodnia w doliny.

Naówczas duchy, wiedzione wściekłością, zebrali się na szczycie gór wyniosłych, chcąc wspólnemi siłami utworzyć potworę przechodzącą w brzydocie, okrucieństwie i sile najpotworniejsze poczwary, co się z tona ziemi wylęgły. Lecz Pan ich opuścił i nie stworzyć nie mogli. W końcu po długich zaklęciach elementów, nad któremi myśleli panować, wywołali z tona ziemi przerażającego drakona, i zmusili go pogroźkami obrócić się przeciw Bożemu stworzeniu.

Istota nowa, ujrzawszy zbliżającą się potworę, dosiadła rumaka, powołała hippotama i bawołu i

wszystkie zwierzęta silne na lądzie i wodach, i wszystkie ptaki połączne stref powietrznych, i całe zastępy obrońców postępowały za nią, jako za swym dowódcą. Koń śpiął się pyszniąc swym jeźdźcem i poniósł pana swego przeciw wrogowi, Naówczas drakon przelękły zwrócił się ku tym co go stworzyli i rzecze: widzicie co się dzieje, wszelkie stworzenie podlega jego woli, on jest panem ziemi, albowiem w nim jest duch Boży. Z temi słowy potwora uleciała, duchy ciemności opuściły jego cielsko, z którego szczątków przychodzień sporządził sobie szaty, i w tych szatach udał się ku strefom chłodnym.

Przychodzień wciąż ku północy swe kroki kierował, zostawując po za sobą szalaszę z drzewa i metali ziemnych klecone, spożywając owoce. Przebiegał świat cały — i wszelkie stworzenie jemu służyło. Rzeki w pław, lub też w przez się zrobionych łodziach przebywał, przyzwyczajał do wszelkich klimatów, zażywał spoczynku w cieniu drzew, w ciemnym grot schronieniu, lub też w szalaszach liści, które o zachodzie słońca rozpinał; z zeschniętej gałązki i krzemienia wydostał iskrę ognia, a przez wszystkie czasy chwalił Boga, dziękując za Jego dary i błagając pomocy. Gdy ta dziwaczna istota obesza ziemię naokoło, i rozgościła się na niej jako w swęj dziedzinie, duchy rokoszu, powstrzymywane dotąd przez ciekawość, zamierzyły zniszczyć to, co uważali za dzieło rąk swoich, by wraz z przewrótami na globie — i wróg ich zaginał. Zawołali więc, zwracając się ku ziemi: »otwórz przepaść pod jego nogami, i niech twa rozwartą paszczęka jego pochłonie.« Ziemia jednak usłuchać nie chciała: »on jest

postannikiem Bożym, wyrzekła, i królem całego stworzenia. — Natenczas zwrócili się do wulkanów, by go falami płomienia otoczyły i deszczem rozpalonych kamieni przysypały. Lecz i wulkany tak samo jak ziemia, były głuchemi na ich wołanie. Ocean nie chciał z brzegów wystąpić, a powietrzne strefy grom powstrzymały.

Duchy rokoszu, widząc swą bezsilność, przyjęły na się oblicze pokory, i prosiły Stwórcę, by im dozwolił być pomocnemi jego ulubieńcowi; lecz Pan Zastępów widząc ich zamiary, odrzekł: „morze nie wystąpi już z brzegów, ziemia nie opuści drogi, którą jej wytknąłem w przestrzeni i słońce już nie zagśnie, a powietrze nie napełni się smordliwemi wyziewami; i będziecie skrepowani jako niewolnicy i posłuszni nie postaćowci, lecz słowu mojemu, które jest odwiecznym prawem wszech światów. Istotę, której nie znacie, ja stworzyłem, by wam dowieść; że sami przez się nic nie możecie; oblokłem ją w ciało wątłe, bez obrony i odzieży i zostawiłem na tej ziemi nagą, wraz ze zwierzęcemi potrzebami — i jeden dzień nie minął, a ma już i odzież, i obówie, i niewolników, i wszystko do zaspokojenia swoich potrzeb, i sama słaba, nad silnemi panuje. Wyście pojąc nie mogli w czém jej potęga, a widząc ją pozbawioną zewnętrznój siły, pytaliście się niespokojne, w jaki też sposób instynktem zwierząt umiała kierować i im rozkazywać. Oto wlałem weń cząstkę mego ducha — i dla tego jest razem cielesną i duchową istotą, materją i światłem; a świat cały jest jego spuścizną. Rozkazywać wam — nie będzie; gdyż mógłby za waszym przykładem upoić się du-

ma — i upaść. Idźcie więc i wiedźcie, że na imię najpiękniejszemu z moich Aniołów: *człowiek*.”

II.

Ziemia więc stała się dziedziną człowieka: nie miał on ani skrzydeł złocistych, ni jaśniejącej aureoli, nie mógł oglądać świetności niebieskich; lecz cząstka ducha, którą otrzymał w udziale, dozwoliła mu przeznaczyć wszystkie cuda wszech świata, nie widząc ich nigdy i kochać Boga i służyć Mu lepiej niż Serafinowie, którzy tron Stwórcy otaczają. Dusza jego widziała to, czego oczy cielesne dójrzyć nie mogły. Przez rozmyślanie zgadywał najzawilsze tajemnice natury, a szybkości myśli jego, błyskawica dorównać nie mogła.

Widząc to duchy zazdrośne tak do się mówiły: Bóg dla niego zrobił więcej, niż dla nas wszystkich; wprawdzie najmniejszy owadek unosi się ponad nim w powietrzu, którym człowiek oddycha; lecz najpotężniejszy z Archaniołów nie wzleci tak śmiało i szybko w bezmiar eteru, jak myśl ludzka, wolą kierowana.

Bóg ciesząc się swém dziełem, stworzył wielu innych ludzi na podobieństwo pierwszego i rozrzucił ich po powierzchni ziemi, mówiąc do nich: ziemia do was należy, uprawiajcie ją i spożywajcie jój płody. Panujecie nad zwierzętą, żaden już ich rodzaj nie zaginie, ziemia nie ulegnie zniszczeniu, zwierzęta i rośliny wciąż się odradzać będą, a dla was śmierci nie będzie.

Ludzie żyli społem i byli szczęśliwi, nie znali

bowiem złego, w duchu czystości, wolni od próżności i zeznania swęj zasługi; czystość wszystkich była udziałem, nie sądzili więc, by źródło ich wielkości było w nich zawarte. Uwielbiali Stwórcę i z umiarkowaniem korzystali z darów Jego. Szanowali życie zwierząt, używając wtenczas tylko szczątków zwierzęcia, gdy już na nie śmierć naturalna przyszła. Uważali bydłęta jako wybrane utwory materji, czułością i pewnym rodzajem woli uposażone i posiadające święte prawa do ich opieki.

I zwierzę nie unikało człowieka, lecz jak teraz pies zawsze służy i towarzyszy człowiekowi, tak niegdyś lew, bobr i inne zwierzęta pojmowały rozkazy, skinienia, a nawet spójrzenie człowieka, który używał je do pomocy w budowaniu domów i świątyń, w przesiedleniach, w uprawianiu roli i w wyrabianiu metali, nie na podług monetę, lub oręż zabójczy, lecz na narzędzia pracy i ozdoby świątyń.

I praca i płody ziemne wspólną były własnością wszystkich ludzi. Żyli oni wedle woli Bożej, uważając się za panów stworzenia, którym poruczona straż nad równowagą całej natury; pracując nad naprawieniem zniszczenia, spowodowanego przez uprzednie przewrót, nad osuszaniem błót, które zarażały powietrze wyziewami i nazbyt wiele wyłaniały płazów i owadów, przeprowadzeniem kanałów dla ścieku jezior i bagnisk, nad skupianiem w stada zwierząt zanadto licznych na pewnej przestrzeni, by je przeprowadzać w inne strefy jeszcze próżne wszelkiego stworzenia, jak również nad rozposażeniem roślinności odpowiednio do klimatów; gdyż przed przyjściem na świat człowieka, materya zostawiona

swój nienasyconej żądzы produkowania, wciąż się wycieńczała, odradzając się ze swych szczątków i przedstawiała sprzeczny widok śmierci i życia nowych generacyi, obok ruin minionych.

Człowiek, którego duchy strasznych elementów uważały pierwiastkowo za duch słaby w cielsku poronionego bydłęcia zamknięty, stał się silniejszym od samych elementów, zawdzięczając to swój cierpliwości i rozumowi tylko, nie zaś innym jakim nadprzyrodzonym i cudownym wpływom.

A ziemia niebawem była jako najpiękniejszy ogród, do którego Aniołowie Pańscy zlatywali dla przechadzek — a nie mogąc bezpośrednio obcować z ludźmi, wedle Bożego rozkazu, mieszałi pieśń radości z powiewem wiatru i fal szmerem, a ludzie widzieli ich w sennych marzeniach oczami duszy.

Ziemia się uspokoiła i w nowe barwy przybrała, pory roku niezmiennie po sobie następowały — potrzeba pracy zmniejszyła się znacznie, a liczba ludzi ani się powiększała, ani zmniejszała, gdyż Przedwieczny zastosował ją wedle swojej woli, do wykonania wszelkich dzieł, które teraz już były spełnione, a duch ludzki niepokojony własną potęgą, zaczął pożądać czegoś więcej niż to, co posiadał.

I pragnęli ludzie, dla swego uspokojenia, nowych darów nieba; — lecz sami wiedzieć nie mogli, czego by pożądać mieli, cierpieli dla tego, że niczego im nie brakło.

I sen odbiegł ich powieki, a wpośród letniej nocy zebrani w gromadki na wzgórzach, zamiast tego by jak dawniej napawać się szczęściem oglądania sklepień niebieskich i biegu gwiazd w przestrzeni,

tesknili, i w żałośnym pienu błagali Stwórcę, by położył koniec tęsknicy.

I byli tacy, co rzekli: Zwierze podlega chorobom ciała i śmierci; człowiek nie zna cielesnych boleści i nie umiera. Błogosławmy Pana. Lecz duch ludzki strapiony boleścią, na którą niemasz ratunku.

Prośmy Boga, niech nam odbierze zdolność rozmyślenia i zostawi tyle tylko rozumu, ile potrzeba do panowania nad zwierzem. Inni znowu nie zgadzali się z tym zdaniem, uważając myśl za największy skarb na świecie.

A byli i tacy, co zagrzeni szlachetniejszą żądzą, w te przemówili słowa:

„Porównywając niczém niezakłócony zwierząt spoczynek, z rojeniami nawpół czuwającej rozmazanej wyobraźni naszej, odkryliśmy źródło naszej tęsknicy; niech się rozlecą ptaki na wsze strony w posłannictwie do innych ludzi. Gdy zewsząd przybywające tłumy otoczyły mędrców stojących na krużganku świątyni; ci ostatni tak przemówili:

— „Źródłem niedoli człowieka nie jest przypadek, leży ono w ułomności naszej organizacyi i w smutnym przeznaczeniu jego na świecie. Człowiek, to istota ograniczona w używaniu przyjemności, a niepohamowana niczém w swych zachceniach. On cierpi — lecz nie wie jak się uleczyć z cierpienia; gdzież tu sprawiedliwość, gdy lada zwierzę umie odszukać trawkę, co mu stracony apetyt podnieci; dusza człowieka nie może pochwycić celu swych zachceń błędnych.“

Nie na tym się jednak kończy przewaga zwierzęcia nad człowiekiem.

Żwierzęta na dwa podzielone rodzajowe obozy, wzajem się szukają, gonią i łączą w chwili extatycznego uniesienia, które je unosi wyżej nad stan zwykły, a którego człowiek nawet pojąć dobrze nie może. I próżnoby człowiek pieszczot lub pogrózek używał, próżnoby łakomstwa lub głodu próbując, chciał powstrzymać, zniszczyć potęgę tego uroku, który zmusza zwierzęta rzucać wszystko i zapuszczać się w głębie puszczy i dolin, wzajem szukając siebie. Lew lub tygrys daleko od swych towarzyszek zamknięci, kładą się rycząc żałośnie i zdają się życia wyrzekać, nie przyjmują bowiem żadnych pokarmów.

Żrzebiec rozłączony ze swą żrzebicą, byk z krową, w czasie swych zalecanek, zapominają o posłuszeństwie winnym człowiekowi, rwą pęta, wozy gruchocą. Każdy przeczuwa zbliżenie swój połowicy: wilk z dalekiej puszczy nadchodzącą przeczuje wilczycę, choć jej jeszcze widzieć ani słyszeć nie może; ptaszek drobny śpieszy połączyć się ze swą towarzyszką przez powietrzne przestrzenie; zaledwie czarny punkcik dojrzeć może w oddali, a już go wzrok nie omyli; żóraw za czaplą nie pogoni, ani też skowronek za makolongwą. I cóż w nich rozwija ten instynkt zadziwiający, którego człowiek jest pozbawiony? Oto, miłość wzajemna.

My zaś wcale nie znamy tych wzniosłych uniesień wesela i upajających rokoszy — lubimy wprowadzić wspólną rozmowę i biesiadę; lecz przyjaźń takowa nie ma w sobie dosyć potęgi, by rozdział o rozpacz przypawił, a gwałtowne serca uderzenie, zbliżenie nieobecnego zwiastowało przyjaciela. Smu-

tek nasz łątwy do zniesienia, lecz i radości za to młde i bezbożne.

Bóg sam tylko, Bóg nieśmiertelny, od którego wszystko bierze początek, napęlnia i unosi duszę naszą nieznaną radością; lecz czyż możemy wciąż tylko o nim myśleć? Azali wielkość Stwórcy, którą uwielbiamy, wzbrania nam porównywać przeznaczeń koleje z losami innych istot i zazdrościć im tych darów, których my nie posiadamy?

Inni znowu ludzie, powstałi z miejsc swych i wyrzekli; — Żwierzęta mają jeszcze jedną nad nami przewagę: mogą się sami przez się odradzać, mogą dać życie nowym istotom swego rodzaju, ze krwi i z kości od nich pochodzącym. Wiele już wieków minęło, gdy jeszcze ziemia nie była spokojną i płodną, uważaliśmy rodzajność za ciężkie brzemię, za piętno niedoli, materji właściwe.

Litowaliśmy się nad kłaczą, zmuszoną nosić w swém łonie w przeciągu wielu miesięcy, boleliśmy nad kuropatwą mozolnie znoszącą jaja, i ogrzewającą je ciepłem własnych piersi.

Sądziłiśmy, iż człowiekowi wystarczy uprawiać rolę i opiekować się nad zwierzęciem; że Bóg w swęj wszechmądrości na to go uwolnił od ciężkiej pracy rodzajności, nieśmiertelnością obdarzając, by wiecznie zdrow i młody, lepiej piastował godność pana ziemi.

Lecz oto skończyłiśmy swe wielkie prace. Żwierzęta, swobodne i spokojne pod naszém panowaniem, więcej jeszcze doznają szczęścia we wzajemnej miłości — a nam zostaje tylko zazdrościć tego wesela i sił tych, których nieposiadamy.

Podziwiamy pieczołowitość jaskółki, karmiącej swą towarzyszkę w gniazdeczku siedzącą; zachwycamy się spoglądając na matkę ptaszynę, co krążąc w powietrzu, łowi muchy, by później niemi karmić swe pisklęta, zabaczając o sobie, chociaż w tym czasie ptaki zwykle wycieńczone bywają; lecz szczerotanie piskląt więcej ich pociesza, niż wszystkie ziarna polne, a nawet niż miłości pieśczoty. Najśłabsza istota uzbiera się naówczas w szaloną odwagę, dla obrony tego, co ma najdroższego; owca broń od wilka swe jagnię, a kura chowając pod skrzydła kurczęta, gdacze gniewliwie na zbliżającego się lisa; matka zawsze umiera pierwsza, i nieprzyjaciel tylko po jej trupie dójdzie do osieroconej rodziny.

Czyż wszystko to razem wzięte nie jest godnym poszanowania? A gdy boleści i mozoły towarzyszą tym powinnościom, ileż znowu wzruszeń i uniesień radości je wynagradza? Chociażby tylko dla rozpędzenia tęsknicy, powinniśmy prosić Boga o takie przeznaczenie?

A gdy ci skończyli, znaleźli się tacy, co odpowiedzieli: Czy pomyśliliście dobrze nad tém o co prosicie? Jeżeliby człowiek rozrodził w pokolenia, nie tracąc swęj nieśmiertelności, wkrótce ziemia nie wystarczyłaby dla rodzaju ludzkiego. Czyż chcecie w zamian przyjemności i boleści o które błagacie, otrzymać choroby, starość i śmierć? Czy kto z was przypuszczał śmierć dla się? Błagamy Boga by nas poniżył na równi z najpośledniejszym stworzeniem; a czy łatwo wyrzec się będzie swęj anielskości?

Nie jesteśmy Aniołami, odparli pierwsi. Aniołowie, których widzimy w sennych rojeniach, mają

skrzydła, któremi w bezmiarze szybują, a chociaż się nam objawiają w kształtach do naszych zbliżonych, kształty te jednak nie dają się pochwycić; nie możemy ich zatrzymać, gdy nad rankiem nas opuszczają. Duchową wprawdzie stronę mają wspólną z nami, a to połowa tylko naszej istoty. Ciało nasze krępuje nas nierozzerwanym węzłem z ziemią, na której mieszkamy.

A gdy nas skazano na niedolę cielesnego bytu, za cóż nas pozbawiać tego szczęścia i doskonałości, które są zwierząt spuścizną?

Niezgodność zdań takowa, obudziła w umyśle ludzi bolesny niepokój. Jedni sądzili, że cielesna część ich istoty jest niedoskonałą, inni znowu twierdzili, że ten mały uszczerbek aż nadto się wynagradza nieśmiertelnością i zwolnieniem od chorób i kalectwa.

Cóż może iść w porównanie z błogim a niczém niezakłóconym spokojem ludzkiego życia w owym czasie. Płodna ziemia wnet zaspakajała każde zachcenie, a wzajemna swoboda, i głód, i pragnienie, i sen, były zawsze źródłem spokojnej rokoszy, nie zaś boleści.

Nikt nie znał niedoli, a żadne nadużycie towarzyskie nie obarczało pracą lub prześladowaniem; ani łzy, ani zazdrość, ani niesprawiedliwość, ni też gwałt miejsca mieć tam nie mogły. Nie było powodów współubiegania lub sporów, gdyż obfitość wszystkiego przyjaźń i łagodność wspierała. Lecz ów tajemny niepokój, przyczyna pierwotna wielkich dzieł umysłu ludzkiego, jak i również jego cierpienia, dręczyła prawie jednakowo i tych co pragnęli zmiany swego losu, i tych co drżeli na samo wspomnie-

nie o tém. Naówczas ludzię zebrali się do świątyn i gorące nieśli modły, prosząc Pana, by im swą wolę objawił. Lecz Pan Zastępów nie wysłuchał ich prośby, wołą bowiem Jego jest, by ludzie i Aniołowie zbrojni w wolną wolę, swobodnie stanąć mogli na rozdrożu prawdy i fałszu. Człowiek, coby nie mógł upadać, dorównałby swemu Stwórcy.

III.

Lecz że człowiek w owym czasie w pokorze ducha błagał pomocy i opieki, wołając: Panie! Ty wiesz czego nam potrzeba, bądź błogostawiony. Przedwieczna mądrość ulitowała się nad tymi, co cierpieli nie bluźniąc.

Mądrość, miłosierdzie i konieczność — trzy nieskończone pierwiastki Boga żyjącego — odbyły naradę w łonie Przedwiecznego; a że było koniecznym, by człek poznał miłość lub śmierć, gdyż materya nie mogła się do nieskończoności rozmnażać, Duch święty wyrzekł przez usta Mądrości: dozwołmy człowiekowi walki z przeznaczeniem; niech życie jego na ziemi będzie przemijające i boleści pełne, niech pozna co złe i dobre, i niech ma wolną wolę wybrania jednego lub drugiego.

Naówczas dały się słyszeć słowa miłosierdzia: nadzieja niech mu będzie lekarstwem na cierpienia, a dobroczynność prawem szczęśliwości.

I zesłał Pan swych Aniołów, mówiąc im: niech się dzieje z ludźmi wedle ich chęci; a gdy podczas nocy Anioł wstąpił do mieszkań człowieczych i w Imię Przedwiecznego badał ich myśli, znalazł się tyl-

ko jeden, którego serce rozłęsknione ku miłości, ten dar Boży śmiercią okupić był zdolny.

Był to ten, co nigdy Boga o nic nie prosił i pędził dni swe samotny na górach, śledząc wieczorem gwiazd ruchy po sklepieniach niebieskich, a we dnie karmiąc wielbłądy i kozy. Dusza jego była silna i do poświęceń zdolna, a ciało najpiękniejsze z pośród ziemskich Aniołów.

Anioł spoczynku powołał go przed się i rzekł mu jak innym ludziom: Synu boży, czy pragniesz oglądać córy niebios? A człowiek ów zamiast odpowiedzieć ze drżeniem, jak to inni czynili: niech się dzieje wola Boża, zawołał powstając z postania: gdzież jest ona, gdzie szukać córy Boga przedwiecznego? Anioł mu odpowiedział: opuść swe progi i idź ponad brzeg strumienia, ona cię czeka tam i dąży ku tobie, dąży na ziemię z łona Boga przedwiecznego.

Anioł zniknął, a człowiek powstał zdziwiony i uczuł że wielki smutek go opanował: zdawało mu się bowiem, że to senne rojenia tylko, i że córa boża nie czeka go nad strumieniem.

Powstał jednak, wyszedł ze swego mieszkania i ujrzał córę nieba ku jemu się zbliżającą; która gdy go spostrzegła, cała drżąca, zatrzymała się nad źródłem; a źródło zacienione było, i człowiek zaledwie niepewne kształty dostrzedz mogąc, zapytał: czyś ty córą bożą? — tak jest, odpowiedziała, i szukam syna bożego.

Jam synem bożym, odrzeczcie człowiek, tyś mi siostrą najdroższą i moją miłością. Jakież mi od Pana przynosisz wieści? Żadnych, odpowie niewiasta, Bóg mi nic nie rozkazał i nie wiem po co tu

przybywam, ledwie kilka chwil mija jak istnieć zaczęłam i postyszałam głos, który mówił: córo boża, idź na ziemię i szukaj tam syna bożego, który cię oczekuje. Poznałam głos Przedwiecznego i wnet przybyłam; a człowiek powiedział: pójdź za mną, ty jesteś darem bożym, a wszystko co jest mojem, będzie i twojem także. I prowadził ją za sobą aż do progu swój chaty, z cedrowego drzewa zbudowanej i pokrytej korą palmową; a tam zebrawszy róż i inne kwiecica, które otaczały mieszkanie człowieka, i posypując nimi posłanie ze mchu zrobione, posadził nań kobietę, mówiąc do niej: błogosławmy Panu!

I zapalił smolne pochodnie, i gdy się przyjrzał kobiecie, tak mu się piękną wydała, iż płakał z radości i zrozumieć nie mógł jaka to rosa zwilżyła jego źrenice, gdyż do tego czasu nigdy łza nie spłynęła z pod powieki człowieczój.

I człowiek poznał niewiastę pośród łez i radości, a gdy gwiazda ranna błędna nad morza powierzchnią zaczęła, człowiek się przebudził, chociaż światło dzienne nie przedarło się jeszcze do jego mieszkania, a wspominając to, co się z nim stało, lękał wyciągnąć ręki, by się przekonać, że to tylko były senne rojenia, czekał więc póki dzień nastąpi, pragnąc i drżąc o swoje zachcenia. Lecz niewiasta przebudzona przemówiła doń, a głos jej był miłszy człowiekowi niż śpiew skowronka, który witał ranną jutrzeńkę, zawieszony w powietrzu po nad mieszkaniem człowieka.

Lecz oto człowiek gorzko płakać i narzekać począł, co widząc niewiasta, także łzami się zalała i

pytała: z kąd smutek i tży te? — A to ztąd że cię widzę, odrzecz człowiek, a nie długo przyjsć może chwila, że cię już nie ujrzę, bo śmierć moim udziałem; za taką tylko cenę Bóg mi cię ofiarował w swęj łasce. O! pókim cię nie znał i nie widział, nic mnie nie kosztowało umierać, lecz słabość i strach wraz z miłością w pierś moją wstąpiły. Tyś więcéj warta niż życie, a jednak wraz z życiem muszę cię utracić. Niewiasta płakać przestała, i spojrzawszy nań z usmiechem, który nieznaną nadzieją wypełnił serce jego, wyrzekła: masz umierać, więc umrzemy razem, a ja nad całą wieczność jeden dzień z tobą przenoszę. Słowa niewiasty uspokoiły boleść człowieczą, i biegł szukać owoców i mléka dla jéj posiłku, a kwiatów co najpiękniejszych ku jéj ozdobie.

Skoro dzień nastąpił, pracował w pocie czoła zasadzając drzewa; przybycie bowiem nowéj istoty do jego ustronia, musiało powiększyć jego potrzeby, — niebaczny, że póki drzewa wyrosną i owocować zaczną, śmierć może przerwać nic jego i niewiasty życia.

Wraz z niewiastą niepokój wstąpił w progi człowieka. Myśl o śmierci truła wszystkie chwile radości. Modlitwy jego więcéj namaszczone były strachem niż miłością; najmniejszy szelest wpośród nocnej pory już go o dreszcz przyprawiał, i zamiast przysłuchiwać się z religijnym zachwytem szmerowi fal oceanu — truchlał na swém łożu, jakby w głosach natury była dlań pieśń żałoby — a ptaki swą piosnką, straszną mu przyszłość przepowiadały.

Niewiasta była bardziéj odważną, czyli też może mniej ogłędną. Jéj słabe ciało łatwo ulegało zmęcze-

niu, a gdy jój małżonek w samejże pracy bolesną znajdował podniętę; ona wypoczywała na ustanych kwieciami gór pochyłościach i zasypiała w błogiem zapomnieniu, szepcząc hymn uwielbienia dla Stwórcy i męża i pana swojego.

Ziemskie sprawy, wśród których żyć musiała, nie ją nie obchodziły — wszędzie umiała spotkać radość, niczego się nie lękając, a chwilowy i ograniczony pobyt na ziemi, zamiast ją dręczyć jak męża swą znikomością — zdawała się być dobrodziejstwem opatrności. Człowiek patrzył na niewiastę z codzien wzrastającym zadziwieniem i uwielbieniem; przyznawał jój wyższość nad sobą, pomimo wątpliwych sił cielesnych, i nieraz takimi przemawiał słowa: Tyś nie siostrą dla mnie, ani też małżonką, lecz aniołem Pańskim na mą pociechę zesłanym, którego wkrótce Bóg powoła — gdyż ty umierać nie możesz i nie powinnaś. Przecież niepodobna zniszczyć tak pięknego stworzenia. — Przrzecz że po mej śmierci wrócisz do nieba, i do żadnego człowieka po mnie już należeć nie będziesz.

A niewiasta przyrzekała z uśmiechem, bo cóż ją mogła obchodzić nieśmiertelność, której nie znała i nie rozumiała, wtenczas gdy jój małżonek wciąż powtarzał, że ją więcej niż życie ukochał.

Żyli przeto na wyniosłej górze daleko od mieszkań człowieczych, małżonek bowiem niepokojony obawą, by lepiej ukryć swój skarb, co szczęście jego i niepokój stanowił, przeniósł się wraz ze stadami na puszcę.

— „Nie rozumiem uczucia, mawiał on, którém natchnęłaś mię ku braciom moim.“

Kochałem ich pókim nie znał ciebie, i pomimo mego zamięłowania w samotności, chętniebym się wszystkiem z nimi podzielił. Gdy w dni święta zchodził ku dolinom, oglądanie braci rozpromieniało oblicze moje — i wpośród nich zostając w świątyni, modliłem zda mi się z większym zapalem. Teraz ich obecność dla mnie nieznośną, a gdy którego z mych braci ujrzę z daleka, wnet się kryję w gęstwinie, by mnie nie zobaczył i nie starał się zwiedzić miejsc tych, gdzie ciebie ukryłem. Na samą myśl, że jeden z mych braci mógłby ciebie oglądać, drzę jako w godzinę śmierci.

Ongi spostrzegłem na piasku ślady stopy człowieczej — i pragnąlbym w skałę się zamienić, by przywalić swoich ciężarem, śmiałka, coby świętokradzko deptał ścieżki do moich prowadzące progów.

Lecz niestety! inni ludzie są nieśmiertelni, mnie jednego tylko skała mogłaby zgruchotać. Jeżelibym zginął, tybyś o mnie zapomniiała, zeszała w doliny i tam innyby cię karmił i pielęgnował — niema bowiem żadnego, któryby się nie wyrzekł nieśmiertelności, by cię tylko posiadać.

Dla tego więc, chociaż cię kocham nadewszystko, chciałbym byś wraz ze mną umierać musiała.

A niewiasta odrzekła: skoro ty wpadniesz w przepaść, ja wnet za tobą poskoczę, a jeżeliby Pan Bóg śmierci mi odmówił, zniszczyłabym swoje powaby, by mię inny nie mógł podobać.

Gdy niewiasta swe pierworodne dziecę na świat wydawała, zdawało się jój że godzina śmierci już blizka, straszne bowiem były jój boleści; a gdy małżonek przerażony wyrzekał Stwórcy, ona mu powie-

działa: Przestań płakać, a daj przystęp radości k' sercu twemu; ciało moje upada, lecz się dusza raduje — czuję bowiem, żeś śmiertelna, i że nie zostanie sama sierotą bez ciebie na ziemi.

Gdy inni ludzie spotkali brata swego wynędzniałego, z błądzą i niepokojem rozlanym na twarzy, roznieśli tę wieść, a ponieważ przedtém ani praca, ani tęsknica nie mogły tak silnie zrujnować ciała nieśmiertelnego człowieka, wielkie ztąd było zadziwienie między obecnymi, jakby to miało oznaczać przybycie nowego plemienia ludzi na ziemi, lub też przewrót niezwyčajny w prawach natury.

Wielu z nich ciekawością zdjętych zapuściło się w góry odszukiwać brata; lecz ustronie jego tak dobrze było ukryte w pośród drzew zieleni i skał odłamków, iż wiele lat minęło, nim go znaleźć mogli.

W końcu spotkali i pytać zaczęli: „Człowieku, cóż takiego uczynił, że starość zmarszczkami twarz twą pokryła, a choroba cię wyciężyła jak zwierzęta śmierci podległe?” A on odpowiedział: „Nie podobnym do braci moich; i chociażem nic złego nie uczynił — lecz Pan mię nawiedził i odkrył mi tajemnicę, którą wam objawić jestem wolen.” Mówił to dla tego tylko, by zbląkać ich ciekawość, a tymczasem gdy noc na ziemię spadła, przeniósł swą rodzinę w miejsca jeszcze bardziej nieprzystępne.

Lecz dzień go zaskoczył w czasie tej wędrówki — i spotkano go wraz z żoną siedzącą na dzikim osle i dziećmi, z których najmłodsze było jeszcze na rękach matki.

Na ten widok wszyscy padli na twarz, niewiasta tak była piękną, iż ją za anioła poczytano, i po-

mimo oporu męża, niesiono ją do świątyni, i uwielbiano wznosząc jęj ołtarze.— Było to pierwsze bałwochwalstwo.

Małżonek sądził, że poszanowanie nie dozwoli im pożądać tęg niewiasty, która lękając się obrazić Panna na wysościach, porwała wieniec kwiatów polnych, któremi ją przybrano, i upadła w objęcia małżonka, wołając: jam prostą niewolnicą Bożą nie zaś bóstwem, jam małżonka i siostra tego człowieka, istota nędzna, śmiertelna i słaba. Jestem jego własnością, bo Bóg mię posłał k' niemu, a gdybyście chcieli nas rozdzielić, prędj się roztrzaskam głowę o krawędź tego ołtarza, i zobaczycie mnie konającą, gdyż ja i mój małżonek jesteśmy śmiertelni. Na te słowa nieznanne, jakieś wzruszenie opanowało przychodniów, a dziwne jakieś współczucie zrodziło się ku dwojgu nieszczęśliwym, a że ludzie naówczas byli prawi i sumienni, poszanowali wierność i przywiązanie niewiasty. Przyglądali się więc jęj z uwielbieniem, brali na ręce jęj dzieci, a zachwyceni ich delikatnymi powaby i naiwną ich słów prostotą, pokochać ich musieli. — I oto lud nieśmiertelny padł na kolana wołając: Panie w zamian za nieśmiertelność daj z nas każdemu oto taką niewiastę. Myśmy ukochali jęj dzieci, pozwól więc nam pracować dla rodziny aż do chwili, gdy śmierć na nas zeslesz, a błogosławić będziemy każdego dnia wolę Twoją i dobrodziejstwa.

I oto nieznaną ręką zerwała sklepienie świątyni, i aż do samęj ziemi spuściła się świetlana drabina, której każdy szczebel jaśniał barwami, jako kolory tęczy niebieskiej; a na najwyższych szczeblach postrzeżono promieniejące i powiewne kształty, które

się zbliżając coraz więcej nabierały pewności w zarysach, i zastępy niewiast piękniejszych nad wszystkie kwiaty ziemi i nad wszystkie gwiazdy sklepień niebieskich, śpiewając hymny wstąpiły do świątyni; — na ostatnim szczeblu ukazał się Anioł Boży, i skoro która z niewiast zchodziła, powoływał przed się człowieka, wedle woli Bożej wybranego, i łączył ręce dwojga małżonków. Niektórzy jednak z ludzi nie chcieli się wyrzec nieśmiertelności. Lecz miłość kobiety tyle miała upajającego i pociągającego w sobie, iż się nie mogli oprzeć téj niepokonanej żądzy, starali się przeto porwać żony braci swoich.

Lecz Bóg zesał na nich śmierć gwałtowną, dla tego, by pierwsza zbrodnia na ziemi nie miała naśladowców.

I wiele przeszło wieków, a pomimo cierpień wielu, wiek złoty panował wpośród ludzi, a wiara małżeńska była jako świętość szacowaną. Powoli jednak zasada Boska i nieśmiertelna, która pierwszych ludzi ożywiała, błednąć zaczęła z pokolenia w pokolenie, a rozpusta, nienawiść, zazdrość, gwałt, mężobójstwo i tym podobne klęski zagościły w ludzkości.

I Bóg odwrócił swoje oblicze i swoich Aniołów powołał do siebie — Opatrzność stawała się coraz bardziej tajemniczą i milczącą; ziemia mniej płodną, człowiek niedołęźniejszym, a jego sumienie niepewniejsze i błędne. Towarzystwa wynalazły dla swęj ochrony prawa, które tylko ich upadek przyspieszały; cnota była rzadką i zaledwie w wybranych tylko istotach szukała schronienia.

I Bóg skazał przewrótne plemię na wieczną karę

konieczności kochania, a w miarę tego jak prawa, coraz bardziej okrutne i nierozsądne powiększały rozpusztę, poczucie wzajemnej wierności codzien sta-
wało się silniejszym. I dziś jeszcze napełnia ono niepokojem i wyrzutami najbardziej zepsute serca. Rozpustnice udają się na puszcę opłakiwać miłość, której nie mają prawa oczekiwać od człowieka. Ludzie nierozsądni rozpaczają pośród szalonych orgij i stłumioném łkaniem boleści wołają i błagają o kobiętę czystą i wierną, której znaleźć nie mogą. Człowiek zahaczył o swój nieśmiertelności; mógł się pocieszyć, że nie może dorównać Aniołom, lecz nie mu wynagrodzić nie potrafi, utratę miłości, miłości, która przyszła na świat ręką w rękę ze śmiercią, a tak piękna i zachwycająca, iż kazała zapomnieć o brzydocie swój strasznej siostrzycy; miłość tylko jedna może ludzkość wyleczyć, słuchajcie bowiem Izraelici: powiedziano jest, że niewiasta przyniosła w darze grzech i śmierć; lecz gdy przyjdzie dzień ostatni, niewiasta zetrze głowę węża, który jest pierwiastkiem złego. . . .

Gdy Mirza skończyła ostatnie strofki swego poematu, wstrzemięźliwi pustelnicy, którzy ją otaczali, rzekli do zebranego ludu: ukamienujcie tę niewiastę bezbożną, bluźni ona prawdziwej religii i wszystkim religiom w ogóle, wikłając w formach allegoryi dogmata i zasady wszystkich pojęć; na strunach swój lutni przegrywając świętokradzko, dotyka najświętszych rzeczy, a w jój pieśniach najszersza trucizna zamknięta, co może ludzi obłąkać. Ukamienujcie tę niewiastę złego życia, co śmie głosić cnoty, których się sama zaparła i podeptała; ukamienujcie ją,

gdyż jęj usta skalane nie powinny wymawiać świętych słów boskości i czystości.

Lud jednak nie chciał ukamienować Mirzy, a jeden z ezcicieli Eskulapa tak się odezwał: cnota jest jak nauka, zawsze ona piękną, pożyteczną i świętą, bez względu na usta, które ją głoszą; przecież z najlichszej rośliny, którą lada przechodzień codzien depce nogami, wyrabia się balsam dobroczynny, który rany zagoić może. Pozwólcie odejść w pokoju tej Sybylli, często ona do nas przychodzi, znamy ją więc i kochamy; a my starzy wielbiciele bogów potężnych Olimpu, i wy młodzi stronnicy nowego wyznania, znajdujemy pociechę w jęj rojeniach, opartych na zasadzie czystej moralności i łagodnej filozofii. Słuchamy jęj z uśmiechem wesela, a niewiasty nasze niosą jęj w darze młode jagnięta i szaty wełniane nieskalanej białości. Pozwólcie jęj odejść i niech do nas powraca, my jęj nie złorzeczmy; a jeżeli jej drogi rozminęły się z prawdą, niech ją Minnerwa prowadzi i kieruje.

W imię cnoty wołamy do was, przerwali pustelnicy, myśmy zaprzysięgli nigdy nie znać ucisku kobiety.

„Wczoraj, przerwie jedna z kobiet obecnych, inni prorocy nie wiem w imię jakiego bóstwa nowego, zachęcali nas popuścić wodze namiętności, a niedawno byli tacy, co nas zmuszali być niewolnicami jednego pana; jedni ograniczają skromność kobiety liczbą siedmiu małżonków, drudzy zaś zupełnie wzbraniają małżeństwa — i kogoż usłuchać mamy? Słowa Mirzy nam się podobają, gdyż nas bawią, a nie mają chęci nas nauczać; zapomnijmy więc o jęj błędach, a ubierzmy w szaty purpurowe i prowadźmy

do świątyni przeznaczeń, która jest bogiem bóstw! wszelkich. A gdy uczniowie proroków rozwściekle- ni wciąż ją przeklinając, chcieli ją błotem i kamie- ni obrzucać, lud stanął w jej obronie i chciał ją nieść w tryumfie. Mirza wzbroniła tego, i wsiadłszy na wielbłąda, który ją przywiozł, tak przemówiła do ludu: Pozwólcie mi odjechać, a jeżeli ci ludzie prawdę wam głosić będą, słuchajcie ich; niech praw- da zawsze k' wam ma przystęp, ktoby ją nie opo- wiadał. Co do mnie, już wam powiedziałam, że mo- ją wiarą jest miłość, a jednak widzicie żem samo- tna, żem przybyła do was, a jednak odjeżdżam sa- ma. . . . I Mirza gorzko płakać poczęła, — i jeszcze dodała: czyście zrozumieli źródło łez moich i czy wiecie gdzie się udać mam zamiar?

I skierowała swe kroki drogą na puszcę wio- dącą.



ALFRED MUSSET.

—

KAPRYS,

Komedia w jednym Akcie.

OSOBY.

PAN CHAYIGNY.

MATYLDA, żona jego.

PANI LÉRY.

SŁUŻĄCY.

(Rzecz się dzieje w buduarze Matyldy).

S C E N A I.

Matylda sama (z robotką w ręku).

Jeszcze kilka oczek — i wszystko skończone —
(dzwoni, wchodzi służący) przychodził kto od Janisset'a?

Służący.

Jeszcze nie, pani.

Matylda.

Jak to nieznośnie — postać znowu tylko śpiesznie,
(służący wychodzi) powinna byłabym wziąć pierwsze lepsze kółka, a teraz taka mitręga, już ósmę godzina, on już się ubiera, może tu wejść lada chwilę, a kieszka jeszcze nie gotowa, i jeszcze jeden dzień opóźnienia. — (Wstaje) Robić kieskę cichaczem dla swego męża, wydałoby się wielu nazbyt dziwaczno-romantycznym wybrykiem. I to po roku małżeńskiego pożycia! — Coby o tém pomyślała pani Léry, gdyby się przypadkiem dowiedziała — Ale mniejsza! On może się będzie śmiać z tajemnicy, ale nigdy z niespodzianki. I rzeczywiście, po cóż ta tajemnica? Ja sama nie wiem; zdaje mi się tylko, że nie mogłabym pracować z takim oddaniem, gdyby on o tém wiedział; byłoby to jedno, co mu przypominać — patrz,

a myślę o tobie; byłoby to coś nakształt wyrzutu, przeciwnie zaś, gdy mu oddam już skończoną robotę, wtenczas bez przypomnienia będzie musiał pomysłęć — że ja o nim pamiętam.

Służący (*wchodząc*).

Przyniesiono dla pani ten mały pakiecik od jubilera. (*oddaje pakiecik*).

Matylda.

Nareszcie (*siada*) oznajmić gdy pan Chavigny wróci, (*służący odchodzi*) trzeba ci teraz moja droga kieseczko włożyć ostatni ubiorek. Jak też będziesz wyglądać z temi kótkami? Wcale nie źle. — A jak też będziesz przyjętą? Czy potrafiśz opowiedzieć wszystkie chwile szczęścia i rozkosznych marzeń, które się przesuwały po głowie twój twórczyni, gdy cię robiła. — Nie spodziewają się ciebie moja malutka — bo też trzeba było cię wykazać w całym twoim blasku. — Czy dostaniesz choć jeden pocałunek, coby i mnie wynagrodził. (*Całuje kieskę i zatrzymuje się*). Biedna malutka, nie wiele jesteś warta, niktby za cię nie dał i dwóch luidorów. Powiedz mi dla czego jakoś mi ciężko rozstać się z tobą? Wszakże na to byłaś zaczęta, by cię skończyć jak można najprędzej? — Ach! weselej mi było zaczynać cię, jak kończyć. A jednak od téj chwili ledwo parę tygodni upłynęło — nie, to być nie może, gdyby tylko dwa tygodnie — rzeczywiście tylko dwa tygodnie nie więcej — a wiele to zmian! Zapóźno się narodziłaś moja malutka? ... Ale po cóż te przypuszczenia? — Któs nadchodzi, to pewno on — On mnie jeszcze kocha?

Służący.

Pan Chavigny już przybył.

Matylda.

O mój Boże! jaka jestem roztrzepana — jedno tylko kółko włożone, a o drugim zapomniała i breloki nie przyszyte, nie będę mu mogła dziś oddać. Proś niech się zatrzyma chwilkę w salonie — Prędzój — póki tu wejdzie.

Służący.

Już nadchodzi.

(Służący wychodzi, Matylda chwyciła kieszkę).

SCENA II.

MATYLDA, CHAVIGNY.

Chavigny.

Dobry wieczór, moja droga; może ci przeszkadzam?
(siada).

Matylda.

Mnie Henryku? co za myśl!

Chavigny.

Zdajesz się być pomieszana, roztargniona. Wchodząc do ciebie zapominam zawsze, że jestem twoim mężem i może za prędko drzwi otwieram.

Matylda.

Jest nieco złośliwości w tém coś powiedział, ale cię jednak pocałuję, bo i miłości jest tu także trochę. *(całuje go).* Cóż to ci się zdaje mój panie, kiedy zapominasz, że jesteś moim mężem.

Chavigny.

Zdaje mi się że jestem twoim kochankiem, moja piękna, czy mylę się?

Matylda.

O! tak, jesteś moim kochankiem i przyjacielem, nie mylisz się, mój drogi. *(na stronie)* Chce mi się bardzo oddać mu kieskę taką jak jest...

Chavigny.

Jakąż to suknię masz na sobie, czy nie wyjeżdżasz dzisiaj?

Matylda.

Nie, chciało mi się... spodziewałam się że...

Chavigny.

Spodziewałaś się, czegoż to?

Matylda.

Będziesz dziś na balu. Bo też zupełnie balowo wyglądasz — prześlicznie.

Chavigny.

Nie zupełnie; nie wiem czyja to wina, moja czy krawca, ale od niejakiegoś czasu straciłem moją wojskową postawę.

Matylda.

Pewną jestem, że nie o mnie myślisz przezieraając się w tém zwierciadle.

Chavigny.

A o kim? Czy myślisz że tańce-mię tam wabią? wierzaj mi, że ten bal jest dla mnie ciężkim obowiązkiem, i że się tam wlekę nie wiedzieć dla czego.

Matylda.

A więc zostań, proszę cię o to. Będziemy sami, i powiem ci...

Chavigny.

Zdaje mi się że twój zegar śpieszy; nie może być jeszcze tak późno.

Matylda.

Cokolwiek się stało z zegarem, na bal jeszcze za-
wczasie. Zaledwieśmy wstali od stołu.

Chavigny.

Kazałem jednak by powóz był gotów. Mam je-
szcze wizytę.

Matylda.

A to co innego. Ja... ja nie wiedziałam.— Zda-
wało mi się że...

Chavigny.

Cóż się zdawało?

Matylda.

Wniosłam z tego coś mi powiedział, ... ale ze-
gar idzie dobrze i jeszcze tylko ósma. Zostań ze mną
chwilkę, mam ci zrobić małą niespodziankę.

Chavigny (wstając).

Wiesz przecie, moja droga, że jesteś zupełnie
swobodną i wyjeżdżasz kiedy ci się podoba. Spo-
dziewam się, że słuszném byłoby, ażebyś mi się
wzajemnością odplacała. Jakaż to gotujesz mi nie-
spodziankę?

Matylda.

Ja nic.... żadnej. Wszakżem tego nie powie-
działa.

Chavigny.

A więc omyliłem się, przystyszało mi się. Czy są tu te walce Straussa? Pożycz mi je jeżeli ci nie są potrzebne.

Matylda.

Oto są. Czy chcesz je mieć zaraz?

Chavigny.

Tak, chciałbym, jeżeli można. Proszono mię o pożyczanie ich na dni kilka. Nie na długo cię ich pozbawię.

Matylda.

Czy to dla pani Blainville?

Chavigny, (biorąc walce).

Co? mówisz coś o pani Blainville?

Matylda.

Ja! bynajmniej. Wszakżem nic o niej nie mówiła.

Chavigny.

O! tą razą, to już dobrze słyszałem. *(siada)* I cóż to mówisz o pani Blainville?

Matylda.

Myślałam że moje walce są dla niej przeznaczone.

Chavigny.

I dla czegoż to tak myślałaś?

Matylda.

Dla tego, że... że ona je lubi.

Chavigny.

Prawda, i ja także; zdaje mi się że i ty także je lubisz. Jest jeden szczególnie, jakże to?... zapomniałem. Jakże się on zaczyna?

Matylda.

Nie wiem czy go sobie przypomnę.

(Siada do fortepianu i gra).

Chavigny.

To, to właśnie. Prześlicznie, bosko, i grasz go jak anioł, albo raczej jak prawdziwa czcicielka walca.

Matylda.

Czy równie dobrze jak i ona Henryku?

Chavigny.

Kto ona? Pani Blainville? Zaczęsto o niej myślisz, jak się zdaje.

Matylda.

O! nie bardzo; żebym była mężczyzną, onaby mi głowę nie zawróciła.

Chavigny.

I bardzo słusznie. Mężczyznom nie powinny nigdy głowy zawracać, ani kobiety ani walce.

Matylda.

Będziesz grał w karty mój przyjacielu?

Chavigny.

Ale cóż za myśl znowu moja droga. Ja gram czasami, ale nigdy nie robię projektów à priori.

Matylda.

Czy masz trochę złota przy sobie?

Chavigny.

Zdaje mi się; możebyś potrzebowała dla siebie?

Matylda.

Ja? mój Boże! na cóżby mi się to zdało?

Chavigny.

Dla czegoż nie? Jeżeli zbyt prędko otwieram drzwi twojego pokoju, to przynajmniej nie często szperam po twoich szufladach, i może z tego powodu podwójnie jestem winnym.

Matylda.

Nie prawda, mój panie, nie dawnom spostrzegła żeś je otwierał, zresztą aż nadto jestem bogatą.

Chavigny.

Nigdy nadto, moja droga, dopóki tylko będą biedni. Wiem jak pięknie używasz swego majątku, i proszę cię abyś mi pozwoliła za pośrednictwem twojem być dobroczynnym.

Matylda.

Drogi Henryku! jakżeś ty dobry i szlachetny. Powiedz mi, czy przypominasz sobie dzień, w którym mając płacić jakiś tam dług, uskarżałeś się na to, żeś nie miał kieski.

Chavigny.

Kiedyż to? A, prawda, przypominam. I rzeczyście nieznośnie jest powierzać swoje pieniądze, często bardzo wątlým kieszeniom.

Matylda.

Czy lubiłbyś kieskę czerwoną z czarnemi sznurczkami?

Chavigny.

Nie, nie lubię czerwonego koloru. Do licha, przypominasz mi że właśnie mam przy sobie kieskę, którą wczoraj otrzymałem w podarunku. Cóż oniej myślisz? (*wyjmuje kieskę z kieszeni*). Czy ci się podoba?

Matylda.

Pokaż... pozwól mi się jęj przypatrzeć.

Chavigny.

Zobacz. (*Oddaje kieskę, ona się jęj przypatruje, potém oddaje.*)

Matylda.

Bardzo ładna. Jakiegoż ona koloru?

Chavigny (*śmiejąc się*).

Jakiego koloru? Pytanie jest niezrównane.

Matylda.

Nie, omyliłam się.... chciałam powiedzieć....
Kto ci ją dał?

Chavigny.

A! to zabawnie, na honor, twoje dystrakcye są doskonałe.

Służący, (*oznajmując*).

Pani Léry.

Matylda.

Kazałam nie przyjmować nikogo.

Chavigny.

Nie, nie, prosię. Dla czegożbyś nie miała jęj przyjąć?

Matylda.

Ależ ta kieska... czy powiesz mi pan nareszcie od kogo ją masz

S C E N A III.

MATYLDA, CHAVIGNY, P. LÉRY, *(w stroju balowym)*.

Chavigny.

Prosiemy panią, prosiemy — nie można było bardziej wczas przybyć. — Matyldzie się zdarzył wyskok roztargnienia niezrównany, wart całych kopalni złota. — Wyobraż pani sobie, *(pokazując jej kieszkę)*.

P. Léry.

Rzeczywiście nie brzydka. A więc cóż?

Chavigny.

Pokazuję jej kieszkę — Ona ją ogląda, przewraca, próbuje — i nareszcie oddając, wiesz pani co mi powiedziała? O! to niezrównane; pyta mię jakiego koloru.

P. Léry.

No i cóż — błękitna?

Chavigny.

A tak błękitna... to więcej jak pewno... ależ to najpocieszniejsza... Wyobraż pani sobie gdy się kto o to pyta patrząc na nią.

P. Léry.

Doskonale. Do widzenia kochana Matyldo; będziesz dziś na balu ambasady.

Matylda.

Nie, myślę zostać w domu.

Chavigny.

Ale pani nie śmiejesz się z mego opowiadania?

P. Léry.

Jak to nie! A kto robił tę kieszkę? A! prawda, poznaję, to pani Blainville; czy rzeczywiście zostajesz?

Chavigny, (*gwaltownie*).

Jakże to pani raczyła poznać, jeżeli wolno za-
pytać.

P. Léry.

Dla tego jedynie że błękitna. Widziałam jak się
ciągnęła wieki ta praca — Siedm lat robiono tę kie-
skę, sądę więc, że możesz się pan domyślić, czy
zmieniała swe przeznaczenie? — O ile wiem w my-
śli, ofiarowywano ją trzem osobom dobrze mnie znajo-
mym. — Pan prawdziwy skarb posiadasz, panie Cha-
vigny, jesteś spadkobiercą, i to nie po jednym po-
przedniku.

Chavigny.

Tak jak gdyby ta jedna kieska była na świecie.

P. Léry.

Jużci też nie — ale błękitna to pewno jest tylko
jedna na świecie. — Co do mnie, nienawidzę błękit-
nego koloru, nic nie oznacza, jest to najgłupszy ko-
lor. Nigdy nie mam zwyczaju mylić się w podobnych
wypadkach, i gdy raz już co widziałam, to mi wy-
starcza. — O ile lubię liliowy, o tyle nie cierpię błę-
kitnego koloru.

Matylda.

Jest to kolor stałości.

P. Léry.

Bah! jest to kolor perukarzy. — Zabiegłam tylko
do ciebie na chwilę, jak widzisz jestem po balowe-
mu. — Trzeba tam przybyć wcześniej od innych, bo
później ścisk do niezniesienia. — Ale doprawdy po-
wiedz mi dla czego nie chcesz jechać? Co do mnie,
jabym za skarby świata nie odmówiła sobie léj przy-
jemności.

Matylda.

Nie pomyślałam wcześniój, a teraz już zapóźno.

P. Léry.

Nie wiedzieć co — masz jeszcze aż nadto czasu. Wiesz co, ja dzwonię — każesz sobie podać suknię, pana Chavigny wyprawimy ztąd wraz z jego mebelkiem; ja ci przygładzę włoski, ubiorę cię w kilka śliczniutkich kwiatków, porywam cię z twego własnego domu i uwożę w moim powozie.

Matylda.

Dziękuję — ale to na późniój, dziś zostaję.

P. Léry.

Rzeczywiście — czy to zamiar nie zmienny? Pannie Chavigny zabierają Pan Matyldę.

Chavigny, (oziębło).

Nie zwykłem wtrącać się w cudze interesa.

P. Léry.

A!... a! pan lubisz błękitny kolor, jak się здаje. — A zatem, wiesz co myślę zrobić? Każ podać herbatę, ja zostaję z wami.

Matylda.

Jakżeś ty dobra, kochana Ernestyno! Lecz ja nie chcę pozbawiać balu jego królowej. — Jedź, zabłyśnij przelotnie w kilku turach walca i wracaj o jedénastój, jeżeli nie zmienisz projektu; będziemy gawędzić przy kóminiku, ale same, bo pan Chavigny nas opuszcza.

Chavigny.

Ja! wcale nie; nie wiem jeszcze czy wyjadę.

P. Léry.

Więc dobrze, jużesmy się łożyły, ja jadę — Ale czy wiesz o mojem nieszczęściu? zrabowano mię jak w lesie.

Matylda.

Zrabowano! co to ma znaczyć?

P. Léry.

Cztery suknie, moja droga, cztery idealne suknie sprowadzane z Londynu, padły ofiarą komory. Jedna była... ale po co wspominać! Już mi nigdy takich nie zrobią.

Matylda.

Serdecznie cię żałuję — skonfiskowano ci je?

P. Léry.

Wcale nie. Żebyż to tylko tyle nieszczęścia — pótybym krzyczała, ażby mi je oddano, bo leż to kryminał — przez całe lato nie mam w czém się pokazać. Wyobraż sobie, trzebaż im było nie wiem już jakim sposobem zwiedzić moją paczkę swojemi nieznośnemi prętami, i zgubić mię i moje biedne suknie — podziurawili je jak rzeszoto. Ach tę smutną nowinę otrzymałam wczoraj podczas śniadania.

Chavigny.

Nie było tam przypadkiem błękitnej?

P. Léry.

Nie, mój panie, nie zgadłeś. Bądź zdrowa, moja śliczna, ukażę się tylko, wszakże tej zimy zaledwie dwańście razy potrzebowałam mieć gryppę, dzisiaj dostanę po raz trzynasty i wnet przybiegam do ciebie, zasiadamy poważnie w fotelach i gawędzimy.....

o komorze, gałgankach, nie prawdą? Ale nie, ja-
 koś mi tęskno, będziemy się roztkliwiać. — Adieu
 mój lazurowy panie.... Proszę mię nie przeprowadzać,
 bo nie wracam.

S C E N A IV.

CHAVIGNY, MATYLDA.

Chavigny.

Co za przewrócona głowa! ślicznie dobierasz so-
 bie przyjaciółki.

Matyllda.

Przecież ty kazałeś ją przyjąć.

Chavigny.

Założę się — żeś nabrała tego przekonania, że to
 pani Blainville tę kieskę robiła.

Matyllda.

Przecież mi powiedział, że tak nie jest.

Chavigny.

Jestem pewny, że tak myślisz.

Matyllda.

Zkądże ta pewność?

Chavigny.

Bo znam twój charakter. Pani Léry jest dla cie-
 bie wyrocznia; ale trzeba być pozbawioną zdrowe-
 go rozsądku żeby coś podobnego przypuszczać.

Matyllda.

Śliczny komplement, na który nie zasłużyłam
 wcale.

Chavigny.

Och! dla Boga, to pewnik; jabym jednak wolał widzieć w tobie więcej otwartości, a mniej udania.

Matylda.

Przecież kiedy nie wierzę, nie mogę udawać wiary dla tego, by ci się wydać szczerą.

Chavigny.

Ja pani powiadam że wierzysz — to wypisane na twojej twarzy.

Matylda.

Jeżeli to tak koniecznie, by panu uczynić zadość — a więc dobrze, zgadzam się, wierzę.

Chavigny.

Pani wierzy? Ażeby to było prawdą, cóż w tém tak bardzo złego?

Matylda.

Nic, i dla tego nie rozumiem po co miałbyś zaprzeczać?

Chavigny.

Ja nie zaprzeczam; to ona — Do widzenia — może wrócę za chwilę na herbatę.

Matylda.

Henryku! nie opuszczaj mię w taki sposób.

Chavigny.

Co przez to rozumiesz, w taki sposób? Czyżemy się pokłócili? Nic w tem niema nadzwyczajnego: dają mi kieskę w prezencie, ja ją noszę; pytasz mię kto ją zrobił, ja mówię. Przecież to nie podobne do kłótni.

Matylda.

Jeżelibym cię prosiła o tę kieskę, czybyś mi ją ofiarował?

Chavigny.

Być może — Na cóżby ci się ona zdała?

Matylda.

Mniejsza — ja cię proszę.

Chavigny.

Przecież nie będziesz jej nosiła jak sądzę; chciałbym wiedzieć, co z nią zrobisz?

Matylda.

Będę ją nosiła.

Chavigny.

A to mi się podoba! Będziesz nosiła kieskę, którą pani Blainville robiła.

Matylda.

Dla czegożby nie? Przecież ty ją nosisz.

Chavigny.

A to mi racya — ja zdaje mi się nie jestem kobietą.

Matylda.

A więc, jeżeli nie będę jej używać, rzucę ją do ognia.

Chavigny.

A nareszcie jesteśmy na stopie szczérości — A zatem z całą otwartością wyznaje, że tę kieskę zachowam dla siebie, jeżeli pani raczy pozwolić.

Matylda.

Bez wątpienia, możesz to zrobić; ale wyznam ci.

że to mię boli, cały świat wie kto ci ją zrobił, a ty będziesz ją wszędzie pokazywał.

Chavigny.

Pokazywał! Cóż to, czy to jakie trofea?

Matylda.

Postuchaj mię, daj mi swą rękę i powiedz: czy to mnie kochasz Henryku?

Chavigny.

Ale kocham i słucham.

Matylda.

Przysięgam ci, że nie jestem zazdrośną, ale kiedy mi oddasz tę kieskę z dobrej woli, będę ci wdzięczną z całego serca. — Ja ci proponuję malutką zamianę, i sądzę, a przynajmniej spodziewam się, że nic na nią nie stracisz.

Chavigny.

No dobrze — cóż to za zamiana, cóż to jest?

Matylda.

Ja ci powiem jeżeli wymagasz, ale żebyś mi oddał kieskę pierwić, na moje słowo — byłabym bardzo szczęśliwą.

Chavigny.

Ja nic nie daję na słowo.

Matylda.

Henryku! ja cię proszę.

Chavigny.

Nie.

Matylda.

A więc — błagam cię na kolanach. (*przykleka*).

Chavigny.

Wstań Matyldo, zaklinam cię z kolei, wiesz dobrze, że nie lubię takich środków. Nie mogę znieść poniżania się, a tu nawet zrozumieć nie mogę powodu. — Dla dziecinady jesteś upartą, jeżeli tego wymagasz po mnie, ja sam rzucę kieskę do ognia, nie wymagając żadnej zamiany. — No, wstań i nie mówmy już o tém. — Bądź zdrowa, wieczorem powrócę.

S C E N A V.

M a t y l d a , sama.

Kiedy nie można tamtéj, to swoją spalę. (*podchodzi do biórka i wyjmuje swoją kieskę*) Biedna mała — jeszcze przed chwilą jam cię całowała, a czy pamiętasz com ci mówiła? A widzisz spóźniłyśmy się obie. On tobą pogardził — i dla mnie . . . zubożył. (*zbliża się do komina*) Czyż nie szaleństwo marzyć wten czas, gdy nasze marzenia nigdy się urzeczywistnić nie mogą? Zkąd pochodzi dziwny pociąg, urok nieprzewyciężony, który nam każe pieścić z jakąś myślą, doznawać tyle rozkoszy, póki ona nas zajmuje, póki możemy okryć ją tajemnicą i pod tą zasłoną doprowadzać do skutku? I do czego to wszystko prowadzi? Do łez chyba tylko.

Ileż to zabiegów, ile prośb potrzeba, by urzeczywistnić najskromniejsze zachcenie, najwątleszą nadzieję? Prawdęś powiedział, panie Hrabio, jam się uparta przy dziecinństwie, ale ten upór był dla mnie rozkoszą, a ty, tak dumny, a tak niewierny, bez wielkiego mozołu mógłbyś się przychylić do moich zachceń — O! on mnie nie kocha, o tak już

mnie nie kocha — On ciebie kocha pani Blainville. *(płacze)* Mniejsza, nie myślmy już o tém — rzućmy w ogień spóźnioną oliarę; lecz kto wie, jeżelibym mu dziś w wieczór oddała kieskę, czyby jój jutro nie stracił — Ah! bez wątpienia, onby ją zostawił na stole, w powozie kocza, nie wiem już gdzie nareszcie, wtenczas kiedy ta druga jest ciągle przy nim, on się nią chlubi, może i teraz przy kartach wyjmuję, brzęczy złotem. . . . Nieszczęśliwa — przecież to zazdrość. . . . Tego właśnie było potrzeba, by mię znienawidził. *(Chce rzucić kieskę do ognia i zatrzymuje się)* Cóżes ty winna? Za co cię niszczyć nieszczęśliwa praco rąk moich? tyś także pewnie oczekiwała, tyś także miała nadzieję? Twoje świetne barwy nie pobladły podczas téj rozmowy okropnej. . . . Podobasz mi się, czuję że cię kocham. W téj wążtej tkaninie dwa tygodnie mojego życia zamknęłam! O nie, nie, ręka co cię robiła, pewno cię nie zniszczy. — Ja cię zachowam, ja cię ukończę, będziesz dla mnie relikwiją, będę cię nosić przy sercu, ty w niém i boleś i rokosz zarazem obudzisz; będziesz mi przypominać moją miłość, jego zapomnienie, jego kaprysy, a kto wie? może przyjdzie czas, kiedy cię będzie szukać i wydestanie z twego ukrycia. *(Siada i przyrzepia kutasiki).*

S C E N A VI.

MATYŁDA, PANI LÉRY.

P. Léry, *(za sceną).*

Ani żywój duszy, cóż to ma znaczyć? wchodzi się tu widać jak do młyna.

(Otwiera drzwi i woła ze śmiechem).

Pani de Léry! (*Wchodzi. Matylda powstaje*). Dobry wieczór droga, niemasz służby, biegam wszędzie ani żywej duszy. Ach! jestem złamana. (*siada*).

Matylda.

No, i jakże bal?

P. Léry.

Ach mój Boże! ten bal, nie byłam na nim, nie uwierzysz moja droga, co się ze mną działo.

Matylda.

Jak to? nie pojechałaś na bal?

P. Léry.

Ale gdzie tam, pojechałam, ale nie byłam. — Potrzeba umierać ze śmiechu. Wyobraź sobie, ciżba, . . . ten długi szereg powozów. . . . (*śmieje się*) Czy to cię przeraża?

Matylda.

A tak, nie lubię natłoku powozów.

P. Léry.

A to rozpacz, kiedy się jest samą. — Na próżnom wołała na furmana, powóz się nie ruszał — byłam wściekła! brała mię chętka wskoczyć na kozły, o! ręczę ci, że potrafiłabym złamać ten nieprzerwany łańcuch — Bo też to tak niedorzecznie siedzieć w balowym stroju samą jedną, patrzeć na wilgotne szyby powozu, bo muszę ci powiedzieć, deszcz leje jak z wiadra. — Bawiło mię to półgodziny, przyglądać się przechodzącym, później kazałam zawrócić, i po moim balu. — Ten ogień mnie cieszy! Czuję że zaczynam odżywać.

(*Matylda dzwoni, wchodzi służący*).

Matylda.

Herbata!

P. Léry.

Pan Chavigny pojechał?

Matylda.

Sądzę, że na ten bal, i że więcej będzie miał wytrwania.

P. Léry.

Jak myślisz, musi mię nie nazbyt kochać?

Matylda.

Mylisz się bardzo, zaręczam ci, nie raz mi powtarzał, że według niego, jesteś jedną z najpiękniejszych kobiet w Paryżu.

P. Léry.

Doprawdy? to bardzo grzecznie z jego strony; lecz ja na to zasługuję, to tylko wzajemność. Nie mogłabyś mi pozwolić szpilki.

Matylda.

Masz je tam obok siebie.

P. Léry,

Jak ci Palmira zrobi suknię, to się ramion nie czuje, zda się ciągle że spadnie. Czy to ona robiła ci te rękawka?

Matylda.

Tak.

P. Léry.

Bardzo ładne, ale to bardzo i bardzo ładne; rzeczywiście, nic nad gładkie rękawka — ale ja długiego potrzebowałam namysłu, pókim się na nie zdecydowałam, a przy tém ja znajduję, że do nich nie trza być

pełną, bo się wygląda nakształt konika polnego, o wielkim tułowiu i cieniuchnych łapkach.

Matylda.

Doskonałe porównanie. — (*Przynoszą herbatę*).

P. Léry.

Nie prawdaż? Przypatrz się pannie Saint-Ange. — Ale i druga ostateczność do niczego nie prowadzi. — Unoszą się nad panią Ermont, niewiedzieć co, według mnie, ona ma w swój figurze coś takiego co przypomina szubienicę. Wyobraź sobie śliczną twarz jeśli chcesz, choćby oblicze Madonny, osadzone na tyce.

Matylda, (śmiejąc się).

Pozwolisz sobie czém służyć, moja droga?

P. Léry.

Trochę ciepłej wody, nic więcej — z podejrzeniem herbaty i kropelczką śmietanki.

Matylda, (nalewając herbatę).

Wybierasz się jutro do pani Egly? Zabiorę cię jeśli chcesz.

P. Léry.

Ah! pani Egly, jeszcze jedna osobliwość, przednia, niezrównana wraz ze swoją figurą; przypomina mi ona szczołkę do zmiotania pajęczyny i pajaków z sufitów — Pojadę zdaje mi się. (*Pije herbatę*). — Ale nie, nie mogę, będę na koncercie.

Matylda.

To prawda, ona jest trochę śmieszna.

P. Léry.

Spójrz mi w oczy, ja cię proszę.

Matylda.

Po co?

P. Léry.

Ale spójrzże mi oko w oko, tylko śmiało i szczerze.

Matylda.

Czy widzisz we mnie co nadzwyczajnego?

P. Léry.

Jużci też, masz oczy czerwone, tylko co musia-
łaś płakać, to jasne jak słońce — Cóż tu u was za-
szło, moja droga Matyldo.

Matylda.

Ale nic, zaręczam ci — Cóż chcesz żeby zaszło?

P. Léry.

Ja nie wiem, aleś ty płakała; ja ci zawa-
dzam, bądź zdrowa, muszę cię pożegnać.

Matylda.

Ale bynajmniej, moja droga, zaklinam cię zostać.

P. Léry.

I to szczerze? zostanę jeżeli chcesz, ale musisz
mi powiedzieć co cię trapi.

(Matylda daje znak głową przeczący).

Nie? odchodzę więc, bo przecież sama wiesz dobrze;
że skoro ci nie jestem potrzebna, muszę ci mimo
mój woli zawadzać.

Matylda.

Zostań! obecność twoja dla mnie jest drogą, twój
dowcip, mnie zachwyca, a chociażbym miała jakie
strapienie, twoja wesołość potrafiłaby je rozproszyć.

P. Léry.

Wiesz co, kocham cię za to. Ty sądzisz że jestem lekkomyślną—nikt bardziej nie bierze seryo kwestyj poważnych. Ale, że ja nie pojmuję, jak można igrać sobie z sercem—osądzono mię, że nie mam serca. Ja rozumiem co to jest cierpienie, bom się wprawiała do niego jeszcze za młodu. Rozumiem także co to jest wypowiadać się ze swojej boleści. Jeżeli to, co cię dręczy może być powierzonym, mów śmiało, bo ciekawość mną nie powoduje.

Matylda.

Wiem że jest dobrą, a przedewszystkiém szczera — ale, proszę cię uwolnić mnie od tego.

P. Léry.

A mój Boże! zgaduję, to ta błękitna kieska; spełniłam kapitalne głupstwo, wymieniając panią Blainville. Myślałam o tém odjeżdżając — czyż doprawdy pan Chavigny podkochuje się trochę.

(Matylda wstaje, nie mogąc nic odpowiedzieć, odwraca się i podnosi chustkę do oczu,

P. Léry.

Czyż to być może?

(Chwila milczenia, Matylda przechadza się kilka razy po pokoju i siada w głębi, pani Léry zdaje się być zamysłoną, później wstaje, podchodzi i podaje jej rękę.)

Matylda.

Mój Boże! mój Boże!

P. Léry.

Ale to nie do uwierzenia, coś podobnego. Nie rozumiem jak można się zakochać w pani Blainville,

jest to kokietka, przez pół ośławiona. Nie jest ani piękną, ani dowcipną — ona nie warta twego małego palca! Nie porzuca się przecież anioła dla diabła.

Matylda, (łkając).

On ją kocha jestem tego pewną, on ją kocha.

P. Léry.

Nie, moje dziecię, to niepodobna; jest to kaprys, fantazya; znam przecież pana Chavigny, lepiej niż sobie wyobrażasz, on jest złośliwym, ale nie jest złym wcale. Postąpił tak tylko na przekorę; możesz przy nim płakała?

Matylda.

O nie! nigdy!

P. Léry.

Dobrześ zrobiła; nie dziwiłabym się wcale, jeżeliby się z tego ucieszył.

Matylda.

Ucieszył? ucieszył widząc mnie we łzach?

P. Léry.

Jużci też tak, dla Boga! Chociaż od wczoraj mam tylko lat dwadzieścia i pięć skończonych, ale wiem dobrze, jak się te rzeczy mają na świecie. Jak się to wszystko stało?

Matylda.

Ale... ja nie wiem...

P. Léry.

Wyznaj mi wszystko — Może się mnie lękasz; ale ja cię zaraz przekonam, że powinnaś mi zaufać — może dla wzbudzenia ufności, chcesz bym się ci wy-

płaciła wzajemnością — jeżeli to potrzebne, zrobię chętnie. Cóż, chciałybyś wiedzieć o mnie?

Matylda.

Tyś najlepszą przyjaciółką, ja ci powiem wszystko, zwierzę ci się z moją strapieniem.

Nic w tym niema ważnego, ale moja chorobliwa wyobraźnia temu winna, że prawie z niczego, nie-wiedzieć co sobie wyroiłam — Zrobiłam dla swego męża małą kieseczkę, z zamiarem oddania mu dzisiaj. Od dwóch tygodni zaledwie się spotykamy, cały czas przesiaduje u pani Blainville. Myślałam, że robiąc mu tę małą pamiątkę, przypomnę mu, że mię zostawia samą, będzie to jakby delikałny, niemy wyrzut. Właśnie w chwili gdy już chciała to zrobić, wyjął z kieszeni drugą.

P. L é r y.

No, jeszcze tu niema czego płakać.

Matylda.

O jest i bardzo, popełniłam bowiem wielką niedorzeczność prosząc go, żeby mi oddał tamtą kieskę.

P. L é r y.

O! to wcale nie dyplomatycznie.

Matylda.

Tego jeszcze mało, Ernestyno, on mi odmówił...
A wtenczas... Ah! to było haniebnie...

P. L é r y.

No i cóż?

Matylda.

Prosiłam go na kolanach — Chciałam żeby zro-

bił dla mnie tę małą ofiarę, a jabym w zamian dała mu swoją.— Prosiłam, błagałam.

P. L é r y.

A on nie usłuchał, to się rozumie. Biędne niewiniątko, on nie wart ciebie.

M a t y l d a.

Oh nie! pomimo tych udręczeń, ja nigdy na to się nie zgodzę.

P. L é r y.

Masz racya, złem się wyraziła. On godzien twojej miłości, on cię kocha, ale jest przedewszystkiem mężczyzną i dumnym. A pokaż mi tę kieskę?

M a t y l d a.

Leży tam na stole.

P. L é r y.

Ta kieska? Ależ, moja kochana, ona jest bez porównania śliczniejszą od tamtej. Najprzód nie jest błękitną, a powtóre prawdziwie ładna. Pozwól mi jęj tylko, a ja się zobowiązuję, że mu przypadnie do gustu.

M a t y l d a.

Postaraj się.— Wrócisz mi życie.

P. L é r y.

Dójsć do tego po roku małżeństwa, to nieznośne! muszą tu być jakieś czary.— Ta Blainville ze swém indygowém usposobieniem—nienawidzę każdą jęj cząstkę od nóg do głowy. A jęj oczy, pociesznie spuszczone oczy.— Matyldo, mam projekt; nic nam nie szkodzi spróbować.— Czy twój mąż wróci dziś w wieczór?

Matylda.

Nic nie wiem.

P. Léry.

No, jakżeście się rozstali?

Matylda.

Ja bardzo zażalona, on rozgniewany.

P. Léry.

Kiedy tak, to wróci. Matyldo masz ty odwagę — bo gdy mi jaka myśl przyjdzie, muszę ją wnet w czyn zamienić, jestem najmocniej przekonana, że mi się musi udać.

Matylda.

Rozkazuj, gotowam cię słuchać.

P. Léry.

Przejdź do gabinetu, ubierz się na prędcę, siadaj do mego powozu i jedź — nie myślę cię posyłać na bal, ale wracając powinnaś się tak postawić, jakbyś tam była. Każesz się wieźć gdzie ci się zamarzy, do Inwalidów czy do Bastylji — nie nazbyt to zajmujące i przyjemne, ale nie wielebyś wygrała i tu zostając. — No, czy zgoda? Teraz jeszcze jedno, weź tę swoją kieskę, zawiń w papier, ja zaadresuję. Dobrze, otoż i wszystko gotowe. Na rogu ulicy każesz stanąć i oddasz ten pakiecik memu lokajowi z wyraźnym zaleceniem, by go wręczył pierwszemu lepsze-
mu z waszój służby, i bez dalszych tłumaczeń wracał.

Matylda.

Powiedz mi przynajmniej, co chcesz zrobić.

P. Léry.

Co ja chcę zrobić, dziecko z ciebie, to się nie

da opowiedzieć, a jeszcze zobaczę czy można to będzie wykonać. Ale mniejsza, powiedz otwarcie, czy polegasz na mnie?

Matylda.

O tak! gotowam na wszystko, byle jego miłość powrócić.

P. L é r y.

No, to się śpiesz. Powóz już cię czeka.

Matylda.

On wraca — Słyszę głos jego na dziedzińcu.

P. L é r y.

Uciekaj, czy są tu drugie schody?

Matylda.

Na szczęście są — ale ja jestem nie ubrana — któż uwierzy, że byłam na balu?

P. L é r y, *(zdejmuje wianek z głowy i oddaje Matyldzie).*

Oto masz, włożysz go w powozie.

(Matylda wychodzi).

S C E N A VII.

P a n i L é r y. sama.

Na klęczkach, taka kobieta na klęczkach, i ten pan jeszcze jęj odmawia! kobieta lat dwadziestu, śliczna jak aniołek. Biedne dziecię, ona prosiła na klęczkach, by raczono przyjąć kieskę przez nią robioną w zamian pamiątki pani Blainville. Oh! jakąż to przepaść bezdenna te ludzkie serca. — A dla Boga! my więcej od nich jesteśmy warte.

(Siada, bierze jakąś broszurę; stukają do drzwi).

Proszę wejść.

S C E N A VIII.

PANI LÉRY, CHAVIGNY, SŁUŻĄCY.

P. Léry, *(czytając, z roztargnieniem)*.

Dobry wieczór hrabio! czy chcesz herbaty?

Chavigny.

Dziękuję pani; nie piję.

P. Léry.

Cóż tam bal, ożywiony?

Chavigny.

Pani na nim nie była?

P. Léry.

To mi grzeczne pytanie. Nie byłam, ale tam posłała Matyldę, której zdajesz się pan wzrokiem szukać.

Chavigny.

Pani żartuje jak widzę?

P. Léry.

Co pan mówi?... przepraszam, czytam mocno mię interesujący artykuł w *Przeglądzie*?*(Milczenie, Chavigny niespokojny wstaje i przechadza się)*.

Chavigny.

Czy doprawdy Matylda na balu?

P. Léry.

Widzisz pan przecie, że na nią czekam.

Chavigny.

To rzecz szczególna, przecież nie chciała jechać kiedyś ją pani wzywała?

P. Léry.

Zmieniła zamiar.

Chavigny.

Dla czegoż nie jechała z panią?

P. Léry.

Dla tego, że ja nie chciałam jechać.

Chavigny.

Wzięła więc powóz?

P. Léry.

Nie, pozwoliłam jój mego. Czytałeś to panie Chavigny?

Chavigny.

Co?

P. Léry.

W Przeglądzie dwóch światów ładny artykuł pani Sand o orangutanach.

Chavigny.

O czém?

P. Léry.

O orangutanach... myślę się, nie, to nie jój artykuł; lecz ten drugi obok... zabawny.

Chavigny.

Nie pojmuję tej myśli, jechać na bal nic mi o tém nie mówiąc — Mógłbym ją przynajmniej odprowadzić.

P. Léry.

Czy lubisz pan romanse pani Sand?

Chavigny.

Wcale nie lubię. Ale jeśli ona jest na balu, rzecz dziwna, żem jój nie widział.

P. Léry.

Kto? ta książka? *Przegląd?*

Chavigny.

Żartuje pani ze mnie!

P. Léry.

Być może, lecz o czémże pan mówisz?

Chavigny.

O mojej żonie.

P. Léry.

Albożes pan powierzył ją mojej straży?

Chavigny.

Ma pani słusność; śmieszny jestem, wnet idę jój szukać.

P. Léry.

Nie tak to łatwo, ciżba u wejścia zatrzyma cię, że się nie dociśniesz.

Chavigny.

Prawda, będę więc czekał, i doczekać się muszę.

(Zbliża się do komina i usiada).

P. Léry, (przestając czytać).

Czy wiesz panie Chavigny, że niesłychanie mnie dziwisz? Wszak ile pamiętam, zostawiłeś Matyldzie zupełną swobodę czynić co się jój podoba?

Chavigny.

Bez wątpienia — i oto widzisz pani tego dowody.

P. Léry.

Właśnie że ich nie widzę, pan się dasasz?

Chavigny.

Ja? co znowu? zgoła, zgoła się nie dasam.

P. Léry.

Rzucasz się pan na krzesło, gniew uczynił cię człowiekiem innym, do niepoznania. Mówiąc prawdę, gdybym wiedziała że to pana przyprawi o niechęć, nigdybym nie udzieliła Matyldzie mojego powozu.

Chavigny.

Ale zapewniam panią, że mi się ta okoliczność widzi bardzo naturalną, i jestem wdzięczny za uczynność.

P. Léry.

Widzę jaka to wdzięczność, pan się gniewasz. Lecz mi się zdaje, że ona pojechała jedynie aby być razem z panem.

Chavigny.

To mi się podoba. Dla czegoż pytam nie chciała tam jechać ze mną?

P. Léry.

Właśnie to jej mówiłam. Ale my kobiety, raz czegoś nie chcemy, to się nam zachciewa znowu; ale czy pan stanowczo nie pijesz herbaty?

Chavigny.

Nie chcę, szkodzi mi.

P. Léry.

Proszę więc nalać dla mnie.

Chavigny.

Co pani życzy?

P. Léry.

Proszę więc nalać dla mnie.

(Chavigny wstaje, nalewa herbatę i podaje ją pani Léry).

P. Léry.

Dziękuję, postaw pan tutaj — czy mamy tego wieczora nowe ministerstwo?

Chavigny.

Nic nie wiem.

P. Léry.

Śmieszni ci ministrowie. Nie wiadomo dla czego wchodzą w urzędowanie, wychodzą, zmieniają się, istny taniec maryonetek.

Chavigny.

Dla czego pani nie pije herbaty? już i tak nawpół zimna.

P. Léry.

Nie dosyć pan włożyłeś cukru, proszę o jeden lub dwa kawałki.

Chavigny.

Jak się pani podoba, ależ to będzie do niczego.

P. Léry.

Dobrze, ... teraz nieco śmietanki.

Chavigny.

Czy pani znajduje dobrą?

P. Léry.

Teraz kroplę wody gorącej, tak — proszę o herbatę.

Chavigny.

Oto — ależ ta herbata do niczego.

P. Léry.

Pan tak sądzisz, pan jesteś tego pewny.

Chavigny.

Bez najmniejszej wątpliwości.

P. Léry.

Dla czegoż ta herbata ma być tak złą?

Chavigny.

Bo zimna i zanadto słodka.

P. Léry.

Jeśli tak, to ją Pan wyléj.

(Chavigny stoi trzymając herbatę, pani Léry patrzy nań śmiejąc się).

P. Léry.

Mój Boże! jak mię pan bawisz, nie widziałam nic bardziej niezgrabnego.

Chavigny,

(zniecierpliwiony, wylewa herbatę do ognia, potem przechadza się wielkimi krokami, i mówi z goryczą).

Na honor... w saméj rzeczy jestem pocieszny.

P. Léry.

Nie widziałam dotąd Pana w przystępie podobnego rozdrażnienia; zazdrośnym jesteś jak Otello.

Chavigny.

Bynajmniej, nie cierpię ścieśnienia dla siebie, i nie lubię bez przyczyny ścieśniać swobodę i innych. Proszę, dla czegoż miałbym być zazdrośny?

P. Léry.

Przez miłość własną, jak wszyscy mężowie.

Chavigny.

„Zazdrośny przez miłość własną“; jest to fraza kobięca, tak jak się mówi: „jestem najniższym sługą“ — fraza nic więcej, świat zanadto jest surowy dla biędnych małżonków.

P. Léry.

Przecię nie tak bardzo jak dla biédnych małżonek.

Chavigny.

O mój Boże! wszystkoż przecię jest względne, czyż podobna dozwolić kobiecie żyć w ten sposób, jak my żyjemy? czyżby to nie była krzycząca niedorzeczność? Kobiety mają tysiące rzeczy ważnych, które u mężczyzn są całkiem bez znaczenia.

P. Léry.

Tak jest... naprzykład kaprysy.

Chavigny.

Dla czego nie — tak jest, a przynajmniej to pewna, że mężczyzna może je niekiedy miewać, a kobieta.....

P. Léry.

Niekiedy je miewa. Alboż pan mniemasz, że suknia jest talizmanem, co je powinna odpędzać.

Chavigny.

Jest to zaporą, która je zatrzymywać powinna.

P. Léry.

Przynajmniej niech nie będzie zastoną do ich pokrywania. Słyszę ktoś idzie; to powraca Matylda.

Chavigny.

Gdzie zaś? wszak teraz tylko północ.

(Służący wchodzi i oddaje panu Chavigny mały pakiet).

Chavigny.

Co to jest? czego chcą odemnie?

Służący.

Przyniesiono to, dla oddania panu hrabiemu.

(Służący wychodzi, Chavigny otwiera pakiet, w którym znajduje woreczek Matyldy).

P. Léry.

Cóż to? pan znowu otrzymujesz podarunek? o tej godzinie, to rzecz trochę dwuznaczna,

Chavigny.

Co to ma znaczyć do licha. Hej Franciszku! Franciszku! kto ci przyniósł ten pakiet?

Służący (powracając).

Panie!

Chavigny.

Kto przyniósł ten pakiet?

Służący.

Proszę pana, odźwierny mi podał.

Chavigny.

I nic więcej nie było? może list?

Służący.

Nic, proszę pana.

Chavigny.

Dawno to przyniesiono do odźwiernego?

Służący.

Przed chwilą.

Chavigny.

A kto przyniósł?

Służący.

On nie wie, proszę pana.

Chavigny.

Jak to nie wie? czyś stracił przytomność?— Cóż nie wie, czy mężczyzna, czy kobieta?

Służący.

Nie, proszę pana, to służący w liberyi, ale nie znajomy.

Chavigny.

A ten służący może czeka na dole?

Służący.

Nie, proszę Pana, oddał tylko pakiet i poszedł.

Chavigny.

I nic nie mówił?

Służący.

Ale nie.

Chavigny.

To dobrze, ruszaj.— (*Służący odchodzi*).

P. Léry.

Psują pana jak widzę — I kiedy pan stracisz kiedy pieniądze, to pewno nie z winy tych pań.

Chavigny.

Daję głowę na odcięcie, jeżeli cokolwiek rozumiem.

P. Léry.

Dajże pan pokój, po co ta udana naiwność?

Chavigny.

Ale na honor, nie mogę się domyślić — To chyba pomyłka.

P. Léry.

Czy nie zaaddressowano?

Chavigny.

Rzeczywiście, masz pani racją — To dziwna, ten charakter mi znajomy.

P. Léry.

Pozwoli pan?

Chavigny.

Może to nie dyskretnie z méj strony, ale tém gorzej dla tych có się na to narażają, proszę pani — Na pewno, widziałem gdzieś ten charakter.

P. Léry.

Ja także, to nie podlega wątpliwości.

Chavigny.

Chwilkę.... Nie, ja się mylę — Pozwoli pani, czy litery zaokrąglone, czy odrywane?

P. Léry.

Niewiedzieć co! to angielski charakter, najczystszej krwi — Przypatrz się mu pan tylko; co za delikatność zacięcia. Oh! kobiéta, co to pisała, musi być wykształconą.

Chavigny.

Pani zdaje się ją zna.

P. Léry, (z udaném zakłopotaniem).

Ja? wcale nie.

(Chavigny zdziwiony, przypatruje się jéj, później zaczyna się przechadzać).

P. Léry.

Na czémże stanęła nasza rozmowa? A, przypominam, mówiliśmy zdaje mi się o kaprysach. Ta mała czerwona niespodzianka w porę się zjawiła.

Chavigny.

Zgodź się pani, musisz cóś o tém wiedzieć?

P. L é r y.

Są ludzie na świecie, co do niczego wziąć się nie potrafią. Jabym na pana miejscu już zgadła.

Chavigny.

Bądź pani otwartą i powiedz mi kto to może być taki?

P. L é r y.

Jabym wносиła że to pani Blainville.

Chavigny.

Pani nie masz litości; możemy się pokłócić.

P. L é r y.

Spodziewam się, ale nie tą razą.

Chavigny.

Nie chcesz mi pani przyjść z pomocą do rozwiązania téj zagadki?

P. L é r y.

To mi śliczne zajęcie. Dajże mi tam pan pokój, mógłby kto pomyśleć że nie wiesz jak sobie dać rady. Zastanowisz się pan nad tém później, chociażby przez grzeczność tylko.

Chavigny.

Czy już niéma herbaty? wypiłbym z chęcią.

P. L é r y.

Zaraz naleję — I czyż mógłbyś pan teraz powiedzieć żem nie dobra.

Chavigny.

Im więcej się zastanawiam, tém mniej się domyślam.

P. L é r y.

A to śliczna, zakląłeś się pan widać myśleć tylko o téj kiesce — nie śmiem przeszkadzać mu marzyć.

Chavigny.

Ależ doprawdy, spadło mi to jak z obłoków.

P. Léry.

Powiedziałam już raz panu, że to pani Blainville. Ta pani musiała się pewno zastanowić nad niewłaściwością koloru pierwszej kieski i przysyła panu drugą, jako oznakę żalu za winę.— Albo co pewniejsza, chce pana próbować, którą kieskę będziesz nosił, tę lub jęj?

Chavigny.

Tę, bez wątpienia. Jest to jedyny sposób dowiedzenia się kto ją robił.

P. Léry.

Nie rozumiem;— to zagłęboka polityka na mój rozum.

Chavigny.

Przypuśćmy, że osoba co tę kieskę robiła spostrzeże ją jutro w moim ręku, czyż pani sądzisz, że mię moja postrzegalność zawiedzie?

P. Léry, (śmiejąc się).

A to doskonałe, to nie do wytrzymania.

Chavigny.

Chyba że to pani?

(*Milczenie*).

P. Léry.

Masz pan herbatę, którą nalały moje śliczne ręczki — ręczę, że będzie lepszą od tęg, coś mi pan sporządził przed chwilą. Ale przestańże pan patrzeć na mnie, cóż to uważasz mię pan za list bezimienny?

Chavigny.

- To jakiś żart, jakiś spisek, do którego pani należysz.

P. Léry.

Jest to spiseczek bardzo zręcznie osnuty.

Chavigny.

Przyznaj pani że do niego należysz.

P. Léry.

Nie.

Chavigny.

Ale ja proszę.

P. Léry.

I cóż to pomoże?

Chavigny.

Zaklinam panią.

P. Léry.

Błagaj pan na klęczkach — to może i powiem.

Chavigny.

Na klęczkach, ile się pani podoba?

P. Léry.

No i cóż? ja czekam.

Chavigny.

Więc to nie jest żart?

(Kłeka śmiejąc się u nóg pani Léry).

P. Léry, (oziębłe).

Podoba mi się ta postawa, doskonale pan wyglądasz, ale radzę panu wstać, bobyń się mogła broń Boże, roztkliwić.

Chavigny.

Pani mi nie powiesz?

P. Léry.

Gdzie jest błękitna kieska?

Chavigny.

Mniejsza o nią, zdaje mi się mam ją przy sobie.

P. Léry.

I ja tak myślę. Daj pan ją, to się dowiesz kto robił drugą.

Chavigny.

A zatem pani wiesz?

P. Léry.

A tak, wiem.

Chavigny.

Czy to kobiéta?

P. Léry.

A pan myślałeś że mężczyzna?

Chavigny.

Chciałem zapytać: czy ta kobiéta jest piękną?

P. Léry.

Jest to kobiéta, uchodząca wedle pańskiego zdania, za jedną z najpiękniejszych w Paryżu.

Chavigny.

Blondynka, czy brunetka?

P. Léry.

Błękitna.

Chavigny.

Od jakiej litery zaczyna się imie?

P. Léry.

Cóż to, nie zgadzasz się pan na moje warunki?
Gdzież jest kieska pani Blainville?

Chavigny.

Wysoka, czy niska?

P. Léry.

Oddaj mi pan kieskę.

Chavigny.

Powiedz mi pani przynajmniej, czy ma nóżkę drobną?

P. Léry.

Kieskę, albo życie?

Chavigny, (wyciągając kieskę).

Zaręczasz mi pani swoim honorem?

P. Léry.

Daję panu słowo honoru.

Chavigny,

(zdaje się wahać — Pani Léry wyciąga rękę, on się w nią wciąż wpatruje, później siada i mówi wesoło).

Wróćmy do naszych kaprysów, zgadzasz się więc pani na to, że kobieta może je mieć.

P. Léry.

Czyż pan jeszcze o to możesz pytać?

Chavigny.

Nie zupełnie; lecz się często zdarza, iż człowiek żonaty, musi mieć na pogotowiu dwa rodzaje mowy, a nawet postępowania.

P. Léry.

No i cóż nasza umowa; może się rozchwiała, a jam uważała ją za skończoną.

Chavigny.

Człowiek żonaty przecież nie przestaje być człowiekiem; błogostawieństwo nie może go przeistoczyć zupełnie, chociaż zmusza niekiedy brać na się tę lub inną rolę i wedle niej postępować. Na tym więc świecie, koniecznie trzeba wiedzieć do kogo się mówi, czy do człowieka, czy do roli; czy do istoty żyjącej, czy do konwencyonalnej?

P. L é r y.

Zależy to od wyboru, ale jak się na tém poznać?

Chavigny.

Nie sądzę, by przy dowcipie i przezorności. by-
ło to nazbyt trudném?

P. L é r y.

Nie chcesz więc pan wiedzieć jéj imienia? Dajże mi pan kieszkę.

Chavigny.

Pani, jak sądzę, wiele przywiązujesz do niej wagi. Kobięta dowcipna, zgadza się pani na to, powinna umieć odróżnić człowieka w roli męża i człowieka prawdziwego.— Cóż to się stało z jéj ubraniem głow-
wy, przed chwilą byłaś pani cała w kwiatkach?

P. L é r y.

A tak, lecz to mnie żenowało, pozwoliłam więc sobie malutkiej ulgi. Ach mój Boże! włosy mi się roztrzepały z jednej strony.

(Wstaje i poprawia włosy przed lustrem).

Chavigny.

Posiadasz pani najpiękniejszą w świecie kibić. Kobięta tak dowcipna jak pani....

P. Léry.

Kobięta tak dowcipna jak ja, wolałaby zapisać diabłu swą duszę, niż mieć do czynienia z człowiekiem tak dowcipnym jak pan.

Chavigny.

Nic nie szkodzi—jestem sobie wcale niezły diabełek.

P. Léry.

Przynajmniej nie dla mnie, jak sądzę.

Chavigny.

Widać ktoś mi wlaźł w drogę.

P. Léry.

Chciałabym wiedzieć co to ma znaczyć?

Chavigny.

To ma znaczyć, że skoro się ja niepodobam pani, musi być konieczne ktoś taki, co mi przeszkadza podobać.

P. Léry.

Grzecznie i skromnie, ale pan się myli.— Nikt mi się nie podoba, a ja ze swojej strony także nie pragnę nikomu się podobać.

Chavigny.

W pani wieku, z takim spójrzeniem, pozwoli pani wątpić?

P. Léry.

A jednak to najświętsza prawda.

Chavigny.

Skorobym temu uwierzył, musiałbym w sobie wyrobić nader niepochlebne przekonanie o nas wszystkich.

P. Léry.

Bardzo mi łatwém będzie pana przekonać. Jestem samowolną i nie zniosłabym pana nad sobą.

Chavigny.

A niewolnika czybyś pani zniosła?

P. Léry.

Ba! niewolnicy lub panowie zawsze nas tyrani-
zujecie.

Chavigny, (wstając).

Jest w tém trochę prawdy, i muszę się przyznać, że pod tym względem zawsze ganiłem postępowanie mężczyzn.— Nie rozumiem zkad się w nich rodzi nie-pohamowana żądza przewodzenia, która koniecznie musi nienawiść obudzić.

P. Léry.

Czy to sumienne przekonanie?

Chavigny.

Najsumienniejsze — Nie mogę pojąć, dla czego każdemu się zdaje, iż skoro mu dziś gwiazda szczęśliwa zaświeci, ma już prawo jutro tego nadużyć.

P. Léry.

A jednak jest to pierwszy rozdział historii powszechnój.

Chavigny.

Prawda, lecz jeżeliby mężczyźni mieli trochę wię-
cej zdrowego rozsądku w tym względzie, kobiety
nie byłyby tak oględne.

P. Léry.

Być może — Nasze stosunki przy obecnym stanie

towarzystwa, są niczém inném jak wstępem do stanu małżeńskiego, a skoro chodzi o przysięgę na całe życie, warto dwa razy się zastanowić.

Chavigny.

Po tysiąckroć razy masz pani racją, ale proszę mi powiedzieć dla czego tak jest? Po co tyle kome-dyi, a tak mało szczerości? Czyż już niema komu zaufać? Czyż sami głupcy na świecie?

P. Léry.

Wiesz pan co pod tym względem, to jeszcze wielkie pytanie.

Chavigny.

Przypuśćmy jednak, iż się znajdzie człowiek nie-należący do téj plejady; przypuszczam także, iż się zdarza okoliczność, pozwalająca być szczerym bez niebezpieczeństwa, bez żadnej myśli ukrytej, nie lę-kając się ni dyskretności. (*Bierze jój rękę*) Przypuszczam także, iż się powiada kobięcie:— Jesteśmy sami, tyś piękna i młoda, oceniam twój dowcip i serce, ty-siące przeszkód nas dzieli, tysiące smutków nas cze-ka w przyszłości; jeżelibyśmy się starali spotkać raz jeszcze. — Godność twa nie znosi jarzma, a ogłę-dność lęka się więzów, wolną będziesz od jednego i od drugiego. Nie proszę cię ani o zakłęcia, ani o o-bietnice, a tylko o jedno spójrzanie tych oczu, o je-den uśmiech tych ust uroczych. Uśmiechaj się póki te drzwi zamknięte, za progiem jest twoja niezale-żność, opuszczając ten pokój znajdziesz ją. To, co ci ofiaruję, nie jest przyjemnością bez miłości; jest to miłość bez udręczeń i bez goryczy; jest to kaprys, jeżeli tak chcesz, nie ślepy kaprys namiętności, ale

kaprys serca, który jedna chwila potrafiła wybudzić, a którego wspomnienie trwać będzie wieczność całą.

P. L é r y.

Pan mi mówiłeś o udawaniu, ale mi się zdaje, że okoliczności wyradzają w panu zdolność do bardzo niebezpiecznych komedyj.— Pozwolisz mi pan, pierw-
 więź niż odpowiem na jego przemowę, dogodzić także
 swemu kaprysowi, zdaje mi się, że to właśnie po-
 ra, boś pan stanął w jego obronie.— Proszę mi dać
 talję kart.

Chavigny.

Jest w tym stole, ale co pani chcesz z niemi robić?

P. L é r y.

Daj mi pan, jest to mój kaprys, a sprzeciwiać się
 nie można, skoro tylko pan nie chcesz być w sprze-
 czności z samym sobą.— *(wyciunuje kartę z talii)* No, da-
 lej panie hrabio! czarna, czy czerwona?

Chavigny.

Ale powiedz mi pani o co się zakładamy?

P. L é r y.

Kto przegra, musi się zdać na łaskę i na łaskę.

Chavigny.

Zgoda. — Czerwona.

P. L é r y.

Walet pik — przegrałeś pan, proszę o błękitną
 kieskę.

Chavigny.

Z całego serca; ale pozwoli mi pani zatrzymać
 czerwoną, chociaż ten kolor mię zawiódł; jednak nie

będę mu tego pamiętał, wiem bowiem tak dobrze jak i pani, czyja rączka tę kieskę robiła.

P. L é r y.

A ta rączka jestże drobną lub wielką?

Chavigny.

Prześliczna.

P. L é r y.

I pozwoli pan jój uczynić zadość matemu popędowi zazdrości.— *(Rzuca kieskę do ognia).*

Chavigny.

Ernestyno! ja cię uwielbiam.

P. L é r y.

(przygląda się palącój kiesce, później zbliża się do pana Chavigny i mówi doń czule).

Nie kochasz więc już pani Blainville?

Chavigny.

O! dla Boga! jam jój nigdy nie kochał.

P. L é r y.

A ja tém mniej, panie Chavigny.

Chavigny.

Kto pani wmówił, że ja myślę o téj kobiecie? Nie jest to istota, u którój mógłbym błagać o chwilkę szczęścia i któraby mi ją dać mogła.

P. L é r y.

Ja tém mniej panie Chavigny.— Pan zrobies dla mnie malutką ofiarę, to bardzo pięknie z pana strony, i dla tego nie chcę pana dłużej oszukiwać, ja nie robiłam téj kieski.

Chavigny.

Czy podobna? któż więc ją robił?

P. Léry.

Rączka daleko śliczniejsza od mojej.— Chciój się pan tylko chwilkę zastanowić i wyjaśnić tę zagadkę. Przed chwilą w poprawnej mowie palnąłeś mi pan oświadczenie wedle wszelkich prawideł klęczałeś u nóg moich, chociaż jeżeli pan pozwoli zrobić tę uwagę, nawet dywanu nie było na podłodze, jam poprosiła o błękitną kieszkę i pan pozwoliłeś mi ją spalić. Powiedz mi pan dla Boga, czém zasłużyłam na to wszystko, co znajdujesz pan we mnie tak nadzwyczajnego, jestem młodą to prawda, nie nazbyt brzydka, to także prawda; ależ to jeszcze nie jest tak rzecz rzadka, a jeżeli tylko chcieliśmy, dowieść sobie wzajem, żem ja kokietka a pan trzpiot wielki, li tylko dla tego, że teraz północ, żeśmy sam na sam, wiesz pan co, śliczną chwilkę będziemy mogli zapisać w naszych pamiętnikach, a przecież tak było, nie prawdaż? A jednak to coś pan zrobił dla mnie bez zastanowienia, tę oliarę nic nieznaczącą, którą wybudził kaprys jeszcze mniej mający wagi, panes jój odmówił, jedynéj kobiécie, która pana kocha i którą pan kochałeś.

(Słychać turkot powozu).

Chavigny.

Ależ pani! kto ci mógł to wszystko powiedzieć?

P. Léry.

Mów pan ciszej, ona powraca, a ja w tym samym powozie odjeżdżam, nie mam czasu dawać panu nauk moralnych, aleś pan człowiek serca, niech

ono panu resztę dopowie; skoro pan zobaczysz Matyldę z zapłakanemi oczami, otrzyj pan jęj łzy tą kieszką, ona ją pozna, bo to owoc dwutygodniowej pracy w ukryciu twój zacnej kochającej żony. — Do widzenia; czuję to, że dziś będziesz miał żal do mnie, ale jutro, gdy trochę ochłoniesz, zawierzysz, że prawdziwa przyjaźń mną powodowała — a to zawsze lepsze niż kaprys. — Oto jest Matylda, ona zmusi pana zapomnieć o tym dziwnym wyskoku, który zostanie tajemnicą dla wszystkich, nawet dla twój małżonki.

(Matylda wchodzi, pani Léry idzie na jęj spotkanie, uściskaję się).

Chavigny,

(patrzy na nie, później podchodzi do żony, zdejmuję jęj wieniec z głowy, oddaję go pani Léry).

O! nie pani, moja żona będzie wiedzieć o wszystkim, a ja z mojej strony nigdy nie zapomnę, że tylko nauka płynąca z serca, jedynie może nas poprawić.

K O N I E C.

W A R Y A C Y E

z t e m a t u

Jerzego Sanda.

H. H. H. H. H.

Przebiegając jeden, z pełnych talentu szkiców Jerzego Sanda, pod tytułem: **Gajówka Doktora**, przyszła nam myśl dopełnić to, co autor pozwolił, jak się nam zdaje, czytelnikowi domarzyć; rozwinąć w dalszych przejściach, co u Jerzego Sanda rzucone było w zarysie. — Nazwaliśmy to waryacyami, gdyż osnowa została ta sama, myśmy ją tylko wedle naszego pojęcia urozmaicali, odpowiednio do charakteru Doktora i stanowiska moralnego tego wyjątkowego człowieka. — Chcieliśmy wykazać wszystkie odcienia patologicznego stanu ducha przed śmiercią wten czas, kiedy źródłem cierpienia było życie całe, z normalnej wyrzucone kolei.

Co do formy, podszyliśmy się pod niby dalszy ciąg dziennika Doktora; dziennika, którego bez żadnego wątpienia nie mógł pisać, ale mógł doma-

rzyć — a przecież wolno podsłuchać, a choćby domyślić się i spisać cudze marzenia. — Mają one barwę hallucynacyi, bo o ile nam się zdawało, podobny rodzaj choroby moralnej, musiał być koniecznym wynikiem odosobnionego, samotnego życia.



T E M A T.

(La fauvette du Docteur.)

Kilka lat temu, mieliśmy u siebie na wsi starego Doktora, któregośmy wszyscy kochali i szanowali, chociaż dość często bywał nieznośnym, dla swych pociesznych dziwactw.

Najniedorzeczniejszą cechą jego sposobu życia było niewytlómaczenie uparte unikanie towarzystwa kobiet. Mógłby kto pomyśleć, że on nienawidział całej połowy rodu ludzkiego, tak jednak nie było, bo przy każdym sporze nasz doktor był najzacieśszym poborcą emancypacji kobiet. Z jego sposobu zapatrywania się na rzeczy można było wnosić, że się pieścił w myśli oczekiwaniem téj błogiéj chwili, gdy kobiety staną się godnemi, korzystać z praw słusznie im należnych, i dla tego, jak się zdaje, nie żenił się do tak późnéj starości.

Gdy czasem chcąc go rozdrażnić, doradzaliśmy mu by się śpieszył z ożenieniem; odpowiadał zwykle z nieporównana powagą: „Później, później, jeszcze mi się nie śpieszy“; a trzeba dodać, że miał wtenczas 82 lata.

Na tydzień przed śmiercią nasz poczciwy doktor raptownie się zmienił, a nawet poweselał i odmłodził, zdziwieni tą nagłą zmianą chcieliśmy się dopytać wątku tego przeistoczenia — lecz próżne zabiegi, na nasze pytania odpowiadał z rozjaśnioną fizyognomią: że znalazł nareszcie towarzyszkę życia, że się w niej na prawdę rozkochał, i co jeszcze ważniejsza, czuł że się mu wypląca doskonałą wzajemnością.

Zagadkowe odpowiedzi doktora uważaliśmy za wybryk dobrego humoru, który zwykle raz lub dwa razy do roku spędzał zmarszczki z zaoranego troską czoła starca; żadnej bowiem nie dostrzegliśmy zmiany w życiu naszego Cenobity.

Jednego ranka napróżnośmy go czekali na śniadanie, zniecierpliwieni nareszcie, wchodzimy do jego mieszkania i spostrzegamy doktora pochylonego jakby w uśpieniu nad książkami. W pokoju nie było nikogo, tylko drobne ptaszki podlatywało trzepocąc, a promienie czerwcowego słońca, wdzierając się przez okno, igrały na wyłysiaćm czole starca. Doktor już nie żył.

Przebierając i porządkując jego papiery, znaleźliśmy porozrzucane na stole następne notatki:

24 Czerwca 1837.— „Biedna mała Gajówko, drobna jak muszka, ciężka jak piórko, wypadłaś wczoraj ze swego gniazdka, pierwiej niż ci wyrosły skrzydełka, i już się tulisz na mój dłoni, uderzając mnie dziobkiem po palcach; już gdy cię zawołam, śpieszysz popieścić się na mém łonie; któż cię natchnął tém zaufaniem, jakie uczucie myślisz znaleźć w mém piersi, któreby ochroniło i wsparło twe słabe siły? Fałdy mego rękawa, w którym się ukryłaś, to nie

twe gniazdko. Ty nie możesz tak grubo się mylić, bo przecież swęj rodziny jeszcze nie wygluzowałaś z pamięci: słyszysz zapewne rozpaczliwe świegotanie twęj matki; ona biędna stroskana szuka cię po wszystkich gałazkach sąsiedniego drzewa, wleciała-by ona do mego okna, ale się lęka; a i ty moja mała gdybyś mogła, poleciała-by na jęj spotkanie; bo ja widzę to dobrze, żeś poznała jęj jęki; twe piękne czarne oczko pokrywa się łzawą powłoką, zwracasz niespokojna twą drobną, jeszcze nieopuszoną główkę we wszystkie strony, a z twęj drżącęj piersi, słaba się skarga wyrzywa. Biędne dziecie, istotka tak słaba, iż zdaje się natura zażartowała sobie, skazując cię na życie.

. „A jednak w tym opierzonym atomie jest cząstka myśli, iskra miłości. . . . Jest coś ludzkiego w tobie moja ty ośmiodniowa Gajówko! ty żałujesz ojca, matki, braci i twego gniazdka, i twego drzewa, na którém szczebioce cała rodzina, i przyjemniejszych pokarmów, lepiej zastosowanych do twęj wątłęj budowy, niż te, które ja ci mogę dostarczyć. Ty tęsknisz, boś zachmurzona; pamiętasz, bo odpowiadasz na twęj matki wołanie; kochasz zatem, a jednak poddajesz się, twoja słabość instynktowie szuka opieki w męj dobroci. Przyjmujesz moje zabiegi i umiesz wywołać minką pełną zaufania i poddania się, któraby mogła rozbroić najtwardsze serca.

„Tyś nie piękna, niestety! twa szara sukienka pozbawiona blasku i jaskrawości, twój nierówny nastrożęiony puszek, nadają ci tak niezazdrośną powierz-

chowność, iż pierwsze zachcenie, jakie się rodzi zbliżając do ciebie, jest to danie ci szcztka. Lecz natura sprawiedliwie widać się rozporządziła, jednym zmyślność, drugim powaby dając w udziale. A gdy mój paw' głupii i nadęty, snuje się bez myśli i bez celu, pyszniąc się swą szmaragdową sukienką i złocistym blaskiem ogona, ty poronione dziecko przyrody, bez kształtów i barwy, umiesz nadać twemu wzrokowi i twój naiwnej postaci taką wyrazistość, że bez trudności mogą odgadnąć tve potrzeby i żądze."

26 Czerwca.— „No i cóż doktorze? na dobre jesteś rozkochany. Czas bo już był po temu. Wpadłeś w matnię nareszcie, nie mogłeś dziś sklecić dziesięciu wyrazów; przedmiot twoich zapałów płażał wciąż po papierze, wytrącał ci pióro, plamił rękopism. Doktorze, wstaweś dziś siedm razy z łózka łowić muchy i karmić niemi swą lubę; rzeczywiście oszalałeś jak rozkochany starzec. Biedny doktorze! zkad ci też przyszło tak dziwacznie umieścić swoje uczucia? Twoja ubóstwiona nie waży i grana, dosyć trochę większej dozy owadów, by ją narazić na niestrawność i wpędzić do grobu. Kochanka, licząca dziesięć dni życia, jój pierze tak rzadkie, i drobne, że, gdybyś jój nie tulił i nie ogrzewał na swój piersi, skolałaby od zimna wśród letniej nocy. Stare, wywiedłe serce! zostało ci więc tyle ognia, ile potrzeba na ogrzanie jednej gajówki.

— „Już oddawna nie zdarzało mi się przywiązać tak zapamiętałe do zwierzęcia jak teraz. Ten dziwny wyskok musi coś w sobie ukrywać.— Widać stary wiarusie zastępów czcicieli rozumu po raz setny i ostatni odbiegłeś swój chorągwi; może też hołdo-

wanie potędze tak ci się stało obrzydłem, iż chciałbyś pozostać rozproszonych sił po świecie, skupić wspieraniu bezsilnych i opuszczonych gwoli.

— „Dla czegoż ta nieponętna istotka tak cię popociąga ku sobie? Oto dla tego, że na odgłos twego wołania śpieszy się tulić na twój dłoń dla tego, że cię zna, że cię kocha, że jesteś dla niej czułym, dobrym, że potrzebuje twojej opieki i ochrony. Dla tego nareszcie, że dosyć było dziesięciu dni, by ci się oddała bezwarunkowo i bez żadnych widoków. Bo też prócz ciebie nikogo ona więcej nie zna i nie kocha na świecie... A o kim innym czy mógłbyś to powiedzieć doktorze?

„Święta to rzecz, jak wszelkie Boskie prawo, ta niepojęta miłość słabości dla siły, i odwrotnie siły dla nieudolności. Na mocy tej zasady matka kocha swe niemowlę, a człowiek powinienby kochać towarzyszkę swego życia... Lecz zamarzyło się człowiekowi skrępować niezależność kobiety prawami niewolnictwa; musi się więc pożegnać z krainą tkliwego wylania swobodnej miłości.

Jakażby kobieta zapragnęła władzy rozumu, mając dziedzinę serca w swém posiadaniu? Bo też to tak rozkosznie być kochaną!

Lecz cóż się dzieje w rzeczywistości, poniewieramy kobiety zamiast uszanować to, co w nich jest wzniosłego, wyrzucamy im idiotyzm, konieczny wynik naszej przemocy; pogardzamy ich nieumiejętnością, a sztydziemy, gdy która wyżej sięgnie umysłem. W miłości traktujemy je jako rozpustnice, a w pożyciu małżeńskim jako służebnice. My nie kochamy kobiet, lecz tylko z nich pożytkujemy, uważamy je

jako narzędzie, i sądzimy, że w ten sposób można zobowiązać do szanowania praw wierności. Dziwna niedorzeczność! O moja płaszyno! gdybym ja się zaczęła znęcać nad tobą, tybyś nie zniósła tego, tybyś mnie porzuciła i uleciała ukryć się na najwyższych gałązkach drzew ogrodowych; za tydzień pierze ci porośnie, wzmożesz się na siłach, wyprostujesz skrzydełka i jedna tylko miłość potrafi cię przy mnie zatrzymać.



W A R Y A C Y A I.**Dziennik Doktora.**

Wielkie uczucie potrzebuje wzniosłego narzędzia do wygrania wszystkich tajni, swój dziwnej a niepojętej dla materialnych oczu pieśni. Smutna to, gdy struny słabną od natężonego akordu, a zamiast melodyi, brzęczenie tylko odpowiada. Żaden arcy mistrz na zdruzgotanej harfie swój myśli nie wygra, ani też wyleje przed oczy massy tego, co jego łonem kołysa. Biedny Doktorze z twym chorobliwym zapalem! nie sprostać już tobie polotowi uczucia, i to co dla młodzieńczej piersi jest nowego życia świtanem, dla ciebie łunę pogrzebowych pochodni zapala. Kochać — ale czy ty masz prawo kochać? wyrzucać twoje sędziwe lata ze zwykłej życia kolei, i szaleć nad mogiłą dla tego, że w życia mozolnej wędrówce nie zapomniłeś się, nie szalałeś ni razu. Święte to cnotliwe upojenia dla tych; którym starczą siły oderwać się od swój ziemskiej istoty, i z okiem wlepionem w eteryczny obraz wysnuty z urojeń ognistej wyobraźni, bując gdzieś lam daleko w tej rokosznej

krainie, do której wstępu nasz Stwórca tylko młodociańnym i szlachetnym dozwolił sercom. A ty cóż poradzisz z twojém uczuciem wywiędły starcze, chciałeś powstać, by gonić za twą lubą, która ulatywała na swych drobniutkich, nieopierzonych jeszcze skrzydełkach, lecz jakbyś przyrosł do fotelu, nogi ci wypowiedziały posłuszeństwo. Napróżność pożądliwie wyciągał ramiona, chcąc pochwycić w swój anachroniczny uścisk odlatującą ptaszynę; ręce nieposłuszne woli, bezwładnie na stół opadły; a głowa się schyliła pokryta podwójnym rumieńcem niewczesnej żądzy i wstydu; a moja luba swawolnie podskakuje na kilka tylko cali od méj ręki, na kilka tylko cali po za obrębem méj władzy, jakby mię wyzywała do boju, to zatrzepiocze skrzydełkami, lubieżnie się w stronę pochyli, namiętnie główkę odrzuci, a siłglarném to przymgloném, to iskrzącém spójrzeniem, iskrę z popiołu jakby chciała zda się wybudzić.

Jednakże musi ją coś ku mnie pociągać, bo przecież okno otwarte, a z dali dolatuje szczebiotanie ptasząt wolnych, mogłaby przecież odlecieć, a zostaje — i dla czego? czyżbym ja jój był potrzebny? dla czegoż mię drażni swemi podskoki? dla czegoż tak jak dawniej nie przyleci z całym zaufaniem złożyć strudzoną główkę na mém łonie? A ja czyż taki sam jestem jak dawniej? Wczora jeszcze kochałem ją jak ojciec, i dla tego spokojnie szukała schronienia na méj piersi — a dziś, dziś pulsa chorobliwie uderzają, krew gwałtownie mózg mi naciska, w oczach się ćmi, pierś się wzdyma nie określonym uczuciem, czuję się młodym w uczuciu, które zaświeciło jak lampa przed skonaniem, wysiłkiem ostatnich

zasobów, a jednak tak mi jakoś dziwnie; zeznaję że to choroba, ależ tak rozkosznie chorować; mój Boże! mój Boże! ośmdziesiąt dwa lata przeżyć, spokojnie patrząc na wir ludzkich namiętności, prowadzić bacznie swą łódź między szkopyły żądz, i już dobijając do brzegu osiąść na mieliźnie, to wstyd, ale czyjaż wina? przecież nie wykasować jednego wyrazu z alfabetu duszy, a biada temu kto sądzi, że można waleczyć z wolą Stwórcy; stawiając zapory wytkniętym przezeń planom, i chcąc zagłuszyć jakakolwiek bądź strunę naszej istoty. Całem życiem dowodził, że kobiety nie warte naszej miłości, i dla tegom tłumił wybuchy serca — a teraz ulituj się Boże! kiedy zimna mogiła wabi mię w swe objęcia; natura dopomniła się o swe prawa, szamoce schorzałą piersią i krwawemi zgłoskami wypisuje godzinę kary.

Ot i te bezmyślne ptasze odczuło w méj twarzy, w mojem spójrzeniu zbrodnię i ucieka, chociaż mnie kocha. O tak! zbrodnię, bo kiedy trup nie pogrzebany przypina do swego zgniłego łona; zaledwie rozkwitły pączek, by go splugawić swém nieczystém technieniem; popełnia dwa zabójstwa, nad sobą i nad niewinną ofiarą swego grzechu. Co wam trupy do pełnych życia kwiatków, ich woń uroczą nie ożywi zaschłej piersi, choćbyście ją wciągali całą mocą swych potarganych płuców. Czyż nie lepiej ci było zostać z uczuciem ojcowskiego przywiązania, ta drobna istotka do ostatniej chwili rozrywałaby twą tęsknicę, i jak najczulsza córka broniłaby cię od napaści much i komarów; a swém figlarném trzepotaniem rozrywałaby twój umysł stargany.

Czyż człowiek do czego się dotknie tylko, musi

koniecznie zniweczyć, sam swe świętości podeptać? W piersi człowieka jest ołtarz, na którym składa swe ideały; a jednak bałwochwalczo nieraz zmysłem czołem uderzy, i widziałem starcy i młodzi otaczali posąg cudnej piękności, jego kształty przykrywała toga, a twarz zastyła chroniła, i gorącemi modły, gorętszém jeszcze spójrzeniem tajemnicę chcieli przeniknąć, wszyscy padali na twarz z uwielbieniem, chociaż nie znali oblicza swego martwego bóstwa: tajemnica jest dźwignią zapału. O moja Gajówko drobna! kiedym odmładniał sercem dla ciebie, to dla tego że pojąć nie mogę, jakie w tobie wyższe ukrywa się jestestwo, bo przecież nie możesz być prostą, zwyczajną ptaszyną; czuję to po biciu mego serca, po łzie spływającej mimo woli, po nieznanym siłach, które we mnie wstępują. Opowiedz czém jesteś, rozwiąż tę zagadkę, wołam do cię jak owi bałwochwálcy wołali do posągu, lecz ja nie będę tak jak oni, co skoro ujrzeli oblicze niewiasty powagi pełne, w której oku była obietnica anielskich uniesień, pobrali się za ręce i nierozzerwanym łańcuchem w szalonym tańcu błotem swe bóstwo obrzucali, a później odeszli już zimni, w bożą już piękność nie wierząc.

W A R Y A C Y A II.

Wspomnienia.

Dziwna, jak to pojąć, jak wytłómaczyć, że dusza ludzka, która wciąż naprzód tęskni i goni, gdy

dla wspólnego jój z ciałem żywota, ostatnia wybija godzina, w krainę wspomnień ulata. Wspomnienie, to zaprzeczenie życia, u kogo pierś szeroka, zapalem się rozdyma, ten z głęboką wiarą w przyszłość, z okiem duszy wlepioném w te cudne mgiełki swych rojeń, marzeń i zachceń, leci naprzód i nie rozumie tego, czy też zapomniał, że w tém co minęło, wiele było chwil uroczych, też serdecznych wylanych, a może i gorzkich westchnień z żalu i niemocy; a przecież ja, com stawał u kresu téj dziwacznej wędrówki, którą tu życiem nazwali, i gdy się przedemną nowy był za chwilę otworzy, co powinienby mię pociągać; bo cóż mi już zostało tu na ziemi? a jednak, chociaż ta skorupka, którą ciągałem przez lat ośmdziesiąt i kilka, zdruzgotła się na szczęty; jeszcze ja z nią widać związany, jeszcze gleba cięży ku glebie; żal mi życia, żal mi ziemi.

Nie śmiem ciekawą myślą badać przyszłości, lecz zamykam oczy i z całą lubością w krainę wspomnień ulatam. Pieszczę się z niemi i bawiłbym i radował tak długo, och tak długo! jak dwa żywot minionych trwało, a może i więcej! Jakże to cudnie, ale jakże i straszno przeglądać się w téj panoramie własnego życia, co się przesuwa przed oczami własnego ducha, patrzeć na to, co głęboko się na piersi naszej zażyło, jako widz, co współczuje boleści minionej, ale sam już boleć nie może. I niechający musi sobie zrobić zapytanie, czy to było ze mną i czy to było, czy mi się tylko marzy; bo w tym chaosie ludzi i wypadków, co się tłumnie cisną jedni za drugimi w nieprzerwanym ciągu, jedne tak żywo mi stają przed oczy, o! żywiej jeszcze, jak sa-

ma rzeczywistość; inne znowu przez czucie jak nie pewne cienie, bez zeznania, bez woli, i chciałbyś dłużej chwilką dawny obraz zatrzymać, lecz ten szereg wypadków, jakby party koniecznością, wciąż się rozwija dalej i dalej chwile świetlane, jak iskra przesuną, czemuż bolesne, a wyrzutu pełne, tak się wloką powoli; czyż i w wspomnieniu, tak jak w życiu i czém się to dzieje, że lżej nam pieścić się z minioną boleścią, niż z ubiegłą radością.

Okolica równa, gdzieniegdzie lasek z pośród łąnów żytnich wyrasta, tam się sosenki skupiły i łągodzą spójrzeń swą czerstwą zielonością, to tak jak życie bez wielkich zmian i bez wrażeń żadnych; płynnie sobie spokojnie w domowém zaciszu; i tylko wiatr przelotny przedzierając się przez kolczate konary, przejęczy swą żałośliwą piosenkę; a tam dalej, po nad rzeczką, podszyte zarośle olchy, leszczyńny i topoli, pokrywają swą młodzieńczą zielonością, a szeptanie ich listków to zcicha wygwarzony hymn miłości, to wieczna wiosna życia, czemuż ona mija? — a tam jeszcze dalej wzdłuż po nad rzeczułką długim zaborem rozsiadły się czaty wieśniacze. Boże mój, Boże! co tam tajemnic uczucia i życia! czemuż w nie zajrzeć, zrozumieć i pokochać nie każdemu dano?

Skwarne południe, lipcowe słońce całemi snopami iskier i ognia sypie na ziemię; we wsi nikogo, jakby morowe przeszło powietrze, ej to nie mór, to praca wszystkich wywołała; tylko gdzieniegdzie na przyzbie, zapomniany starzec lub babka kąpią swe

stargane członki w letnim skwarze, im trzeba ciepła, bardzo wiele ciepła.

A tuż u nóg staruszki jasno-włose dziecko, objawszy dwa razy większego od siebie psa, przewraca się z nim na piasku i zalewa się śmiechem srebrzystym, jak tylko dziecko niewiadome jutra śmiać może— i nóci sobie jakąś piosenkę, w której nie szukaj ni wątku, ni treści; biédne dziecko, po co ty śpiewasz, po co ty się śmiejesz, czy dla tego że ty nie rozumiesz, czy dla tego że nie przeczuwasz; a ty babko, co patrzysz na to, i nawpół umarłym uśmiechem witasz swawolę dziecicią, czemuż go nie ostrzeżesz, że ono nie wie co robi, czemu mu oczu nie otworzysz na jego przyszłą dolę, — wszakżeś ty wszystko przeżyła, co czekać go może, czyś ty zapomniła, a może się łudzisz jeszcze nadzieją, że będzie inaczej, że twoją wnuczkę inna czeka dola niż ciebie; a zawsze byłoby lepiej mniej oczekiwać od życia, by później mniej płakać nad swych rojeń zatrata.

.....

Ranek, wiosenne słońko już się wynurzyło z za góry i oblało piérwszemi promieniami też same okolice; ileż tu zmian, drobne zarośla już się w gaje zmieniły, połowa się czat powaliła, w wiosce ruch wielki. Pan Bóg woła do pracy, ówdzie na podwórku gospodarz pług naporządza, tam dalej sunie gromadka z kosami na plecach i krzepi siebie pieśnią: „Kiedy ranne wstają zorze“— a środkiem ulicy dziad siwobrody trąbi w róg z kory lipowój, i każde się wrótko otwarły, każda gospodyni wypędza swój dobytek — siwego starca otoczyło kilku podrostków,

i na ich wesoły śmiech i krzyk, odpowiedziały krówki przeciągłą nótą, zabeczały owce bezmyślną skargą i cała drużyna ruszyła dalej w pole; tuż obok starca idzie młoda dziewczynka, to te same jasnowłose dziecię, tylko się lata na jęj twarzy wypisały, tylko kilka przednówek wyciągnęło jęj rysy i przydało jęj trochę smutnej powagi; a jednak ona śpiewa, bo choć praca nad jęj młodociane siły, lecz ona czegoś czeka, o częmś marzy; w piosnce skowronka, co się nad jęj głową unosi, ona cós innego odczuła, jak sztuczne śpiewanie, a aromat sianozęci zrodził w jęj piersi jakieś tęskne zachcenie, jakieś nierozjaśniane przecucie, że będzie nie tak jak jest, że są inne światy, inne szczęścia, do których instynktowie tęskni; ona wierzy, i dla tego śpiewa — o! zostań jak można dłużej laka, jak jesteś — niech lata sobie biega, ale ty zaczekaj.

.....

I jeszcze lat kilka minęło — i widziałem znowu tę samą dziewczkę wpośród ławicy żeńców, a z kwiatami we włosach, z uśmiechem na ustach, a z potem na czole — a taka śpiekota, a praca mozolna — i czego ty się śmiejesz dziewczyno? że cię gdy przyjdzie wieczór w wianek ubiorą i z dożynkową pieśnią pójdziecie do dworu, że obok ciebie idącej parobczak jak może tak ci pomaga, i snopek ci uwiąże, i wody przyniesie, i zda się wiek cały takby ci służył, i dla tego śpiewasz choć w twojój piosnce już niema tęsknicy szczęścia, niema radości dziecięcia, ale jest siła życia, co pragnie podziału, jest siła chęci i żądzy — o! śpiewaj, śpiewaj — to tak nie długo!....

.....

I znowu ta sama wieś nasuwa się przed oczy, lecz to przednówek — wiosenne wody, przygrzane słończkiem, torują drogę przez ulice i podwórka; w stodółkach próżno, połowa strzech odartych, rzadko z którego kurzy się komina, na niejednym podwórku pracowite woły stoją jakby w zamysleniu, ale nie przeżuwają, bo to przednówek! Na końcu sioła, w lepszej od innych chatce, w kurnej świetlicy widzę znowu tę samą kobietę — lecz cóż to, czyż wieki przeżyła? Dawniej świeżość już ani śladu, siedzi na ławie i kołysze małe dziecko; tam dalej mąż wychudły, błądy, szczepie łuczywo i kaszle. Oj! zła to piosenka z piersi się twego męża wyrывa: nie długo ją śpiewać, a twoje dzieci sieroty! — I ten jasnowłosy chłopaczek, co cię ciągnie za rękaw, wołając: jeść matulu! — biedna matko, a ty tylko łzami nakarmić go możesz! i to niemowlę, co spragnionemi uskami już krew nie pokarm z twych piersi wysysa, nie długo się ojcem nacieszą, a ty, biedna wdowo, pójdiesz na żebranię, bo taka kolój i doła, i nie śpiewasz już teraz — minęły lata pieśni i śmiechu, minęły chwile niewiadomości i błogich nadziei — straszna, potworna rzeczywistość zajrzała ci w oczy raz tylko, i głos zamarł w piersiach na zawsze.

.....

• Tak właśnie, było to na początku mojej karyery, jako lekarza — śpieszyłem do chorego, który miał znaczenie w okolicy, wyleczenie zatem jego mogło mnie postawić w opinii, a byłem jeszcze dość młody, wierzyłem że można szukać szczęścia po za sobą, i cóż dziwnego, że pomimo jesienniej sługoty i

nocnej pory, pędziłem właśnie przez tę samą wieś, ile konie ścignąć mogły; a tuż za wsią, jak dziś pamiętam, był krzyż na rozstajnej drodze. Pomimo ciemności, spostrzegłem tuż pod krzyżem schyloną postać kobiety, okrytej łachmanami, z dwojgiem dzieci małych przy sobie; wyciągnęła tylko ręce ku mnie, bo już prosić nie mogła, widać głód i zimno głos jej nawet odebrały; w jej poruszeniu widać była rozpacz tonącego, co się chwyla ostatniej deski zbawienia, i nie była to prosta żebraczka, jakich wiele; była to matka, co o życie swych dzieci błagała, a jednak ja niegodziwy nie chciałem tego zrozumieć — tam na złocistym łożu czekał mnie pacjent bogaty, czekała mnie przyszłość. Pojechałem dalej; a choć piersi ból ścisnął, a w tym bólu pełno było wyrzutu i zgrozy; jam jechał dalej. Boże mój, Boże! czyż człowiek zawsze grzech swój pięknymi teoryjkami osłaniać będzie! Siedząc w wygodnym powozie, jam się jeszcze zastanawiał nad plagą towarzystw naszych, nad żebractwem i cieszyłem siebie, że ono nie jest wynikiem nędzy lecz rozpusty, że jałmużna poniża, a ja com tak głosił, że kocham ludzi jak braci, nie mogłem przyczyniać się do ich upodlenia; a chociażby i były pojedyncze jakie ofiary, to dla przeświadczenia massy o jej własnej godności, nie trza się roztkliwiać; i te myśli mozgu mego nie spaliły, o mój dobry Boże! Tyś mi dozwolił bluźnić i grzech swój jeszcze fałszywą maską poświęcenia i miłości przykrywać, tak jakby wedle Twój nauki Chryste, trzeba było jeszcze się oglądać komu się robi dobrze, tak jakbyś Ty swą śmiercią na krzyżu chciał nas nauczyć, że tylko dla wybranych winniśmy swe ser-

ce otworzyć. Ale kara nie długo kazała się czekać, pomimo całego rozumowania, ciągle mi stał przed oczyma krzyż, a pod nim kobieta z dwójgiem dziećmi, prosząca o pomoc, i stanęły mi jasno jej rysy przed oczyma, w jej wywiędtych policzkach, zapadłych oczach, w źrenicy suchej lecz palonej gorączką, dostrzegłem coś znajomego — oh! tak, to było to samo dziecko, którem ja w młodości widział, śmiechem witające życie; ta sama dziewczeczka, która z skowronkiem śpiewała na przegony, ta sama dziewoja, co ze śpiewem radosnym, a z rumieńcem na licach wyglądała przez małe szybki okienka swój chatki, czy prędko swały zakofacą do drzwi; a teraz straszno pomyśleć, że, też człowiek, przy konającym bliźnim, jeszcze na piękne teorye zdobyć się może!... Pacjenta mego znalazłem w stanie nie rokującym wielkiej nadziei; w sypialni było wszystko, co zbytek dostarczyć może; wszyscy domownicy w rozruchu, rodzina spoglądała na mnie, szukając w moich oczach pociechy; jam przystąpił do chorego i zaczął rozpytywać, lecz zamiast odpowiedzi chorego, brzmiały mi tylko w uszach te słowa: Panie, litości, tak zimno, trzy dni nic nie jedli ja i moje pisklęta; to tak ciężko umierać, kiedy się dwoje sierot zostawia; tylko na kęs chleba — nie dla mnie, dla moich dzieci... I znowu między mną i chorym wyciągał krzyż swoje ramiona, a ta sama kobieta, wyprostowana cała, z okropnym wyrazem na twarzy, zdawała mi się grozić, przeklinać, a z jej ust zda się słyszałem słowa: zabijeś moje dzieci!... Cały drżący, jak nieprzytomny podszedłem do swój podróźnej apteczki i coś wybierałem ze stoików, mięszałem, ale co, to i sam nie

pamiętam. Wiem tylko, że nad rankiem mój pacjent już nie żył, a cały ten czas przesiedziałem przy jego łożu z wlepionemi weń oczyma, trzymając za puls, nie słyszałem ani płaczu rodziny, ani rozpachy młodej jego żony, ani przekleństwa jego siwego ojca, co spadło na moją głowę, całą swą duszą skupilem się we wzroku, tak jakbym polegą spójrzenia chciał ulatującą duszę zatrzymać. Ach! bo z tą duszą ulatywała razem i moja opinia i przyszłość cała; wszystkie złote rojenia, wszystkie zamki nadpowietrzne; wszystko już się w proch rozsypało. Chory jeszcze się zwrócił ku mnie, spójrzał mi oko w oko i skonał; ach! co za okropne spójrzenie, jeszcze mi teraz pali w mózgu, oddech zabija... czytałem zda się w tym wzroku — zabiłeś mię doktorze, a ja mam żonę, którą kocham, ja mam dostatki, ja mam wszystko co żyćcie upiększa, wszystko się ku mnie uśmiecha, a tyś mnie zabił w życia zaraniu.....

.....

I kiedym na drugi dzień wracał od chorego na najętym wózku wieśniaczym, wymknąwszy się z pańskiego dworu jak złodziej, właśnie gdym się zbliżał do wsi pod tym samym krzyżem prawie spostrzegłem gromadkę ludzi, po przedzie wóz we dwa czarne woły zaprzężony; na wozie była trumna, a tuż za wozem dwoje małych dzieci. Zeskoczyłem z wozu jak nieprzytomny, nie pytałem kto umarł i kogo prowadzą; jam się wszystkiego domyślił... wmieszałem się w gromadkę ludzi, co oddawała ostatnią posługę biednej żebraczce, i zasypałem jej piaskiem oczy, i wszyscy się rozeszli, bo któż stypę po żebraczce sporządzi... ja zostałem tylko jeden, padłem go-

rażącą piersią na świeżą mogiłę i pozwoliłeś mi Boże
zapłakać!... jak tam długo byłem, nie wiem — póź-
niej zda się byłem chory, a jeszcze później wróci-
łem do wsi, odszukałem dzieci, to teraz moje dzie-
ci, już one wyrosły na ludzi — o! jakżem ja ich ko-
chał!... A teraz ja umieram i nie mogę na nich raz
jeszcze popatrzeć i na drogę życia błogostawić!...

.....

W A R Y A C Y A III.

Hallucynacje, jeszcze wspomnienia. — Chwile ostatnie.

Boże! co za dziwna rokosz, dziwny spokój! nie
czuję już więzów ciała, nie czuję bóleści ani dole-
gliwości żadnych — to widać kryzys życia, to ta chwi-
la, którą ludzie nazwali konaniem. Dziwne ludziska!
Otaczają łoże umierającego, jęczą, płaczą, rwą so-
bie włosy — i czego? Czy żałują umierającego, czy
żałują siebie? Umierającego żałować, to nierozsądnie,
bo ta chwila przejścia tak rozkoszna, tak błoga, że
kwilenie i łzy otaczających zakłócić ją tylko mogą.
Płakać wolno tylko nad umierającym zbrodniarzem,
a żałować tych, co zostają, to egoizm. Czyż czło-
wiek zawsze musi jak galernik swą kulę ciągać po-
- za sobą, obowiązki życia i towarzystwa? a gdy du-
sza jego zapragnie odlecieć w lepsze krainy, to i te
ostatnie chwile zatrują mu, zniweczą swym żalem
niewczesnym.

O jakie to szczęście, że obok mnie nikogo tu niema!

Nie czuję już swojej lepianki, którą ciągał przez lat tyle, z którą płakał i bolał; a jednak ja muszę żyć jeszcze, chociaż bodaj czy już nie wedle innych praw. O! jaka to cudna światłość rozlewa się dokoła mnie; ściany mojego mieszkania zda się rozsunęły. Jestem z matką naturą, dokoła co najcudniejsze kwiatki pochyliły swe główki ku mnie i ucho moje pieści dziwna, uroczą piosnką, piosnką wiecznej miłości. O! bo świat cały stoi miłością! Nawet te martwe bryły i te mają swoje sympatyje i antypatyje.— O! wy zimni uczeni, co badacie prawa chemii, dla czego nie chcecie prowadzić nowego elementu w swoje teoryje; ale wy lękacie się pierwiastku życia, wy lękacie się przyznać, że kwas kocha się w zasadzie, że giną oboje w uścisku miłośnym, dla tego tylko, by powołać do życia nową istotę—sól, a to dziecię bytu kosztowało rodzicom; a jednak tak wielkie jest prawo odwiecznej miłości, że się oni nie zawahali ni chwili. A kwiatki, kwiatki żyją jeszcze większym poświęceniem. Boże mój, Boże! dla czegoż mi w ostatniej chwili pozwoliłeś otworzyć oczy? dla czegoż mi teraz właśnie pozwolił zrozumieć ich cudną mowę i podstuchać ich tajemnice, teraz, gdy te wielkie prawdy do grobu już z sobą będę musiał ponieść!...

A takby mi się chciało z braćmi ludźmi tém się podzielić, otworzyć im oczy, że twoje prawo to nie przemoc ale miłość, to nie siła i nieugiętość ale poświęcenie; bo gdy się w kwiatku jednym takie wielkie a poświęcenia pełne, odegrywają hymn miłości—dla czegoż ludziom tego nie dano? Linneusz pierwszy coś przeczuł, nazywając koronę kwiatową ślubnym

kobiercem — ach! cóż to za cudny widok przedstawia się mojemu oku! W świetlanej fali przepyszna róża roztoczyła swą uroczą koronę, i jakby obłokiem upajającego aromatu, owiała gronko cudnych dziewoi pośrodku, które uczeni, co zawsze idą na opak, nazwali słupkami — i cóż w nich jest męskiego? A dokoła nich nieprzerwanym wieńcem cisną się młodziankowie — każdy wyszepce słowa miłości do ucha swój lubej i główkę pochyli i życiem to przypłaca. Wie przecie, że to go życia będzie kosztować, a jednak wspina się na palce, rozsuwa zastępy współwielbicieli, mając sobie za godło oddać swój ukochanej co się w sercu mieści, a później umrzeć. — A tam dalej mirt, rozrzucił wśród zieleni swe dziewicze kwiatki; o! posłuchajmy jaka się w nich scena odegrywa. Czy słusznie go obrano za emblewę dziewicy? Tam pośrodku cudnej piękności, dziewczoja pogląda z góry na cisnących się u stóp swoich wielbicieli, i próżne próśby, próżne modły — ona się do nich nie zniży, zawsze zimna i nieugięta; lecz Bóg ją ukarał za jej obojętność; chwila, a kwiatek swą główkę uchylił i jej skromni wielbiciele już są po nad nią wysoko, teraz ona tęskném okiem goni za niemi; lecz dosyć jednej kary. dosyć upokorzenia — każdy z pręcików otworzył swe serce, i chociaż wiele cudnych uczuć ją ominęło, były i takie, które w lot podchwyciła, by nowe życie w swém łonie rozniecić.

Nie lubię powojki, i czego ty się pniesz wciąż dalej i dalej, wciąż za nową ofiarą — ty Kleopatro kwiatów, tyle już ofiar trzymasz w twych ramionach, a wciąż dalej wyciągasz ręce do uścisku, wciąż

się na nowym wieszasz oblubieńcu; tyś może tém tylko lepsza od Putyfarowej żony, że kogo raz przyciśniesz do swój gorącej piersi, to już go nie rzucaasz, chyba ci ręce już zeschną. Czyż każda nowa chwila życia zdradza nową namiętność, nie rugując minionéj. Boże łaskawy! strzeż nas od kobiet, powojek!

A tam w głębi ogrodu wiatr przelotny przedzięra się między gęstwiny i nóci swą piosnkę żałościwą: „puśćcie mię, puśćcie mię w dom dobrzy ludzie, pozwólcie ogrzać skostniałe członki, uziął biędny wiatr, nigdzie jemu przytułku ni wypoczynku, ciągle daléj i daléj pędzi smutna konieczność — czyż moja wina, że mój uścisk chłodny, pocałunek mrozi? a tak, mnie trzeba się ogrzać między wami, złodowaciała pierś do waszego gorejącego łona przytulić.“

Teraz pojmuję dla czego na mnie wiatr jesienny taką naprowadzał tęsknicę. Ja, samotnik na świecie, nie wiedząc o tém, współczułem doli błędnego wygnańca, co do każdéj chaty kołając, wszędzie znajduje drzwi zaparte; a gdy się i wciśnie przez szczelinę, to go spotkają przeklęstwem. Biędny wiatr! Co on winien, że jemu chłodno na świecie i musi u ludzi ciepła pożyczać? To też ludzie jak od każdego niewypłatnego dłużnika, kryją się od niego po za futra i ściany domówstwa.

W świetlanéj fali, księżycy promieni, co jasnym słupem do mojego zawitały ustronia — trzepoce sobie moja płaszyna, to dziecię światła, z jaką lubością ona się kapie w tych falach lecz cóż to, czy mi się widzi, czy tajemnicze światło księżycy do rozeń mię usposobiło i stawi przed oczy fanlasma: już

drobne skrzydełka rozptywiają się powoli w zastłone powiewną z każdego piórka, co na jej główce wyra-
sta, złocisty się pukiel warkocza wytoczył i okrażył
jak aureolą cudnej piękności oblicze. O! teraz poj-
muję cię zagadkowo ptaszyno, pojmuje miłość moja
dla ciebie, bo w tym opierzonym atomie obrała so-
bie mieszkanie istota wyższa, i dla tego takem tę-
sknił za tobą, jak do ostatniego błysku nadziei wy-
ciągał ramiona schorzałe. O! przez litość nie ucie-
kaj, tajemnicza istoto! zostań ze mną do końca, to
tak nie długo: ja czuję, że moje życie z twém poja-
wieniem związane, gdy ty się rozwiejesz i z mgła-
mi ku górnym strefom lot swój obrócisz, dusza mo-
ja poleci za tobą. O! nie, tyś dobra, twarz twoja
się rozjaśnia, ty patrzysz na mnie tém łagodném spoj-
rzeniem, jakim matka wita przebudzenie swego je-
dynego dziecięcia.

Im bardziej się wpatruję w twoje oblicze, tém
więcej cię kocham; tyś mi nie obca, jam cię widział
kiedyś w życiu, ale kiedy? Marzenia niesforne nie
dają się uporządkować, dobry Boże! jeszcze chwilkę
siły i woli mi zeszlij, niech wróce w lata mi-
nionone, niech ją sobie przypomnę; o! bo od tego spoj-
rzenia nie po raz pierwszy moje serce zabiło gwał-
towniej.

A tak mi ciężko zmusić siebie do myślenia! Jak-
by duchowej méj istocie kto ołowiane skrzydła przy-
czepił.... a wiem to dobrze, że gdzieś tę postać
spotykał. Cóż mi się marzy, jakby to było w nie-
wielkim pokoju, w sypialni zdaje się: okna przysto-
nięte firanką, łumiły blask słonecznych promieni i
rozlewały po całym pokoju jakieś dziwnie błogie

półświatło, które wszystkim konturnom dodawało jakiejś niepewności, jakiejś mglistości uroczej; w wygodnym fotelu na wpół leżącą, wpół siedzącą widziałem bladą postać młodzianki dziewczynki, na której twarzy nie dawno przebyta choroba jeszcze zostawiła swe piętno; obok siedziała staruszka matka, i z jakimś niepokojem patrzyła w twarz swojej jedyniej, jakby się lękała dopatrzeć nowych śladów cierpienia. Później obie się zwróciły ku mnie z wyrazem nieudanej wdzięczności, i nazywały mnie swoim zbawcą, a i słusznie, bom ja ją wyrwał śmierci niechybnej. I cóż dziwnego żem się wpatrzył w nią jak w świętą; ona była częstką mojej istoty, jam jej duszę w tém piękném ciałku zatrzymał, któż więc odemnie miał większe do niej prawo; dla tego mi ta chwila pamiętna, że właśnie wtedy powzięłem zamiar, połączenia z nią moich losów na wieki. I cóż było naturalniejszego, od tego czasu niemal co dnia widywaliśmy się z sobą; w myśli uważałem już ją za swą narzeczoną, alem jej nigdy o tém ani słowa nie mówił. Bo czyż uczucie da się zamknąć w zimnych wyrazach. W miarę jak ona powracała do zdrowia, sam doradzałem jej rozrywkę, mnóstwo jakichś pociesznych młodych i starych figur cisnęło się dokoła, nawet mi na ucho nie jeden szepnął, że ten lub ów stara się o jej rękę, alem ja się śmiał z tego serdecznie. Biedni ludziska, gdzież wam ze mną isć było w zawody. Jej życie to była moja własność, bom ja je ulatujące potęgą swęj nauki zatrzymał; a wy co dla niej zrobić możecie? Możebyście poumierali z miłości, ale cóż ona na tém zyska, jeno tylko zmartwienie. I tak przeszło zdaje mi się kilka miesięcy, sto-

sunki nasze nie zmieniły się ani na jedną jotę; tylko przywiązanie moje do tego rozkosznego dziecięcia wzrastało co dnia i co godziny. Razu jednego wyszedłem z domu z zamiarem wypowiedzenia jój słowami tego, o czém już od dawna wiedzieć musiała. Dziwna to ludzka natura, zdaje się miałem prawo być pewnym pomyślnój odpowiedzi, a jednak kiedym brał za klamkę od salonu, w którym ona siedziała, taki mię opanował niepokój i dreszcze, że kto wie, jeżelibym się nie wstydził służby, która na mnie patrzyła, możebym się i wrócił ode drzwi. Znalazłem ją siedzącą z jakimś młodym człowiekiem, widocznie musiał prawić o swoich uczuciach, i musiał ją tém strasznie znudzić, bo aż się biédaczka zrumieniła cała. A taka była śliczna z tém zadąsaniem na twarzy, że tam jakiś intruz, nie dość że ją nanudził, jeszcze nam przeszkadza. Ale co to kobiéta, ona na wszystko sposób znajdzie, kiedy chce tylko. Podbiegła do mnie i z filuternym uśmiechem wyciągając rączki i pochylając główkę powiedziała: „Dobrze żeś przyszedł doktorze, musisz mi zagrać waryacye na temata z Napoju miłósnego, tylkoż proszę grać pięknie i z uczuciem;“ a kiedym jeszcze się wzbraniał, prawie mię gwałtem posadziła do fortepianu, dodając: „Proszę mię tylko słuchać, siadaj pan i graj; ale ciągle, bez przerwy i to długo, długo, póki ja nie powiem że dosyć.“ Zrozumiałem to dobrze, że ta kochana dziecina nie mogąc się ze mną rozmówić otwarcie, chciała bym jój w tkliwych tonach wyśpiewał uczucia swoje. A co za zręczność w wybraniu sztuki, jakby przypominała mi, że czas już oświadczyć się, a jeszcze prosiła by grać czule i długo. To też

i grałem z takim zapałem, jak nigdy w życiu, a ten temat pełen pieśczołliwości i uroku:

Ach to napój jest nieznanym
Każdyby go kupić chciał.

.....

namaszczony mojem uczuciem, które w każdy ton wsiękło i każdą nutę ochrzciło, wyrósł do olbrzymich rozmiarów.

Jak długo grałem nie pamiętam. Wiem tylko, że kiedym skończył, już w pokoju nikogo nie było, a na dworze zaczynało się zmierzchać. W kilka dni polém otrzymałem bilet, zapraszający mię na ślub mojej pacjentki. Nie potrzebowałem czytać biletu do końca, chociaż było tam wypisane nazwisko przyszłego jej małżonka. Bo i na cóżby się to zdało.... Za kogoż mogłaby pójść, jeżeli nie za mnie. Ubrałem się więc na prędce i pośpieszyłem do kościoła.....

.....

Kiedym wszedł do kościoła, a nikt z gości weselnych na mnie i uwagi nie zwrócił; jakieś straszne zwątpienie zasiadło mi w piersiach. Przypominałem sobie wszystkie okoliczności, i rozsądek zimny a szyderczy szeptał mi wciąż złowieszczo: „i cóż z tego że ty kochasz doktorze, toż jeszcze zamało, trzeba żeby ciebie kochali, a i tego jeszcze zamało, bo widzisz, ją za innego oddają; bo przecież sam się zgodzisz, pan młody na swój ślub *incognito* przychodzić nie może.“ Ukryłem się więc za filarem i czekałem, wiem tylko że mię trawiła gorączka, piersi przygniotła jakby grobowym kamieniem, a w całym gmachu zda się powietrza na jedno nie starczyło westchnienie; a przecież nie było się czego smucić, wpraw-

dziem się zawiódł okropnie, ależ mię nie zdradziła; bo gdzie niema obietnic, tam i zawodu być nie może, a jednak gniew bezsilny krwawą łzę cisnął mi z pod powieki, a na ustach mych bezzasadna błąkała się skarga: „dla czego inni a nie ja do wszystkiego mają prawo? gdzie sprawiedliwość, kiedy jest fatalizm urodzenia; człowiek nie winien temu że się rodzi, a skoro się urodził, już na nim wina urodzenia ciąży, duszą przecież pogardzać nie mogą, boby pogardzali częstką bóstwa, a więc to ciało, krew krwi, kość kości naszych rodziców obdarza nas niestartém piętrem w życia kolejach. Boże mój! na co mi to ciało? dałeś mi duszę wyższą i zapалу pełną, po cóż ją było więzić w ciemném i brzydkim więzieniu? a jednak niedobrzy ludzie, pogardzają ciałem, a z ciała o duszy wnioskują; o! gdybym ja zamiast czoła przedwczesną zaoranego zmarszczką, zakłętych od pracy oczu i zapadłych policzków, mógł otworzyć swój duszy tajemnicę i wprowadzić ją w ten labirynt dla ludzkich oczu niezrozumiały; czuję to mocno, jój wyższa dusza wyrwałaby się z wiążących ją okowów i leciałaby ku mnie miłością i ufnością wiedziona, jój cudna główka z dumąby spoczęła na méj piersi, bo wiedziałyby, że pod tą grubą i brzydką skorupą takie się skarby uczucia kryją, jakich jój nikt oprócz mnie dać nie może.

W kościele była cisza zupełna. Wtém dał się słyszeć turkot powozów: to oblubiency zbliżali się do kresu swych życzeń i rojeń. Oni szczęśliwi, bogaci nadzieją, a ja? Każde uderzenie koła o bruk ulicy odzywało mi się w mózgu, w piersiach; były to uderzenia zegara, co wybija kwadransę go-

dżiny spełnienia wyroku dla sązonego na śmierć. Wiedziałem że nic zmienić nie mogę, bo już teraz straszna rzeczywistość stanęła mi przed oczy. Ja byłem zapomniany, może wyśmiany i dla kogo? Mój Boże! gdzież moja dawna duma, gdzie poczucie godności człowieka? co za pogardę pogardą odpowiedzieć umie? A ja zniedołężniałe dziecię, widząc konieczność, oddałbym pół życia i wszystkie nadzieje, byle tylko choć na godzinę odwlec tę straszną chwilę. . . . Padłem na kolana, i zamiast słów modlitwy, głuchy jęk wyrwał się z mych piersi, lecz w tym jęku tyle było wymowy i prawdy, że Bóg musiał mnie wysłuchać; bo kiedy szmer powstał w kościele i wszystkich oczy zwróciły się ku drzwiom, we mnie wstąpiła otucha, śmiało spotkałem wzrokiem wchodzącą młodą parę. O! jakże mi żywo stoi w pamięci ta chwila, ona tak była piękną, jak mi się teraz zjawiała. Na jój twarzy rozlana tęsknica, szła do ołtarza jakby na miejsce kary, a przecież jój przyszedł być i młody i nadziei pełen.

O! bo dla szczęścia, nawet tu na ziemi, nie dosyć jest by ludzie przyklasnęli związkom, w piersi każdego Bóg złożył święte prawo, którego przekroczenie łzami całego życia nie da się opłacić. I próżno będziemy stawić sobie przed oczy widmo obowiązków i powinności. Zgoda, uczynimy im zadość, ale czyż będziemy szczęśliwi? bo czyż szczęście władzą rozumu i arytmetyki odziedziczyć można? szczęście, to przeczysta dziewica, do którego dotknąć nie można dłonią, którą lichwa lub chciwość zbrudziła; bo się rozwije w chwili jednej, jak mgły poranne.

Ona tak była piękną — o! bo jam nie widział jój

ciała, jam w chwili boleści i uniesienia objął jój duszę w uścisk duchowy, i czułem to mocno, że ludzie jój ciało zabiorą, ale duszy jój wyrwać nie potrafią, a i na cóż? Oni tak przywykli łudzić się pozorami, że dla nich dosyć materyalnej rzeczywistości. A mnie Bóg więcej przeznaczył. . . .

Gdy już stanęli u stopni ołtarza, ona zwróciła swe oczy ku mnie — i nasze spójżenia spotkały się, i widziałem jak się powoli cała jój postać mgiełką otoczyła, wszystko co było idealnego w twarzy, powoli zaczęło się oddzielać, dla tego by utworzyć nową, eteryczną, dla moich tylko oczu widzialną postać, która wionęła ku mnie i otoczyła mię swoim uściskiem. I tak w obec Boga przysięgaliśmy sobie wiarę na wieczność, a tam o kilka kroków za księdzem martwe cieleśne usta powtarzały rolę przysięgi, lecz ta przysięga niebios nie sięga, bo dusza słów uleciała. O! byłem szczęśliw, szczęśliwy tak jak żaden ze śmiertelnych nigdy być nie może! bo nasze szczęście nie z ziemi wylęgło, nie zbrudzone żądzą, ni chucią. Jam jój duchową cząstkę zaślubił, i widziałem jój obraz tuż obok siebie, czułem jój obecność, po nieznanym spokoju i radości błogięj, które we mnie wstąpiły.

Tak byłem szczęśliw, że mi nawet żal było jój małżonka w obec ludzi, żem go tak boleśnie pokrzywdził, bo cóż on temu winien, że do jój duszy nie mógł mieć prawa. A chociaż wedle praw ludzkich honor jego był nie tknięty, toć Bóg widział, żem ja go zrabował z najwyższych skarbów, jakie człowiek posiadać może.

Już wszyscy wyszli z kościoła. Przez kolorowe szyby gotyckich okien świątyni wdzierające się promienie słońca, jakieś tajemnicze światło dokoła rozlało, i tak mi było błogo w tej rozmowie z niebieską kochanką, że wielkoby zdaje się przebył w tym miejscu, gdyby zakrystyan krzątający się koło ołtarza nie przypomniał o tym, że czas kościół zamykać. Chciałem wiedzieć, czy też ludzie nie widzą wypisanę na czole mojem tajemnicy szczęścia?

Spytałem więc zakrystyana niedowierzając: „mój kochany, a wiesz czyj to był ślub?“ — „jużciż nie pański dobrodzieju.“ — Śmiech mię ogarnął, „a dobrze wiesz“ powiedziałem. On ruszył ramionami, coś mruzczał pod nosem, a ja wyszedłem, unosząc skarb swój ze sobą. Biedny kret — on całe życie krzątając się z tymi, których celem całe krainy ducha w martwe zasklepić formy, widział formy i to mu wystarczało. Nie rozumiał że jeden może ciało, drugi duszę zaślubić. Jemu się zdało, że gdy stała związała ręce, a organista *Veni creator* zaśpiewał, to już i dusze dwójga małżonków złąły się w jedno; stała wiąże ręce, lecz Bóg dusze jednoczy.

Śpieszno mi było do domu. Przechodząc ulice doświadczałem tego wrażenia, z jakim skapiec, lichwiarz ucieka ze skarbem do swęj kryjówki. Na rogu jednę z ulic spotkałem powozy nowożeńców, które w szalonym pędzie jeszcze mię błotem obryzgały. Tu już dłużej wytrzymać nie mogłem. Zaśmiałem się całą piersią, a w tym śmiechu tyle było szyderstwa, że nawet ulicznicy musieli zrozumieć, że ja skarb unoszę z sobą. Z chciwemi krzyki gonili za mną i pokazywali palcami, a jam uciekał; o! tak chyżo, tak

chyżo, że prawie bez tchu wbiegłem do swego mieszkania i padłem na kolana przed obrazem Matki Boskiej z modlitwą dziękczynienia. A ona jeszcze raz jeden pochyliła się nad moją głową, złożyła na mém czole pocałunek pożegnania. Powolnym ruchem podniosła się ku obrazowi i złąła się z nim w jedno, i tylko słyszałem jeszcze te słowa: „jam twoja na wieki, lecz warunek naszego szczęścia to tajemnica: ciekawe oko nie powinno go dojrzeć, ani ucho ludzkie posłyszeć. W samotnych chwilach ja zlatywać będę ku tobie, jako promyk księżycy, czy pod postacią muszki swawolnej, czy ptaszka drobnego, czy z aromatem kwiatów polnych ja wionę ku tobie, by cię orzeźwić, ale dla ludzkiego oka będzie to kwiatek, lub owadek; dla ciebie w tém wszystkiém ja będę obecną, bo dla ciebie ja swą istotą cały otaczający cię świat zaludnię.“

.....

Jakieś zimno przechodzi mię od nóg coraz wyżej i wyżej. Czyżby to już była chwila ostatnia? Mózg nieposłuszny woli wpada w jakąś dziwną bezwładność. Boże! pozwól wrócić mi jeszcze w krainę wspomnień. Lecz to próżno; ludzie, wypadki przesuwają się bez myśli przed oczyma; czyżem ja znał ich kiedy w życiu? co oni do mnie mieć mogą? — Do koła coraz ciemniej; co za niepojęty stan organizmu! gdzie jestem! co się ze mną dzieje? o oddech coraz mi trudniej, zda się puls bić przestaje.

O! jeszcze chwilkę tylko, Boże litościwy! niech mi nie będzie tak zimno i ciemno umierać. Czy to złudzenie; zdaje się leżę na łożku zasłoniętém kota-

ra, koło łóżka kilku mężczyzn rozmawia po łacinie: *congestio cerebri* — to wyście sami w gorączce, ja jestem zdrow zupełnie, wam materyalistom się zdaje że ja bredzę, że to mania — nie prawda, ja ją widzę, jak w kształcie drobnej muszki ulatuje nad moją głowę i brzęczy mi słowa pociechy i słowa miłości, usiądzie mi na ustach i czysty niebiański złoży pocałunek, to się w powiew wiatru zamieni i chłodzi mi skronie, łagodzi cierpienia, co oni swymi lekarstwami sprawili; to aromatem najcudniejszych kwiatów, oddech mi odświeży; to się w promień tęczowy zamieni, i po tej świetlanej drodze płasza jej obraz i duszę moją woła do siebie.....

Znowu ciemno; co to mi się przypomniało, czy to było ze mną? czy to tylko hallucynacye mozgowe? Choroba — doktorzy... nic nie pamiętam.

Nie będę już oddychał, tak trudno, a tu tak dobrze w tym spokoju; jestem, a nie czuję swego istnienia; tylko mi w uszach brzmi jeszcze jakby echo jakiejś dawno znaniej piosnki: „Do mnie, tu do mnie, polecim w bezmiar eteru i staniam przed Bożem obliczem. Śpiesz się, ach śpiesz! nieskończoność wieków będziemy razem.“ To ona — ona mię woła; ach! lód w piersiach, lód w głowie.



P R Z Y P I S E K.

Poczytujemy sobie za obowiązek wyjaśnić niektóre punkta wątpliwsze naszej pracy i przytoczyć wszystko to, cośmy na poparcie naszych domniemań wynaleźć mogli; by nas kto nie pomówił o niesforne bujanie w strefach chorobliwej fantazyi wtenczas, kiedyśmy do wszystkich wniosków drogą analizy ostatnich chwil życia ludzkiego dójść się starali. Punktem wyjścia dla nas była chorobliwa namiętność, która w przeżytym już objawiła się starcu — w takim wieku chorobliwość jęj była konieczną, lecz jak się nam zdawało źródło tym podobnych hallucynacyi, leżeć musiało jak w moralnej skłonności do rojeń chorego, co pędząc życie samotne, oderwany od towarzystwa, zostawiony sam sobie, musiał tę iskrę w pożar rozdmuchać; i nieraz twory własnej wyobraźni za rzeczywistość przyjmować, tak również i w tém, że miłość jest ludzkiej przynależną naturze; uczucie to musi rozjaśniać nam życie, a ktoby chciał je umorzyć, musi skoszlawić i życie i samego człowieka, zmuszając go dopełnić zamkami na lodzie to, czego mu rzeczywistość dać nie może. A marzenie to najsroższa trucizna, niepowstrzymać jego polotu żandnemi zapory, żyje ono samo w sobie, z siebie wysnuwa całe światy urojonego istnienia, w których skoro się człowiek rozgości, już go z tych promiennych krain rzeczywistość nie zwabi.

Przyjmując jako fakt, przywiązanie starca do ptaszyny, staraliśmy się w pierwszej waryacji nadać temu uczuciu piętno namiętności, która przez całe życie w pierśsi zamknięta, musiała się kiedyś wylać na zewnątrz, i to już tylko w chorobliwych kształtach, dla tego, że narzędzie przejawu już wypowiedało posłuszeństwo, a oprócz tego stawały z nim do walki, pojęcie długoletnim przywykniem utrwalone i rozleniwienie wszelkich czynności z rozprzężenia sił żywotnych pochodzące.

Po tak gwałtowném wstrząśnieniu, zegar życia starca musiał się koniecznie zatrzymać; zostawało więc nam w drugiej i trzeciej waryacji wykazać stopniowe zamieranie organizmu, pochwycić ostatnie przesuwające się przez nawpół odrętwiony mózg myśli, jak przelotne ptaki w lepsze odlatujące krainy; a także zwrócić się o tyle, o ile stan moralny umierającego pozwalał w krainę wspomnień, i dotknąć głównej jak się nam zdawało sprężyny ostatnich wypadków, a także poniekąd rzucającej światło na charakter osoby.

„Rodzimy się wszyscy jednakowo, umieramy rozmaicie,“ powiada Seneka, pomimo jednak niepoliczonych prawie codziennych chorób śmiertelnych, ze względu na ich istotę i siedlisko, możemy je wszystkie sprowadzić do rozstroju krążenia krwi, które skupia w sobie, jak ognisko schodzące się ze wszech stron promienie, ostateczne wyniki wszystkich cierpień.

John Hunter nazwał krew materyą pierwotną życia, ona bowiem niesie organom posiłek i siły żywotne, i wznawiając wciąż się rujnujący nasz organizm, obwarunkowuje dzielność życia.

Nadwężenie zatem równowagi w krążeniu krwi, czy to przez silnie obudzoną namiętność, czy też przez inne jakie fizyczne często przyczyny, musi oddziaływać na mózg. Widzimy przecież ludzi zapalonych gniewem, odchodzących od przytomności; gniew jak wszystkie namiętności bezpośrednio działa na przyrząd krążenia, a jednak skutki jego odbijają się w skoszlawieniu wszystkich czynności organizmu.

Wstrząśnienia gwałtowne w pełnym sił organizmie, zostawują ślady, ale dzielność życia wnet je wynagradza; przeciwnie zaś w wieku podeszłym, takowe excessa życiem się opłacają; trudno je wprowadzić obudzić, lecz skoro tylko znalazły możność przejawu, tak spożytkują wszystkie ostatnie sił zasoby, iż jedna godzina, czerstwego starca w konającego może zamienić.

Znakomity Bentley doskonale określił stan takowy organizmu mówiąc o sobie: „Ja jestem jak mój stary kufer, który póty się tylko trzyma póki doń nie dotkną, lecz musiałby koniecznie rozsypać się w kawałki, żebym go chciał wystawić znowu na wstrząśnienia życiowej wędrówki.”

Oto jeszcze jeden przykład. — Lord Chesterfield, gdy doszedł do zgrzybiałej starości, nie mógł znieść szybkiego ruchu powozu i nie raz żartując powiadał wyjeżdżając na spacer: „To próba mojego pogrzebu.” Dowodzi to, że przy zupełnym rozstrojeniu organizmu, umysł jeszcze był nietkniętym, co się bardzo często zdarza i u zwyczajnych ludzi: niedawno zdarzyło mi się widzieć sparaliżowanego starca, który, gdy go szczęśliwym trafem wyratowano od apopleksii, posyłał do Bernardynów przepaszając że jeszcze nie umarł i zapewniając że on słowa dotrzyma, że ich to nie minie, byle tylko cierpliwie poczekać chcieli. Podobne żartobliwe usposobienie dosyć niezwykajne w ostatnich chwilach, daje się tylko wyłómaczyć nawykniem mózgu; organ ten bowiem może machinalnie działać, nie zznając weale tego, byle tylko nadarzyła się okoliczność, która go na znajomą może wprowadzić ścieszkę. Sławny matematyk de Lagny przed śmiercią stracił zupełnie przytomność, nie poznawał przyjaciół otaczających jego łóżko. a jednak gdy go zapytano: ile wyniesie 12 podniesione do drugiej potęgi — niezwłocznie odpowiedział 144. (*).

Wszystkie objawy działalności umysłowej, od osła-

(*) Auteptyczne, również jak i inne przytoczone przykłady.

bienia fizycznego zależne, nadzwyczaj ważną grają rolę w charakterystyce rozprzężenia naszej istoty. Starożytni zwykle wielce szanowali *novissima verba*, wierzyli bowiem że konający odbierał natchnienie z innego świata, a w miarę tego jak ludzka w nim zanierała natura, językiem bogów zaczynał przemawiać.

Pewniejsza jednak przypuścić, że konający, gdy go już wrażliwość opuści i świat zewnętrzny dlań nie istnieje, wtenczas ze szczątków swych wspomnień buduje urojoną obecną chwilę, noszącą na sobie piętno zwykłych zajęć człowieka. Ostatnie słowa Napoleona były: „Tête d'armée.” Doktor Adam, autor Starożytności rzymskich, sądził się w audytoryi otoczonym słuchaczami: „Już ciemno, uczniowie mogą się rozejść” powiedział i skonał. W typach i charakterach Kraszewskiego, w pośród wielu innych dziwnie trafnych spostrzeżeń patologii moralnej, nasz powieściopisarz kresląc żywot *pozcziwego człowieka*, wkłada mu w usta przed skonaniem te słowa: „*Całuję nóżki Acana Dobrodziejca.*”

Spotykamy często u konających pewien rodzaj manii, w której zostaje zeznanie, lecz rozprzęga się władza nad sobą. Charakter osoby wykazuje się naówczas w całej swiej nagości, zwolniejszy wędzidła przyzwoitości, lub osobistych widoków.

Znałem kobietę co przez całe życie hamując gwałtowną żądzę oszczerstwa, wybuchła wkońcu przed skonaniem z taką nawalnicą żółci, złośliwości i obmowy, iż mąż obecny temu później powiadał, iż mu się zdawało, że w przeciągu tych ostatnich chwil, wypowiedziała żona jego wszystko co tylko złego słyszeć mogła o bliźnich, od małego dziecka.

Niedawno jeszcze byłem przy konaniu jednego cenobity, co z położenia swego musiał krępować wszelkie wybuchy krewkości przez całe życie, nigdy dwuznaczny wyraz nie splamił ust jego, żaden postępek cieniu podejrzenia nie mógł nań rzucić; a jednak na kilka godzin przed skonaniem mózg schorowany stawił

mu przed oczy najbardziej erotyczne obrazy, a nie-skromna piosnka, po ognistych wybuchach rozkiełzanej namiętności, następowała.

Niewłaściwie bardzo do wyrazu *konanie* przywiązują u nas pojęcie cierpienia i boleści; pochodzi to ztąd, że zlewamy w jedno, boleści choroby, co spowodowała śmierć; z ostatnią chwilą, w której czułość słabnie, wpadamy w pewien rodzaj odrętwienia, wciąż ze zbliżeniem się śmierci powiększające. Zdawałoby się że ostatnie chwile życia wtenczas są najprzykrzejsze, gdy przy ogólnym rozstroju organizmu, mózg się najdłużej ostoi i zeznaje dokładnie stan ciała; jednakże świadectwo postrzeżeń robionych nad osobami, w podobnym znajdującymi się stanie, potwierdza, że ze wszystkich dolegliwości życia, zakończenie jego jest najmniejszą. „Gdybym mógł utrzymać pióro, powiedział William Hunter, skreśliłbym jak to przyjemnie umierać.” Ludwik XIV konając powiedział: „Sądziłem że trudniej przychodzi umierać” i moglibyśmy mnóstwo przytoczyć przykładów podobnych, w których konający doskonale zeznają swój stan, w którym wszystkie zdolności zdają się skupione ku zażywaniu tego błogosławionego spokoju, na który zewnętrzne okoliczności wcale nie wpływają.

Często się zdarza, że konający nie mają najmniejszego zeznania ani tego co ich otacza, ani też siebie samych. Wyraz ich twarzy i ruchy mogłyby w błąd obecnych wprowadzić, dając powód przypuszczeń, że przy zupełnym odrętwieniu zostaje im jeszcze czułość wewnętrzna. Lecz ze świadectwa tych co byli w takim stanie i cudownym zeń wyszli sposobem, wiemy, że wcale nie zeznawali wówczas swego istnienia. Montaigne ogłuszony spadnięciem z konia, poszarpał odzież na sobie, lecz gdy mu później o tem opowiedziano, nie chciał wierzyć, gdyż zdawało mu się, iż się obudził z uspienia.

Manja gorączki boleśną jest dla patrzących, lecz nie dla chorego, który przychodząc do przytomności

nie wie wcale o tém, iż całe dnie i noce rzucał się na łóżku i bredził niestworzone rzeczy. Skoro tylko czułość ustaje, śmierć moralna wyprzedza fizyczną; skon zatem jest tylko przebudzeniem w innych warunkach istnienia.

Najczęściej umysł zostaje w stanie pośrednim między czuwaniem i zapomnieniem. Kto nie zwykł przepędzać chwil swych u węzłowia konających, nie potrafi oznaczyć téj chwili gdy już człowiek zrywa zupełnie ze światem zewnętrznym, nieraz wzrastająca odrętwiałość może nas w obłąd wprowadzić i możemy ją uważać za zupełną nieczułość; tak jednak nie jest—wszystkie władze zamierają stopniowo, najdłużej jednak dotrzymują placu wzrok i słuch. Podczas ostatnich chwil sławnego Wollaston'a, jedna z osób obecnych zrobiła uwagę, że już koniec blizki, bo już chory utracił przytomność; wtenczas Wollaston prosił ołówka i papieru, nakręślił kilka liezb i zsummował ze sobą.

Zapewna, taka potęga życia w chwilach rozstania się duszy z ciałem, tylko w wybranych daje się spotykać organizacyach; tém nie mniej jednak możemy przypuszczać, że chociaż chory nie jest w stanie objawić swego uczucia, widzi jednak i słyszy i wnioskuje, mozolnie wprawdzie, bo mózg rozprzężony niełatwo pracować może.

Niekiedy kilka słów lózných, co się wyrwą z ust konających, dowodzą nam, że w nich odrętwienie cielesne żwawszym posuwało się krokiem niż umysłowe; i ze względu tylko na wstręt ku wszelkiemu wysileniu, spokojnie poddają się powolnemu zamieraniu władz wszystkich.

Placz i narzekania krewných i obecnych, nieraz zakłcają ostatnie chwile konającego, który nie mogąc wydobyć głosu z zamartłej już krtani, wzrokiem zdaje się prosić litości, ze względu na przykrość, jaką mu niehamowanym przyczyniają żalem; bez wątpienia trudno trzymać siebie na wodzy, gdy serce pęka z boleści, gdy tracimy najdroższe nam osoby; ale już przez wzgląd

na to uczucie, jakie dla nich niesiemy, winniśmy wymódz na sobie spokój pozorny.

Jeszcze okropniejszym jest zwyczaj przeszkadzania w konaniu, chcąc gwałtem zatrzymać uciekające życie, czy to przez dawanie silnie pobudzających płynów, lub też przez zażycie innych gwałtownych środków. Dawniej było we zwyczaju, napełniać nozdrze umierającego dymem, chcąc go w ten sposób odżywić. Sławny chemik Cavendish widząc że śmierć się zbliża, wysłał z pokoju służącego z zastrzeżeniem by nie wracał przed naznaczoną godziną; chciał bowiem zakończyć życie w samotności i spokoju, niezakłóconym przez otaczających, których pomoc wcale była mu niepotrzebną. Któżby nie chciał osłodzić ostatnich chwil przyjaciela lub krewnego? Lecz często bardzo czułość nierozważna gorszą jest niż obojętność. Pojęcie zatem, że cierpienia śmierci są najwyższym stopniem cierpień choroby, zupełnie się przez fakta obala; gdyż skoro tylko nagła śmierć agonii nie przerwie, choroba sama naprzód obezwładnia, a później zabija. Gdy cierpienia z choroby wynikające nazbyt silnie dolegały, wtenczas przejście do nieczułości i odrętwienia w tak błogi stan wprawia cały organizm, iż nieraz ze względu na kontrast zdaje się nam, że to choroba opuściła chorego, wtenczas gdy już życie uchodzi. Puszkina, sławny poeta rosyjski, cierpiał okropnie z ran w pojedynku otrzymanych; gdy się boleści przed śmiercią uspokoiły, żona przytomna wtenczas, wprowadzona w obłęd wyrazem spokoju rozlanego na twarzy chorego, wołała z radością do otaczających: on nie umrze, można go wyratować" lecz właśnie w tej chwili wielki poeta oddawał ducha Bogu. — „Moi przyjaciele, mówił akademik Fontenelle, na kilka chwil przed śmiercią — nie mię nie boli, tylko mi jakoś kłopotliwie podtrzymywać to życie.“

Gdy agonja trwa dość długo, wtenczas rzeczywiście dosyć jest przykrym stan taki zawieszenia między życiem a śmiercią; chory zeznaje, że sił do życia już nie

ma, samo życie jest dlań ciężarem, a jednak musi wleć ten ciężar za sobą.

More platonista, opisując stan podobny, porównywał siebie do ryby, którą wyrzucono z właściwego jej elementu, co się tarza po piasku i skonać nie może.

Ze wszystkich zdolności najpierwiej zatracą się pamięć; mózg konającego podobny jest do wosku miękkiego, na którym odbijając się nowe wrażenia, zacierają odcisk tylko co przedtem otrzymanych. Co jeszcze dziwniejsza, to pamiętanie wypadków młodości i dzieciństwa przy zupełnym zapomnieniu tego, co było przed chwilą. Zjawiska podobne mają tylko miejsce w wieku podeszłym, gdy śmierć jest wynikiem zużycia zupełnego organizmu. Nieraz jeden wyraz, jeden dźwięk, który dawniej słyszeli, pociąga za sobą cały szereg wypadków z krainy wspomnień wziętych. Bywają także zdarzenia, że przed śmiercią człowiek traci zupełnie całą swą przeszłość; Fontenelle zapomniał zupełnie o dziełach swoich. Wiek jednak niszcząc pamięć, uszanował świeżość umysłu; powiadał on do swoich przyjaciół: „Czas mi już w drogę, co większe z życiowego ładunku. posłałem już naprzód.” Walter Skott przed śmiercią powiadał o sobie, że wrócił do początku swęj życiowej wędrówki, i że pragnąłby tylko żeby mu prędkiej zęby zaczęły się wyrzynać.

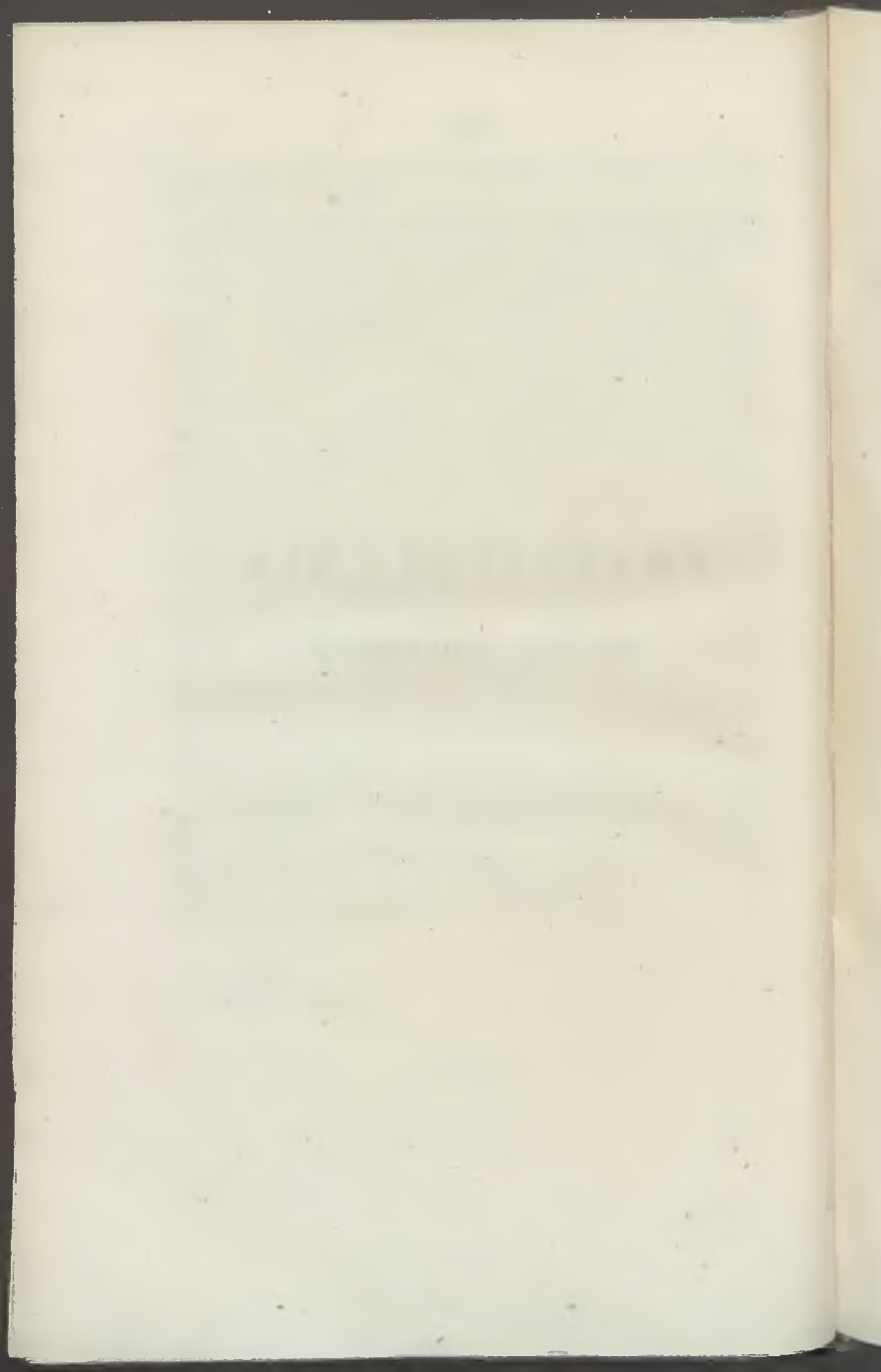
Zatrzymanie krążenia jest ostatnim wyrazem życia, przy osłabieniu téj czynności zmniejsza stopniowo ciepło wewnętrzne: opierając się na tém, ostatnie słowa umierającego doktora, wedle naszego zdania, musiały być objawem poczucia zimna w piersiach i głowie.

Wilno.

4 Listopada 1856 r.

PRZESIEDLENIA.

ARTYKUŁ SCHLEJDEN'A.



PRZESIEDLENIA.

ARTYKUŁ SCHLEIDEN'A.

Pierwszemi wędrowcami po powierzchni naszego globu, były, o ile wiemy, kamienie i skały. Gdy się im wydał klimat Szwecyi i Norwegii nadbyt chłodnym, wybrały się na wędrowkę ku ciepłemu południowi. Większa ich część na pół drogi, znużona, została na piaszczystej równinie, która przez środkowe strefy Europy i Azji przechodzi (*).

(*) Autor ma tu zapewne na względzie potok wód w kierunku od Pół-Z. ku Pół-Wschodowi w czasach przedhistorycznych, który pokrył północno-wschodnią część Niemiec, Polski i Rosyi odłamkami górotworów po drodze zostawionych. Zatrzymał się on, jak to możemy widzieć na mappie Mureczysona, około rzeki Oki. (Napływ ten znany pod nazwą *diluvium*.)

Inne znowu mniejsze, a t \acute{e} m sam \acute{e} m bardziej do ruchu pochopne, sięgły aż do pochyłości gór, i tam się zatrzymały pogrążone do dziś dnia w zachwycie, przez otaczające cudne krajobrazy obudzonym. Wielkie kamienie pokrywające równiny północnej Europy i Syberyi napływowemi odłamami (blocs erratiques, Findlinge) zwane, pochodzą bezwątpienia z gór Szwecyi i Norwegii, co się bez zaprzeczenia dowodzi przez własności samychże minerałów. Z tego punktu środkowego; w kierunku promieni rozproszyły się one na wszystkie strony. I wiele lat minęło od epoki tych pierwszych przewrótów, od czasu gdy fale wielkiego Oceanu północnego, płucały podnoża Harcu, lasów Turyngii i t. p.

Lodowiny olbrzymie oderwane od brzegów Szwecyi i Norwegii, które to kraje miały zapewne naówczas cech \acute{y} właściwe obecnie Groenlandyi, pochwycone przez prądy morskie. kierowały się ku południowi przenosząc na swych barkach odłamy skał spadłe na nie z gór północy. Promienie słoneczne topiły lodowiny a skał odłamy na dno spadały, które wciąż się podejmując, wysunęło ich grzbiety ponad powierzchnię wód i utworzyło szeregi skał w kierunku promieni rozrzuconych.

Kto wie, może całe wieki spłynęły nim się one przesiedliły ze sw \acute{e} j północnej ojczyzny na nowe miejsce pobytu. Obecnie nawet u wybrzeży Ameryki północnej spostrzegamy podobne zjawiska, i skoroby jakie przewroty ziemne podniosły ponad powierzchnię wód mielizny Neufundlenckie, toby się ta nowa kraina ukazała oczom naszym zarzuconą przy-

byszami z Groenlandyi, podobnie jak równiny Europy północnej dały przytułek wędrowcom ze Szwecyi.

I jak dzisiaj na szwecim granicie wznosi się pomnik Piotra Wielkiego, a ogród spacerowy w Berlinie, zdobi czara olbrzymich rozmiarów z granitu szweckiego wykuta, tak również Montreal i Halifaks mogłyby ubrać swe place skałami Groenlandyi, któreby sztuka w uroczę przybrała formy.

Rzecz godna uwagi, iż najdawniejsze przesiedlenia kamieni (rozumie się te tylko o których wiedzieć możemy) odbywały się w kierunku promieni z jednego rozchodzących się środka; tém bardziej powinno to nas zastanowić, iż w przesiedleniach roślin, zwierząt i ludzi, toż samo daje się spostrzegać prawo, które moglibyśmy nazwać *geometryczném*; później kierunek przesiedleń urozmaica się ze względu na wiele zewnętrznych okoliczności, obwarunkowujących drogę wędrowek takowych. Takie wędrowki możnaby nazwać *rozproszeniem fizyczném*. Wkońcu poczyna się najprostszy, z prawami natury zgodny kierunek, będący życia natury cechą; kierunek takowy wypadłoby, dla wyróżnienia, nazwać epoką *przesiedleń organicznych*.

Historya przesiedleń w świecie nieorganicznym nader łatwa do zbadania. Zapewne wędrowki kamieni z północy ku południowi, o których wspominaliśmy uprzednio, odbywają się nieustannie, tylko że my ich dostrzedz nie możemy.

Jeszcze w czasach przed-historycznych spostrzegamy zjawisko podobnych przesiedleń w dziedzinie Alp, np. od Alp Bernu do Jury, z taką tylko różnicą, że tu zarysy dolin i lodowin musiały wpłynąć

przeważnie na kierunek wędrówki, i dla tego możemy je zaliczyć do epoki fizycznych przesiedleń.

Obecnie najważniejsze przewroty w świecie nieorganicznym, dadzą się sprowadzić do nader małych rozmiarów, zależą bowiem na ruchu drobnych cząstek porwanych przez potoki, z wód spadtych z deszczem powstałe, i niesionych z biegiem rzek ku morzu. Wielce jednakbyśmy się mylili, uważając przesiedlenia takowe za mało znaczące ze względu na ich rozmiary.

Nil, podczas najmniejszej wody, wylewa do morza na jedną sekundę 470,000 sześciennych stóp wody; Ganges, w tym samym stanie 500,000 stóp sześciennych; a niedaleko Memfis w Tenesój wylewa się rocznie około 44 bilijonów stóp sześciennych wody z Missisipi.

Za pomocą ścisłych badań, potrafiąco oznaczyć ilość itu, porwanego tym prądem. W Missisipi on stanowi $\frac{1}{3000}$ t. j. w przeciągu roku około 4,500 mil: stóp sześciennych. W Nilu 200 milionów stóp sześciennych; w Gangesie 6,000 milionów stóp sześciennych. Dla tego, by te liczby nie były dla nas martwą literą, chciejmy zapamiętać iż Gansberg (koło Jury) od Zaalszpigelu do wyniosłości Gemdenbach, do strumienia Zigenhajn i od Kamsdorfu do stóp Jenaprisnitz zawiera w sobie zaledwie 600 milionów stóp sześciennych; jeden przeto Ganges wyrzuca w przeciągu roku do morza dziesięć razy większą masę niż cały Gausberg. Nader ciekawe poszukiwania Ehrenberga pokazały, iż prawie $\frac{1}{6}$ całej téj ilości t. j. półtora razy większa masa niż Gansberg, składa się ze skorupki infusorii lub też z drobnych wapiennych

i krzemionkowych cząstek roślin; pozostała część napływów z rzek do morza, jest własnością gór naszych i pokładów ziemnych, przenoszonych cząstkowo przez prądy z miejsca na miejsce.

Oczewista, iż przesiedlenia organiczne, wedle tych pojęć jakieśmy to określili wyżej, nie mogą mieć miejsca w świecie nieorganicznym, t. j. w królestwie minerałów.

Zwróćmy się przeto do roślin i zwierząt. Źródła, z których moglibyśmy zaczerpnąć niejakich wiadomości o pierwszych przesiedleniach, rzecz naturalna, są bardzo i bardzo ograniczone.

Skały zostają same jako pomniki i świadki swoich wędrówek; człowiek przechowuje wspomnienia przeszłości czy to w ustnym podaniu czy też w pamiętkach historycznych; zwierzęcy zaś świat i roślinny, chociaż równie znikome jak ród ludzki, lecz pozbawione są téj potęgi duchowej, która kładzie piętno nieśmiertelności na zjawiska same przez się przemijające, które jako mgły rozwiać się i zginąć w niepamięci mogą. Tylko sumiennym pracom badaczy natury, poświęcających swój czas i zdolności zrozumieniu warunków życia roślin i zwierząt, zawdzięczamy niektóre wiadomości historyi świata zwierzęcego i roślinnego dotykające.

Do najpewniejszych jednak i najznacześniejszych wiadomości, winniśmy zaliczyć wspominki o téj kwestyi, człowieka, który żyjąc w zetknięciu z naturą, zostawił w historii swójej, uwagi nad tém co go otaczało, i co wpływ na jego życia warunki musiało wywierać.

Siedzibą pierwotną roślin były wzgórza, które

się z głębi wód wynurzyły; poczynając od tych głównych punktów, rośliny musiały się rozsiadlać w kierunku promieni; w miarę tego jak wierzchołki gór wznosiły się nad powierzchnię wód; z jednej strony wynurzały się nowe ziemie obszary i zabezpieczały miejsce dla przesiedleń roślinom, z drugiej strony na wyżynach więcej podniesionych wzmagające się chłody, rugowały życie roślinne i zmuszały je zstąpić w strefy bardziej łagodne i przychylne, t. j. ku dolinom. Na mocy tej zasady, z powodu stopniowego stygnięcia ziemi, roślinność z pod biegunów musiała się przenieść w kraje podzwrotnikowe.

Bez zaprzeczenia są to najstarożytniejsze formy przesiedleń roślinnych. Wprawdzie, na wierzchołkach gór, wedle granicy wiecznie leżących śniegów, spotykamy rośliny jakby przykute do tej miejscowości, bo ani w doliny przejść nie mogą ani też sięgnąć w strefy lodowate, dla tego że w dolinach nie znajdują potrzebnych dla ich życia warunków, a mianowicie światła i jednostajnie chłodnej temperatury.

Jeżeliśmy mogli przypuścić iż góry Alpy, na przykład raptownie sięgły do wysokości obecnej, i wtenczas tylko pokryły się roślinnością, to bez wątpienia musielibyśmy się zgodzić na niepodobieństwo przesiedlania roślin alpejskich w strefy górętsze dolin, podnoża gór okalających; lecz w rzeczywistości nie możemy się zgodzić na podobne gór pochodzenie. Przeciwnie one albo się wznosiły powoli w przeciągu wielu wieków, jak to spostrzegamy jeszcze i teraz na wschodnich wybrzeżach Szwecyi, lub też w skutek parcia z wewnątrz, nie stałego ale chwilowego, po-

wtarzającego się w dość znacznych przerwach czasu, jak to się ma i teraz z brzegami Chili. Czy to teoretycznie opierając się na prawach fizyki, stopniowego stygnięcia materji ognisto-płynnych, czy też praktycznie, z badań geologicznych nad górotworami czynionych, możemy wnioskować, iż pierwotnie wszystkie wyniosłości były bardzo niewielkie, i że siła podjęcia tylko się później mogła do tego rozwinąć stopnia, by ogromne massy podnieść do tak znacznej wysokości. Dla tego więc możemy, przynajmniej w tym względzie, uważać za normę, zjawiska do dziś dnia powtarzające się na powierzchni ziemi. Najbardziej liczne zmiany kształtów powierzchni ziemnej tak są powolne, iż trzeba kilku wieków by się dały zauważać, przeciwnie zaś rzadko bardzo, stosunkowo, zdarzają się zjawiska podobne, jak mieliśmy tego przykład na wulkanie Jorullo w Meksyku, który w przeciągu kilku miesięcy wznosił się na 1500 stóp po nad powierzchnią morza. Śmiało więc możemy uważać, nie tylko za możliwy ale za konieczny, kierunek promieniowy przesiedleń świata roślinnego, który z wierzchołków wysp wznoszących się powoli z głębi wód, w kierunku promieni przesiedlał się powoli na doliny, a na wyżynach gdzie klimat stawał się coraz surowszy, przeszkadzający przeżo podtrzymaniu dawniej flory, rozwijały się nowe gatunki roślin tej strefie tylko właściwe.

Dla tego więc możemy wnioskować iż cały świat roślinny z wyżyn Azji środkowej, które się powoli wznosiły, rozsiedlił się po całym lądzie starego świata.

W końcu, gdy z biegiem wieków widoczniej się

wykazały różnice stref i klimatów, gdy rozsypujące się górotwory z resztkami organicznego świata zmieszane, utworzyły rozmaite gatunki gruntów, przesiedlenia musiały się ściślej stosować do tych fizycznych warunków ich życia, a jednocześnie z tém, środki przesiedleń stały się liczniejsze i rozmaitsze, a wyłączone ich działanie zamknęło się w ciasniejszych granicach.

Większa część przesiedleń, opartych na przyczynach fizycznych, do dziś dnia ma jeszcze miejsce.

Wielorakie siły natury wciąż się nad zrównaniem flory trudzą, a różnaitość tylko w różnicy klimatu ma swe źródło i obwarunkowanie. Strumień, rzeczka lub potok unoszą wartkim pędem nasiona rosnących po nad niemi roślin w odległe krainy; kokosy, pandany i t. p. przenoszą się od brzegów prądami morskimi, od wyspy do wyspy, a każdy wysuwający się z wody ryf koralowy, wnet się bujną pokrywa roślinnością.

Prawie czwarta część roślin posiada owoce uzbrojone, czy to skrzydełkami, haczykami lub też innemi narzędziami zaczepiania i t. p. które przyczyniają się do przenoszenia ich w odległe krainy (*). Drobną

(*) Przytoczmy tu kilka faktów nówszych przesiedleń roślin. Przed 12 laty poraz pierwszy postrzeżono w Szkocyi amerykańską wodną roślinę (*Anacharis Alvinastrum*) z rodziny (*Hydrocharydeae*), a obecnie tak się ta roślina rozsiedliła i rozmnożyła, iż nie tylko że rybolówstwo i żegluga po wielu rzekach i kanałach Anglii i Szkocyi przez to się utrudziły, ale nawet powierzchnia rzeki *Cane* niedaleko

trawka, (*Erigeron*), której nasiona sto lat temu przywieziono do Europy w wypchanym ptaku, za pomocą wiatrów, rozrosła się prawie wszędzie.

Nader są rzadkie przykłady w historii życia roślinnego, by jaka roślina zupełnie znikła z oblicza

Kembridze, podniosła się na całą stopę. Wszelkie starania wyniszczenie téj rośliny mające na celu, do dziś dnia były bez skutku; głównie bodaj dla tego, że każdy ułamek téj rośliny pływając po wodzie zaczyna się rozrastać i odradzać za pomocą nasion, a gdy zwrócimy uwagę na nadzwyczajną jéj chrupkość, łatwo pojmemy jak prędko mogła zapęcznieć liczne wody Anglii i Szkocyi. Podobnie zupełnie i inne rośliny u nas się rozprowadziły: na przykład Bielun (*Datura stramonium*) dosyć ładna, lecz jadowita roślina, przywieziona w wiekach średnich do Europy przez Cyganów, teraz już rośnie sama wszędzie. Podobnież wiesiołek dwuletni, *Oenothera biennis* i *Phytolaca decandra* przywiezione z Wirginii, pierwsza w roku 1614 druga 1770, do farbowania win sokiem wyciśniętym z jagód téj rośliny, już się rozmnożyły prawie w całej Europie. Do przeniesionych roślin i aklimatyzowanych w naszych prowincyach, winniśmy zaliczyć *Erigeron Canadensis* który niemal całe pola zarasta.

Równie ciekawy fakt przesiedlenia przedstawia (*Cynara Cardunculus*), która ze swéj pierwotnéj siedziby, w krajach nad morzem Śródziemném położonych, przeniesiona do Ameryki, tak się rozmnożyła, iż w niektórych okolicach utworzyła nieprzebyte kolczaste gęszcze. Jak na przykład nad brzegami Laplaty, takie gęszcze zarastają przestrzeń około 10,000 wiorst kwadratowych mające.

(Przypisek tłumacza.)

ziemi, gdy przeciwnie z czasów przedhistorycznych mało się bardzo do dziś dnia dochowało gatunków. Ciekawe przykłady takich zatraczonych roślin spotykamy na piramidach Egipskich, których rzeźby przedstawiają najdokładniej rozmaite gatunki grzybieni; dwa jeszcze teraz rosną w Egipcie i krajach przyległych, a trzeci zupełnie tam zaginął i dotychczas nie odszukano go jeszcze w żadnym zakątku ziemi.

Uprzednio wspominaliśmy pisząc o trzecim rodzaju przesiedleń, któryśmy nazwali organicznym. Chłodne powietrze dążąc od biegunów ku równikowi pierwiastkowo w kierunku promieni, i tylko w średnich już szerokościach jeograficznych, podlegając wpływowi praw fizycznych, zlewa się z życiem ziemi i naksztalt rzeki organicznej, idzie od wschodu ku zachodowi dążając za słońcem. Takim jest właśnie trzeci rodzaj przesiedleń, przez nas na ziemi postrzeganych.

Są to późniejsze, jeszcze się kontynuujące przejścia działalności: dla ich zbadania mogą nam służyć jako źródła, pamiątniki historyczne kolei życia rodu ludzkiego. Zapytajmy kogokolwiek u nas lub w Ameryce o pochodzeniu szeroko rozsiedlonych a najpożyteczniejszych roślin, tak tu, jak tam, na Wschód nam wskażą.

Kawa, cukier, bawełna, banany, goździki i t. p. są ze Wschodu pochodne i krok w krok za ruchem słońca postępując, przesiedliły się na Zachód.

Aleksander Wielki w czasie swój wyprawy, przeniósł do Grecyi fasole i ogórki; len i pieńka z Indyów pochodzą.

Niezbędnemi są dla życia człowieka wysokie trawy,

rośliny zbożowe, będące podstawą i obwarunkowaniem rozwoju moralnego towarzystw, od nich bowiem stan rolnictwa zależy.

Otoż wszystkie rośliny zbożowe moglibyśmy dla żartu nazwać istotami bez rodu, przodków i ojczyzny.

Najściślejsze badania nie mogły dotąd odkryć i stale oznaczyć rzeczywistej ojczyzny pierwotnej pszenicy, żyta, jęczmienia i owsa a również kukurudzy i ryżu; wszędzie je można spotkać czy to zasiane czy też w stanie dziczałym. Wszystkie jednak podania zgadzają się z tém, iż kiedyś w odległej przeszłości, każdy naród otrzymywał nasiona roślin zbożowych jako spadek po swych sąsiadach ze strony Wschodu—i te podania wzajem ze sobą się wiążą, aż póki mył nie zaginął w mroku przeszłości na wyżynach Azji środkowej. Jak się zdaje, była to pierwotna ojczyzna naszych roślin zbożowych, i może one tam obecnie zaginęły, li tylko z powodu późniejszych wzniesień się gruntu tych krain.

Indye nawet otrzymywały ztamtąd pszenicę; wniosek nasz opieramy na studyach filologicznych, gdyż w sanskryckim języku, nie spotykamy źródłowego nazwania pszenicy—ale wyraz złożony, oznaczający „pokarm barbarzyńców” co jasno dowodzi pochodzenia ich z północo-zachodu.

W Europie, z roślin zbożowych najpierw poznano jęczmień i pszenicę. Wiele lat przeszło, nim kupcy z Marsylii, przywiezli żyto zapewne z Taurydy i które za czasów Pliniusza siano w małej ilości i tylko koło Turynia. W VII wieku, Zoro-Wendy przenieśli żyto do Niemiec, i na rozkaz Karola Wielkiego zaczęło je uprawiać.

W końcu przywieziono owies ze Wschodu, jako roślinę wielce pożyteczną. Historia daje nam środki, łatwego badania rozszerzania się zasiewów ryżu. Ojczyzną jego są Indye i nawet sama nazwa *ryż*, od sanskryckiego *vri* pochodzi. Jeszcze za czasów Aleksandra Wielkiego, uprawa ryżu nie sięgała dalej Eufratu. Później rozszerzyła się ona do Egiptu i Europy południowej, a tylko na początku przeszłego stulecia przewieziono go do Ameryki.

Prawo wyżej wymienione, zawierałoby przeczenie w samym sobie, jeżelibyśmy kukurudzę uważali za roślinę z Ameryki pochodzącą.

Nikt jednak nie dowiódł jeszcze tego ściśle, iż starożytni nie znali kukurudzy, gdyż Teofrastową „pszenicę wielkości oliwki” trudno za co innego jak za pszenicę uważać, a nazwisko nawet samo wskazuje jej pochodzenie wschodnie, nie zaś zachodnie.

W Rosyi, Włoszech i Szlązku, nazywają kukurudzę turecką *pszenicą*, a w Grecyi *Arabositi*, arabską pszenicą.

Z powodu nader rozległych granic tej kwestyi, muszę się powstrzymać od liczniejszych przykładów, i wykladać treściwie i ściśle.

Wino, wiśnie, granaty, słowem wszystko prawie niezbędne dla nas, smaczne lub pożyteczne ze świata roślinnego, otrzymaliśmy ze Wschodu. Z Azji wędrowały aż do brzegów zachodnich Europy, gdzie wypocząwszy chwilę, przepawiły się przez ocean i rozgościły się w Ameryce, w swój nieustannój na zachód wędrowce.

Lecz Zachód dla tego tylko przyjmuje dary od Wschodu, by je uszlachetnić, wykształcić, i może

nie długo czekać téj chwili, kiedy przemysłny Jankes przewiezie na powrót kosztowne morele do Persyi, t. j. do kraju, z którego Europa otrzymała ten owoc dziki i w stanie pierwotnym.

Za wszystkie dary Europy Ameryce, które w czasie téj wędrówki na Zachód przeszły, Ameryka równie się niewdzięczną okazała jak Europa względem Azii. Za dobroczynne rolnictwo, za hojne żniwa ryżu, za wschodnią bawełnę, za cukier, gozdziki, pomarańcze, cytryny i granaty, ofiary niesione Zachodowi ze strony Wschodu — Ameryka wywdzięczyła się względem nas dwóma tylko przedmiotami, i to jeszcze kwestya, czy to godne wdzięczności. Prawdziwy lubownik tytoniu, nie wiemy, czy weźmie za wielkie szczęście, iż ta roślina już się w Europie uprawia; a kartofle, uważane przez filantropów za najhojniejszy podarunek Zachodu, obecnie straciły część swéj wartości. Natura karcąc złamanie jéj praw odwiecznych, (przesiedleń roślin od Wschodu na Zachód) zaczyna dotykać zepsuciem, przesiedlone nieprawnie do nas owoce.

Jeżeli byśmy nawet, opinią wyżej wyrzeczoną, za żart tylko uważać chcieli, i skorobyśmy się zgodzili na pochodzenie zachodnie kukurudzy, a nawet przypuścili, że przesliczna figa Indyjska, zdobiąca obecnie Europę południową rzeczywiście z Ameryki była przywieziona, to i tak jeszcze tych kilka przykładów, stanowiłoby tylko wyjątek z ogólnego prawa, któreśmy przyjęli za osnowę historii przesiedleń świata roślinnego, téj wiecznej ze wschodu na zachód wędrówki.

Jeden tylko taki ogólny rodzaj przesiedleń roślin-

nych może gruntownie zmieniać postać kraju, a tém samém wpływać na losy człowieka i zwierząt których potrzeby, nierozzerwanym węzłem ze światem roślinnym związały.

Przechodząc od roślin do zwierząt, spotykamy się z gromadą istot powietrznych których wędrówki nieraz kłopotaly badaczy natury i obudzały najdziwniejsze i nader fantastyczne teorye. Mamy tu na widoku infuzorye, z któremi się wiąże cały szereg roślin najprostszego ustroju. Zjawianie się ich częste i nadspodziewane w niestęchanej ilości, zrodziło teoryą tworzenia się w chwili ciał organicznych, bez pierwiastkowo utworzonego i organicznie ustrojonego zarodku. My dotkniemy zaledwie sposobu przesiedlania się tych istotek drobnych. Wszystkie należące tu zwierzątka i rośliny, cechują się nadzwyczajną lekkością nasion i jajek, do tego stopnia, iż unosząc się w powietrzu, mogą bujać na jego falach i przenosić na znaczne odległości, przy najmniejszym wietrze.

Muchomor, położony na czarny papier i wystawiony na działanie słońca, w przeciągu kilku dni wydziela nasiona, o czem możemy się przekonać z drobnych pryskań, nakształt pary nad powierzchnią grzyba się unoszących; obecność nasion z wielką trudnością daje się zauważać na papierze, gdyż większa ich część unosi się w powietrzu.

Pierwiastkowo ten rodzaj przesiedleń nasion i jaj podlegał niejakiemu wątpieniu, niepodobna bowiem było dowieść ich istnienia w powietrzu; lecz kilka lat temu, Unger dowiódł tego w sposób najbardziej przekonujący. W przeciągu sześciu mie-

sięcy zimowych, chował zamknięte w szczelnie za-
ciśniętych ramach, czyste szkiełko, gdy później za
pomocą mikroskopu rozpatrywał pył na szkiełkach
osiadły, pokazało się iż do części składowych pyłu
należały jaja 4 gatunków dosyć ważnych infusoryj,
albo nawet same żyjątka, pyłek kwiatowy ośmiu
gatunków rozmaitych, roślin, nasiona jedenastu ga-
tunków grzybów, jeden gatunek mchu i żywe
nawet exemplarze najmniejszych wodorosli; wi-
doczna, iż żadne zamykanie zwyczajne, chociażby
najszczelniejsze, nie może wzbronić przejścia tym nie-
widzialnym prawie powietrznym żeglarzom.

Zwróćmy się jednak do przesiedleń zwierząt.
Nauka twierdzi iż płyn magnetyczny zewsząd glob
nasz otacza i wywiera wpływ na igłę magnesową;
oświecony nawet człowiek nie wolen od pewnego prze-
strachu i dreszczów gdy ten płyn wciąż obok niego prze-
biegający, stanie się mu widzialnym, i że tak po-
wiem namacalnym, jak to się ma w dowcipném a
zagmatwaném doświadczeniu Webera. Za kamień
probierczy płynu magnetycznego, służy nam zwykle
igła podwójna, czyli tak zwany multiplikator, w pe-
wny, określony zawieszony sposób między dwoma
miedzianymi drutami, których końce przyprowa-
dzone w zetknięcie z ciałem, posiadającym płyn
magnetyczny, zmuszają przez wpływ, igłę do ru-
chu i to tém gwałtowniejszego, im ilość płynu jest
większą lub też prąd silniejszy. Skoro drut na-
ciągnięty, skrećić jak wianek i dwoma końcami do-
tykać wyżej wymienionego narzędzia, to z poruszeń
igły łatwo zauważać, iż w drucie miedzianym ra-
ptownie obudza się prąd elektryczny, skoro bę-

dziemy trzymać magnes w środku kółka. Zamiast magnesu, możemy używać magnetyczny prąd ziemi, którego kierunek łatwo nauka oznaczyć może. Rzeczywiście jeżeli zaczniemy zmieniać położenie wyżej wymienionego wianka, to igła magnesowa do doświadczeń służąca, będzie w zupełnym spokoju dopóty, póki wianek nie będzie w tém położeniu iż prąd ziemi będzie przechodzić przez jego środek; właśnie wtedy silne zboczenie igły wskaże iż w drócie obudził się taki tok właśnie jakbyśmy do wianka położyli magnes. Tajemniczy, niewidzialny dla naszego oka prąd siły życiowej naszego globu, przejawia swą widomą działalność.

To co spostrzegamy w świecie fizycznym (prąd niewidzialny i każdochwilowe krążenie sił wkoło nas) niemniej jest widzialnym i w świecie zwierzęcym. Dla zwyczajnego, nie wspartego powagą nauki, oka, natura się wydaje spokojną, jednostajną, niezmienną. Dzisiaj doznajemy pociechy z drzewa, które przed kilku lub kilkunastu laty karmiło nas swemi owocami; wróbel co latem krzywdził nasze wiśnie, zimą pobiera ziarno posypane po gumnisku, ta sama zwierzyna na którą polowali nasi praojcowie, nęci i naszych myśliwców. A jednak wszystko nie tak jest jakby się zdawało; wprawdzie zwierzęta domowe, których obyczaje przez człowieka znacznie się zmieniły, stałe mają nawyki; owce i rogacizna co dzień wracają do swęj zagrody, lecz w życiu swobodnym, wedle Boga, rzecz się ma inaczej;—wszystko tam w ruchu, wszystko naprzód dąży, ciągnę tam zamęt, spieranie się, wypychanie, zmienianie miejscowości, dla tego by z przeszłości, która

straciła swój urok, przejść do lepszej przyszłości. I lu powinniśmy się ograniczyć kilku przykładami, i na nich się opierając wykazać ogólne prawo, za zasadę wszystkich przesiedleń służące. Żadne zwierze bez względu na więcej lub mniej doskonały swój ustroj, nie może się z tego prawa koniecznego ruchu wyłamać, i gdy w Historii naturalnej czytamy o przelotach bocianów lub wędrówkach śledzi, to jeszcze to nie wystarcza by sobie utworzyć najmniej dokładne pojęcie, o tym nieustannym ruchu, który sprawia iż dla oka z wyższego zapatrującego się punktu, nasza ziemia wygląda jak mrowisko pełne zabiegów i ruchu.

Najstarożytniejsze przesiedlenia zwierząt, te mianowicie które nam są znane, odbywały się w kierunku rozchodzących się promieni. Do tych należą wszystkie zwierzęta domowe, ujarzmione i przyswojone przez człowieka, a których wolni przedstawiciele rodu, jeszcze do dziś dnia błąkają się w swą pierwotną ojczyznę, na wyżynach Azji środkowej, i przechodzą po kilkaset mil przestrzeni, wyszukując nowych, posilniejszych pastwisk. Z tego punktu w kierunku promieni rozchodzących się od środka koła, powędrowały one w krainy niżej położone, przyłączywszy się do pierwszego licznego ludzkiego plemienia.

A że wszystkie plemiona, wyszłe z tych krain dla podbicia ziem innych jako swą prawną spuścizną, i zaliczone przez nas do Kaukaskiego plemienia, rozdzieliły się i rozeszły w różne strony jak promienie ze wspólnego ogniska, gdzie się hodowlą bywała trudniły, najdotykalniej dowodzi po-

bratymstwo języków: wszystkie zwierzęta domowe i wszystkie stosunki z życia pasterskiego wpływające, z jednego źródła są pochodne; gdy przeciwnie wszystkie inne wyrazy, które w skutek zmienionych warunków życia się zrodziły, nie noszą tego piętna na sobie. Ciekawy przykład podobnego rodzaju przedstawia nam niemiecki wyraz *Tochter*: pochodzi on od greckiego *θυγατηρ*, a ten znowu od Sanskryckiego *Duhitri* (ta co krowy doi), dla tego że dojenie krów było wyłącznym zajęciem córek pastuchów.

Samo przez się daje to pojąć, iż równie jak rośliny tak też i zwierzęta, na mocy tychże samych praw przesiedlały się w kierunku rozchodzących się promieni ze swęj pierwotnej, do wyspy podobnej ojczyzny.

Do ściślejszego dowodzenia przesiedleń takowych, należących do pierwszych chwil życia historycznego na naszej ziemi, za mało mamy materyałów; lecz za to daleko wybitniej wychodzą one najaw, gdy się zwrócimy do drugiej typowej formy przesiedleń.

Zmiany miejscowości spowodowane przez fizyczne obwarunkowania, możemy badać wciąż przez wszystkie koleje wieków, dla każdego niemal rodzaju zwierząt i przez wszystkie kształty przesiedleń zwracając naszą uwagę na wszystkie przyczyny które mogły je spowodować.

Rok rocznie sposzrzegamy płynące wyspy, wraz z żyjącymi ich mieszkańcami z biegiem wód Gangu, Kongo, Amazonki, Orenok o Mississipi. Koło wysp

Molukskich i Filipińskich zdarza się często spotykać podobne pływające ułamy ziemi.

Ptaki, jaszczurki i owady, przenoszą się z wyspy na wyspy za pośrednictwem drzew pływających. Na Sen - Vincencie (jednej z mniejszych wysp Antylskich) zjawił się dusiciel (*Boa Constrictor*), zwinęty dokoła zdrowego pnia cedrowego, wraz z którym siła prądu musiała go wyrwać z dziewiczych lasów Brazylii; pomimo odbytą niewłaściwą wędrówkę, tyle w nim jednak zostało jeszcze siły, iż piérwój nim go zabito miał dosyć czasu kilka owiec zadusić.

Ruch powietrza powodujący przesiedlenia infuzoryj i nasion grzybowych, niekiedy siłą swego prądu porywa i unosi większe zwierzęta; mnóstwo mamy podobnych przykładów czy to w starożytności czy w nowszych czasach, jak ryby, ziemnowodne, a nawet zwierzęta większych rozmiarów, porwane przez burze i wichrem pędzone, przenoszą się w krainy odległe.

W 1841 roku 30 czerwca, w jednym z folwarków Ucermarku, podczas deszczu, który trwał półtorej godziny, spadła niestychana ilość ryb, mających około 5 cali długości, z gatunku szczupaków, okuni, płotek; jedném słowem spadała, jak manna z nieba, gotowa strawa dla bocianów, wron, kaczek i t. p. które całemi stadami na bankiet się zleciały.

Żaby z deszczem spadające nie są rzadkim u nas zjawiskiem.

Jeszcze są ciekawsze dobrowolne przesiedlenia

pająków, (*) które wysnuwszy nic z siebie do niczego ją nie przyczepiają, ale zostawują wijąc po powietrzu, póki się nic niewzmocni do tego stopnia iż pociągnie ich za sobą.

W ten czas to porzucają ład, i na tém powietrzném czółenku ku górze się wznoszą. Ciekawą nader jest ta uwaga, iż podczas téj peregrynacyi, pajak jak się zdaje pożytkuje z siły elektrycznej do ruchu stosowanej.

Wedle opinii Murraja i Rossenhejma, nicie te posiadają elektryczność ujemną, i dla tego są odpychane od powierzchni ziemi, i przyciągane ku wyższym warstwom powietrza, elektryzowanym dodatnio. Jak daleko mogą podróżować w ten sposób pająki, może nam posłużyć za dowód postrzeżenie Darwina; na okręt zostający w odległości 60 mil od brzegu przywędrowało na swoich niciach tysiące drobnych pajęczków czerwoniawego koloru.

Nieprawne przesiedlenia często bardzo brak pokarmu powodują. Głód pędzi na kilkaset mil odległości dżehetaja, dzikiego orła, zająca sybirskiego, wędrownego szczura. Zwierzęta te licznemi stadami wędrują z miejsca, na miejsce w rozmaitych kierunkach po stepach Azji środkowej. Podobne stada myszy polnych zniszczyły w 1643 r. Hrab-

(*) U ludu jest podanie, że skoro podczas babiego lata (koniec Września i początek Października mają to w naszym klimacie, iż zwykle po chłodach jesiennych, wypada kilka dni jasnych pogodnych i ciepłych, nazywanych *babim latem*), łąki pokryją się tkaniną pajęczą, to jesień długo się przeciągnie, a zima będzie późna.

stwo Esseks, w 1729 Saksonię południową, w 1640 i 1741 Swabją, w 1745 Bremen.

Przeciwnie obfitość pokarmów sprowadza zwierzęta do krajów w których przedtem nie bywały. Obfity urodzaj orzechów przez kilka lat sprowadzał stada wiewiórek do Tomskiej gubernii; w Karolinie od czasu jak zaczęto ryż tam uprawiać, naleciało mnóstwo śliczniutkich drozdów Amerykańskich.

Bez wątpienia nazbyt rychłe mnożenie się zmusza myszy Lapońskie, porzucać wyżyny Laponii i Koły i przedsiębrać te chociaż rzadkie lecz dokładnie opisywane przesiedlenia w kierunku linii prostej w stronę Południowo-Zachodnią, przez góry, rzeki i morza, przez sioła i miasta, póki ich szeregi znacznie przerzadzone przez licznych nieprzyjaciół, nie rozpierchną się gdzieś wśród lasów, gdzie z czasem znowu się łączą w gromady i wracają do swęj pierwotnej siedziby.

Pobieżny przegląd rozmaitych klas zwierząt, nastrocza nam zřęcznořć, dodać jeszcze kilka zajmujących i godnych uwagi postrzeżeń. Niżej ustrojone rodzaje zwierząt, często się przesiedlają gromadnie na milowych przestrzeniach; slimaki, raki i t. p. nadają niekiedy kolor wodzie morskiej w czasie swych wędrówek.

Z owadów wspomnimy tu obrzydliwą pluskwę, której pierwotną ojczyznę, były zapewne Indyje, i która z człowiekiem po całym się świecie rozeszła.

Wiemy z historii, iż w Sztrazburgu zjawiła się ona zaledwie w XI wieku, a wraz z pościelą wypędzonych Hugonotów, przeniosła się do Londynu, gdzie jęj przed tęp wcale nie znano.

Jedwabnik jest gorących stref Azji własnością, i zapewne Chińczycy pierwsi umieli zeń korzystać. W szóstym wieku, dwóch mnichów przyniosło do Konstantynopola pierwsze gąsienice tego owadu, a cesarz Justynjan z zapałem się poświęcił hodowaniu ich i rozprowadzeniu w Grecyi. Rożer, król Sycylijski, po podbiciu pewnej części Grecyi, jako najważniejszą zdobycz przeniósł do swego państwa jedwabników z Sycylii. Jedwabnictwo wciąż się ku północy posuwało, a ztamtąd wnet po podbiciu Ameryki przesiedlono te owady na dziewiczą ziemię Nowego Świata.

Pszczoła, pierwiastkowo była własnością wyłączną Starego Świata, i to zachodniej jego części; na wschód od gór Uralskich już jej nie spotykano, w początku wieku bieżącego, chociaż z wielkim mozołem udało się ją osiedlić w Tobolsku.

Początkowo Ameryka nie znała tego pożytecznego owadu, przewieziono go tam w 1675 roku; lecz na nową swą siedzibę, pszczoły prędko zdziczały i po całym lądzie rozleciały się. Indyjanie przewali pszczołę muchą Angielską, i zawzięcie ją nienawidzili, dla tego że zjawienie się tego owadu zwiastowało blizkie sąsiedztwo białych.

Jakby dla zrównoważenia zbawiennego wpływu rozmnożenia pożytecznych owadów, zjawiają się od czasu do czasu napady straszliwe szarańczy, dążącej wciąż od Wschodu ku Zachodowi zapuszczającej się w głąb Afryki lub południowej Europy, sięgającej niekiedy aż do środka Niemiec, niszczącej do szczytu wszelką roślinność, wlokącej za sobą jako nieodstępnych satelitów, głód i zarazę; wy-

ziewy bowiem gnijących miryad jój trupów zarażają powietrze i bywają przyczyną wielu chorób.

Zgłębiając historią epidemii, spostrzegamy jakby pewien związek między szerzącą się chorobą i przesiedleniami pewnych gatunków owadów. Cholerę zwykle poprzedzało zjawienie się nagłe a gromadne muszek drobnych. Związek ten zjawiania się wspólnego owadów i choroby, potwierdziły nader zajmujące postrzeżenia P. Kottrilla w Syberyi.

Dżumę sybirską, w czasie jój wędrówki od Zachodu na Wschód aż do Tomsku, zwykle poprzedzały, jakby awangarda, massy drobnej szarańczy, niszczącej pola i zboże. Od 1833 roku szarańcza zmieniła swą drogę, posuwa się ona teraz z Południa wzdłuż rzek ku Północy i prawie jednocześnie z nią grasuje zwykle pomorek na bydło.

Najwłaściwszą sferą ruchu jest woda, i dla tego to w jój mieszkańcach spostrzegamy najzwawszy ruch naprzód, najwyżej rozwiniętą potrzebę zmieniania miejsca pobytu. W żadnej klasie zwierząt przesiedlenia nie są tak rzeczą zwyczajną jak u ryb, i z małym tylko wyjątkiem u ptaków, i nigdzie znowu te przesiedlenia nie są tak ściśle związane z bytem domowym człowieka.

W Japonii najsmutniejszą porą roku jest zima, kiedy ryby opuszczają jój brzegi; a Japończyk lubi rybę namiętne. Pewien magnat, wedle opisów Kempfera, mając podejmować w swym domu cesarza, za kilka rybek zapłacił 1250 czerwonych złotych.

Ryby snują się powodach mórz, w najrozmaitszych kierunkach, czy to pojedynczo, czy też wielkimi gromadami.

Wątlą makrela, idzie ku Południowi by tam swą ikrę położyć, malutka sardynka morza śródziemnego, wędruje na wiosnę od Zachodu na Wschód, a później napowród od Wschodu na Zachód. Jesiotry morza Północnego dopływają pojedynczo aż do Wrocławia, Berlina i Sztrazburga. A z morza Lodowatego przechodzi przez Jenisej, Tunguzkę i Angarę aż do Bajkału, przebywając przestrzeń kilkuset mil, a w tém już jeziorze wielkimi gromadami wędruje po za północnym i południowym jego brzegiem. We wszystkich rzekach Azji i Ameryki północnej, (a dawniej zapewne i Europy) do dziś dnia napływają łososie w gromadach ściśniętych w kształt trójkąta, w tak niesłychanej ilości iż prawie bieg wody zatrzymują. Poprzedzające ich śledzie, opuszczają brzegi w tak niesłychanej liczbie, iż liczyć je na miliony jeszczeby się zdawało niewłaściwem.

Śledź właściwy nie dochodzi nigdy morza Śródziemnego i dla tego zapewne starożytni go wcale nie znali. Nikt nie wie z dokładnością, kiedy je zaczęto łowić w wielkiej ilości, jak również gdzie jest śledziów ojczyzna; powyżej 67° szerokości północnej już go nie spotykamy; lecz za to od kwietnia do czerwca w morzach północnych między Azją i Ameryką i między tą ostatnią a Europą, od Północy na Południe dają się spotykać gromady śledzi od 5-ciu do 6-ciu mil długości i od 2-ch do 3-ch szerokości mające, przy nieokreślonej grubości i do tego stopnia ściśnięte, iż rzucona dzida może w nie utkwic. Ile śledzi zjadają rekiny i ptaki drapieżne, któż to zgadnie; ile się łowi na wybrzeżach, wywozi na pole zamiast nawozu, trudno także obliczyć; możemy

tylko mniej więcej oznaczyć ilość solonych' rocznie śledzi na 1000 milionów sztuk.

Zwierzęta te często zmieniają kierunek swoich wędrówek i dla tego wiele stowarzyszeń dla połowu śledzi, nie dotrzymało swych zobowiązań, gdyż czekając na swém zwykłym stanowisku, napróżno wyglądali zwykłych gości z Północy.

W podobny sposób zjawia się sztokfisz przy brzegach Kamezatkan, a mianowicie na piaszczystych mieliznach Niufendlendu i Nowej Anglii.

Kontrast godny uwagi ruchliwości ryb, przedstawiają pancierzowe płazy, które ze względu na okoliczności, raz w jednych wodach przebywają, to znowu jakby przyczepione do pewnej miejscowości lądowej zostają. Jaszczurki chytne, czołgające się gady, ropuchy lub krokodyle drapieżne, jednym słowem, wszystkie płazy, na które człowiek pogląda z przestachem lub wstrętem, właściwie przedstawiają w świecie zwierzęcym pierwiastek inercji.

Podobnie jak prąd wód ryby ze sobą unoszą, tak na falach powietrznych szybuje ptak swém lekkim skrzydłem. Liczba ptaków osiadłych nader jest małą, w porównaniu do liczby ptaków odlatujących.

Ptaki właściwie do tego używają swych lekkich skrzydeł by się uchronić od surowości zimy; opuszczając pola śnieżnym pokryte całunem, by się przenieść w zieleniejące kraje Południa i tam się kąpać w świetlanej strudze, zwrótnikowego słońca promieni. Nawet ptaki poważnej natury, ciężkiego lotu i prędko się nurzące, to biegnąc to skacząc, przechodzą wielkie przestrzenie jak np. przepiórki, które wtenczas tylko ściśniętymi lecą szeregami,

gdy im wypadnie przeprowiać się przez Bałtyk, Niemieckie lub Śródziemne morza.

Wyspy leżące po drodze służą za miejsce wypoczynku dla tych co się prędkiej znużą: tak naprzykład, na Śródziemnym morzu: Malta i wyspy Liparskie, a na Niemieckim Hellgoland i Nordernėj. Obfity połów przepiórek często stanowi główny sposób do życia mieszkańców tych wysp.

Niezliczone są prawie stada drozdów, przelatujące z Północy, przez nasze kraje jesienią. W roku 1746 w jednym tylko Klejnie w Gdańsku, deklarowano do akcyzy 30,000 par, a bez wątpienia trzy razy tyle musiało pójść na pożytek pomimo akcyzy, bez wszelkiej deklaracyi.

Rzecz godna uwagi, iż żadne z tych stad przelotnych nie wraca.

Nie wiemy zaiste czy wypada nam wspomnieć o sławnych przelotach żorawi, które przecież tak ciągną wysoko, iż zaledwie dzikie ich krzyki słyszeć się dają; ciągną one trójkątami jesienią dla tego, by znowu z wiosennym słońkiem powrócić.

Jeziora Łabędzie tak rozmaite w Niemczech, przybrane w romantyczne podania, otrzymały swą nazwę zapewne nie od łabędzi, których przeloty jakoby od strony Północy, nie mają podstawy historycznej; były to raczej srebrzyste czaple, harde i piękne ptaki, miłujące ciche ustronia, które zapewne przyleciały aż ze Wschodu, i zostawały póki je stuk toporów, turkot młynów nie zmusił szukać gdzieindziej spokojnej na lato siedziby.

Hrabia Pückler robi uwagę, iż w duszy wędrowca musi się dziwne rodzić uczucie na widok

gniazda bociana w Egipcie, na ruinach stariej jakiej świątyni, wtenczas kiedy gospodarz tego opuszczonego ptasiego domostwa, gdzieś daleko za morzami zbudował sobie nowe gniazdo na stodole, dla tego by je znowu jesienią opuścić i wrócić nad brzegi Nilu i tam się polowaniem na płązy rozrywać.

Najciekawszymi są jednak przeloty północno-amerykańskich gołębi wędrownych. Można by ich nazwać śledziami stref powietrznych, ze względu na niezliczone stada, które niewiedzieć z kąd przylatują i gdzie dążą. Gołębie te zjawiają się w całej Ameryce północnej od Hudsonskiej do Meksykańskiej zatoki, od Atlantyku aż do gór Skalistych.

Właśnie gdy przychodzi pora siadania na gniazdo, zbierają się one milionami szukać dogodnej dla się siedziby, niewiadomo gdzie, jak i dla czego?

Na wysokości, ponad strzał karabinowy, Wilson postrzegał ich skupione stada w kilka warstw jedna po nad drugą; szeregi ich rozszerzały się na prawo i na lewo tak daleko, jak tylko mogło zasięgnąć oko. Było to o godzinie pół do pierwszej; Wilson usiadł i przypatrywał tej przesuwającej się po nad głową massie ruchomej, wciąż się zwiększającej w rozmiarach i szybkości ruchu. Po godzinie poszedł uczony badacz w stronę przeciwną kierunku ich lotu, po przejściu 4ch godzin przeprowił się przez rzekę Kentuki wedle Frankfurta, a w górze ciągnęły jeszcze stada gołębi, wcale się niezmniejszając co do ilości i rozmiarów całej gromady.

Koło godziny 5-tój zaczęły się szeregi przerzadzać i w pewnych przerwach między 5tą i 6tą zjawiały się oddzielne gromady, widać tych co się po-

zostały, za któremi aż do 10-téj ciągnęły jeszcze resztki maruderów.

W lasach wybranych przez gołębie do zawieszania gniazd, najmocniejsze gałęzie pękają pod ciężarem tych ptaków.

W krótkim przeciągu czasu cała powierzchnia ziemi pokrywa się na kilka stóp grubości ich ekskrementami. Jaja i nieopierzone jeszcze pisklęta spadają wraz ze złamanymi gałęziami, tuczą całe stada wypędzanych na paszę świni. Całe tysiące tych powietrznych wędrowców zabijają kijmi, z fuzyi i kamieniami, a tymczasem na oko liczba ich jakby się nie zmieniała i ten przelew krwi wcale nie wpływa na tych co zostają przy życiu. Jeżeli, opierając się na opinii Wilsona, przypuścimy taką niestychaną ilość tych gołębi wędrownych, łatwo nam pojąć i wytłómaczyć straszne zniszczenie bukowych orzechów, i innych owoców służących im za pokarm.

Względnie do czasu przelotu i prędkości ruchu ciągnącego stada gołębi, Wilson oblicza długość jego na 240 mil angielskich a szerokość na milę.

Jeżeli teraz na każdy jadr kwadratowy będziemy liczyć tylko 3 gołębie, to całe stado składałoby się z 2,230 milionów gołębi; a i ta liczba bez wątplenia daleko jest mniejszą od rzeczywistój. Względnie do objętości ich żołądka, Wilson oblicza iż takie stado musi zjadać dziennie więcej 16 milionów Berlińskich szefli orzechów bukowych.

Podobne niezliczone stada postrzegał kilkakrotnie Wilson w rozmaitych krajach Ameryki, i możemy powiedzieć napewne, że ilość przelatujących przez

powietrzne strefy gołębi, również jak liczba śledzi w morzu, przechodzi wszelkie nasze pojęcia liczbowe.

Przytoczone przez nas przykłady są aż nadto dostateczne; przejdźmy teraz do zwierząt. Widoczna, iż przesiedlenia ich nie mogą być tak rzucające się w oczy jak ryb i ptaków. Ziemia, do której natura ich przykuła, utrudnia wędrówki podobne; wiemy jednak że dzikie konie, osły, kulany wśród dzikich stepów Azji; antyloppy, gazelki, słonie, na odległych równinach Afryki i niezliczone stada bawołów, na pastwiskach Ameryki północnej, pędzone czy to przez zwierzęta drapieżne, czy też z pobudki głodu lub wolnej woli, przebiegają kilkaset mil nową dla siebie szukając siedziby. Wyżej przytoczyliśmy kilka przykładów przesiedleń mniejszych zwierzątek.

Wspomnijmy o jednym jeszcze:

Szary szczur jest własnością starego świata, z kąd go okręta przywiozły najprzód na przylądek Dobrej Nadziei, na wyspy Burbon i Maurycygo, na Antylle i Bermudy.

W 1544 roku na okręcie płynącym z Antwerpii, przeszedł on najprzód do Ameryki południowej, ztamtąd także na okręcie przeprawił do Peru, gdzie go miejscowi mieszkańcy nazwali „rzcza” z-za morza przybyłą.

Stosunkowo, jednak liczba tych szczurów znacznie się u nas zmniejszyła, od czasu jak ze wschodniej Azji przywędrował pacuk wędrowny (*Mus decumanus*).

W 1727 roku zjawił się on pierwiastkowo w Astrachaniu, w 1730 w Anglii, w 1750 w Niemczech,

w 1753 w Paryżu. W końcu przeszłego stulecia przepłynął na okrętach do *Rio-Janeiro*, gdzie się teraz tak rozgościł jak u nas.

Wszystkie tym podobne wędrówki mało zmieniają fizyonomię fauny pewnego kraju; zupełnie się rzecz miała inaczej przy przesiedleniach ściśle związanych z pochodami rodu ludzkiego i należącemi do trzeciej grupy, *organicznemi przesiedleniami* nazwanéj.

Skaliste okolice żywią kozy domowe, na nasyżach pastwiskach jałowych pasą się stada owiec o białej wełnie, po łąkach buja sobie rogacizna, lub odgłosem dzwonek wśród lasów na pochyłościach gór porośłych, przypomina zbłąkanemu podróżnikowi blizkie sąsiedztwo okolic zamieszkałych. Folwarki i wsie pełne są kur pstrokatych, dzielny rumak niesie na swym grzbiecie przez pola i lasy aż na Alp wyżyny, kędy już pewniejszą daleko nogą stąpa muł ostrożny. Tam dalej w Kampanii Rzymskiej błyska pochmurno-iskrzący wzrok bawołu; i wszystkie te zwierzęta to tylko przybłądy, matka natura gdzieindziej ich osiedliła.

Stosując się do ogólnego prawa, przechodziły one z Indyów i Azji środkowej wciąż dalej i dalej ku zachodowi, aż do morskich wybrzeży; a przy pomocy człowieka i morze zatrzymać ich w tej wędrówce nie potrafiło.

Obszerne równiny stepów Brazylijskich po których uprzednio tylko chyży struś przebiegał, ożywiły się obecnie stadami dzikich koni i bydła, których liczba dochodzi niekiedy do kilkuset tysięcy głów. Kury, mieszkanki niegdyś Azji środkowej,

teraz się dały przesiedlić nawet do dziewiczych lasów Ameryki północnej.

Winniśmy tu powtórzyć uwagę którąśmy mówiąc o roślinach zrobili. Cały byt oświeconych narodów Europy i Ameryki północnej obwarunkowuje się posiadaniem koni, bydła i owiec.

Koń i owca stanowią główne źródło dochodu Brazylijczyka, ba! nawet w Australii owca była oznaką pierwszego kroku tej części świata na drodze życia społecznego i oświaty.

Najdelikatniejsze przysmaki świata roślinnego, również jak niezbędne rośliny zbożowe i niemniej ważne w życiu zwierzęta, Wschód przyniósł w darze Zachodowi, który niczem godnym uwagi wywdzięczyc się mu nie potrafił.

Są widać nieprzebyte zapory, niedozwalające wzajemnej zamiany takowej. Właśnie gdy przewiezione do Ameryki północnej pszczoły, rozmnażały się tam z nieprawdopodobną szybkością, i rozsiedlały po całym lądzie, na wschodzie po za Uralem, za ledwie po długich a mozolnych próbach, można było sztucznie i to w małych rozmiarach rozprowadzić ten owad.

Bez zaprzeczenia, klimat nie mógł mieć wpływu na niepodobieństwo przesiedlenia wikuny i alpaki z Ameryki południowej do Europy.

Nie potrzebujemy zdaje mi się wspominać o kurkach Indyjskich z Ameryki północnej, których nieliczne exemplarze jeżeli nie wymrą jako pisklęta, od nieprzyjaznego wpływu obcej ziemi, to niedługo wloką swe smutne życie.

A człowiek? zmiana otaczającej natury, przy cią-

głębokim wznoszeniu się lądu, zmusiła pierwiastkowo, całe plemiona przesiedlać się powoli z wyżyn w rozkoszne doliny sąsiednie.

Wszystkie te jednak przejścia odbyły się zapewne na tysiące lat przed ową epoką o której wspomina podanie tylko a nie historia.

Najstarożytniejsze plemiona, w których mowie oderwane dźwięki przypominają ich wschodnie pochodzenie, jak na przykład Celtowie, pierwotni mieszkańcy zachodniej i środkowej Europy, znaleźli te ziemie już zasiedlone przez ludy, których niewykształcona mowa i brak wszelkiej oświaty, dowodziły, iż od niepamiętnych czasów musiały się oderwać od swego szczepu, i wywędrowawszy ze swęj pierwszej ojczyzny, błąkać się w krajach zachodnich.

Celtowie, najstarożytniejsze plemię, wedle tych danych jakie nam dostarcza historia, przechodząc z wyżyn azyatyckich, nie przynieśli ze swęj ojczyzny żadnych śladów cywilizacyi.

Poszukiwania o stanie i rozwoju rodu ludzkiego na Północy, Południu i Wschodzie, mniej jeszcze przyniosły owoców, niż zbadanie jego kolei bytu na Zachodzie.

Odważamy się jednak i w tym względzie zrobić to samo przypuszczenie tém bardziej, że już w późniejszych czasach, kiedy podanie rzuca na okoliczności matowe półświatło, często utudne; wielkie przesiedlenia narodów zwykle się odbywały w kierunku promieni z jednego wychodzących środka, z wyżyn azyatyckich.

Podania Chińczyków wspominają o wielkiem prze-

siedleniu z zachodniej wyniosłości na 2000 lat przed Chrystusem; Wendidad Zendawesty podaje nam, że Persowie za czasów Szemszyda, zaszli ze Wschodu do Persyi, nazywanej *Wer* czyli kraj czworokątny.

Lecz głównie na się zwracają uwagę, trzy wielkie plemiona ludów, raz ze względu na dokładność i starożytność ich podań, a powtórę na ich niejakie z nami pobratymstwo.

Indyanie wyprowadzają się z północno-zachodnich krain. *Hindukusz* i *Belurtag*, wedle ich podań stanowią pograniczne kopce ich dawniej rodziny.

Semickie plemiona uważają Wschód za swoją kolebkę, a *Brarat* za skałę graniczną, oddzielającą dawną ich ojczyznę od nowo-przybranej.

Właśnie między Araratem i Belurtagiem ciąga się ta wyniosła równina, którą najstuszniej uważamy za kolebkę rodu ludzkiego.

Indyjskie i Semickie plemiona przeniosły wraz z sobą na nowe miejsce pobytu wspomnienia o swój dawniej ojczyźnie, skarby już tam zdobyte przez ludzką cywilizację, jednem słowem przenieśli swoją historję. Żwawo szedł rozwój tych przyniesionych pierwiastków cywilizacyi, lecz równie prędko rozwiła się i zawięta ona, jako roślina do niewłaściwej przesadzona roli. Niedalęj sięga ich rzeczywista historia jak Chin i Indyów, zmienili się bowiem w koczujące hordy, podobnie jak większa część plemion Semickich.

Rzecz się miała zupełnie inaczej z trzecim wielkiem przesiedleniem narodów Indo-Germańskich, którzy, jak się zdaje, najpóźniej wywędrowali z pierwotnej wszystkich ludów kolebki; lecz za to później stałe

wielkimi massami powtarzali przesiedlenia takowe; ostatnie już w czasach historycznych dokonane, zupełnie zmieniło fizyonomię etnograficzną Europy.

Lecz we wszystkich Indo-Germańskich podaniach narodowych my nie spotykamy ani jednego wspomnienia, mającego ścisły związek z ich pierwotną ojczyzną. Ludy te zerwały jakby ze swoją przeszłością i ze swoją historią, a może nawet z cywilizacją dawną, którą zarzucili.

Przytoczymy tu jeszcze nasze krótkie uwagi o ludności amerykańskiej, stanowiącej dotychczas zagadkę w historii. Podania amerykańskie przedstawiają lud pierwotny dziki i potężne cywilizowane plemiona, które pod rozmaitemi nazwiskami zasiedlają kraje od północy ku południowi wzdłuż łańcuchu gór wyniosłych. Do tego samego wypadku doprowadzają nas wnioski nad czerepami starymi, wydobytemi z mogił.

Zkąd te ludy pierwotne i później przybyłe plemiona tam zawędrowały, — o tém, pomimo najstaranniejszych poszukiwań nikt nie wie dokładnie. Zapewne, zasiedlenie Ameryki sięga téj dalekiej przeszłości, która wyprzedziła najstarożylniejsze podania starego świata. We wszystkich podaniach ludy azjatyckie przedstawiają się jako pasterze; rogacizna i owce wchodziły u nich w skład zwierząt domowych. Nieprawdopodobnym się nam wydaje, żeby te same ludy przesiedlając się do Ameryki, mogły zaniechać tak dogodnych obwarunkowań życia.

Również nieprawdopodobne, żeby porzuciwszy tak pożyteczne zwierzęta przy przesiedleniach, do tyle mogli o sobie zabaczyć, iż nie starali się przy-

głaskać i oswoić bawołów amerykańskich, wikunnę, allpaki, jak tego dokonali później przesiedleni Europejczycy.

W czasie odkrycia Ameryki, u żadnego narodu nie spotykamy zwierząt domowych we właściwym znaczeniu tego wyrazu.

Plemiona te w ogólnej historii rozwoju rodu ludzkiego, przedstawiają nader ciekawą lecz dotąd niezbadaną zagadkę.

Zwróćmy się jeszcze do Indo-Germanów, których przesiedlenia, o ile możemy wiedzieć, należą już do trzeciej typowej formy wędrówek, do przesiedleń organicznych. Promieniste rozsiedlanie przedstawia epokę pierwotną historii człowieka; staraliśmy się zrobić jej zarys. Typ fizyczny rozpada się na niepoliczony odcienia, które obwarunkowują i zmieniają te przechody z miejsca na miejsce, wcale nie podkopując naszej myśli zasadniczej.

Lecz przeważnie włada na ziemi trzeci typ przesiedleń.

Podobnie jak przesiedlenia ze wschodu na zachód stopniowo zacierają i charakteryzują fizjonomię natury, tak również przesiedlenia ludów od Wschodu na Zachód kładą osnowę historii.

W południowej Europie zjawiają się Pelazgowie, w ślad za nimi Etruskowie i Elliny. Z gór Wałdajskich Jotuny lub Finny wypychają się na północ i zachód przez Teutonów.

Zę Wschodu przychodzą Sławianie, a Teutony przesiedlają się do Skandynawii, Niemiec i Francji.

Jest to ciągle powtarzanie się jednego i tegoż samego zjawiska.

Nowe potoki plemion Chozarów, Allanów, Hunnów, Turkomanów, od wschodu zalewają Europę i wstrząsają organizacją zaledwie urządzonych jeszcze państw, podkopując równowagę; i ten zamęt trwa do póty, aż Kolumb odkryciem Ameryki, otworzył wrota, dla wylewu nadmiaru ludności zachodniej.



KAMPER, GALL I KARUS.

Stydum krytyczne.

STERN, GALT & BARTZ

Hand am ...

Największą zagadką dla ludzkości, był zawsze sam człowiek;—każdy wiek po swojemu go rozumiał, po swojemu tłumaczył przejawy moralnej jego istoty na zewnątrz i zależność jej od form zewnętrznych. Do zbadania tej kwestyi dwie nas prowadzą drogi; jedna empiryczna na wnioskach z postrzeganych oparta faktów, druga teoretyczna, śledząca analitycznie prawa życia organicznego, i zwierzęcego, już z samego ustroju naszych organów wnioskująca o zakresie ich działalności.

Jak jedna tak druga, wzięte oderwanie, nie mogą nas doprowadzić do celu, bo noszą zaród błędu w swojej zasadzie.

Dla tego by na postrzeżeniach opierać wnioski co do natury człowieka, liczba faktów powinna być niestęchanie wielką, dla tego by pozyskać prawdopodobieństwo niemyślności sądu, a w ścisłym znaczeniu jest to rzeczą prawie niemożliwą, bo dlatego by ze znaków zewnętrznych wnioskować o pewnej zdolności mniej lub więcej rozwiniętej, trzeba te znaki postrzegać na wielkiej liczbie jednostek, z jedna-

kwem stopniem rozwinięcia pewnej zdolności, a czyż to jest możliwem, czyż każdy z nas nie jest małym światkiem, w sobie zamkniętym, noszącym piętno indywidualności na sobie.

Wniosek przeto wyprowadzony z jednego postrzeżenia, nie będzie miał nic wspólnego i nie może być stosowanym do innych jednostek: mówimy to w ścisłym znaczeniu, bo przecież wnioskować mniej lub więcej mamy prawo opierając się li-tylko na pobratymstwie i zbliżeniu zjawisk i faktów; ale w takim razie wniosek nasz nie zdobędzie praw obywatelstwa w dziedzinie nauki, a musi pozostać w krajnie domniemań i przypuszczeń, dla której nie ma zakreślonych granic; bo przecież każdy z nas patrząc na żyjącą istotę, z jej form zewnętrznych, z wyrazu fizjonomii wnioskuje o duszy, i te przypuszczenia mogą być bardzo słuszne, zależy to od zdolności postrzegania. Tém nie mniej jednak, zawsze to będzie tylko indywidualne zdanie, a wcale nie prawo nieomyślne.

Trzeba Lavatera by na tej drodze pracując, rozproszone fakta związać węzłem mniej lub więcej dającą się stwierdzić teorii; chociaż i ta teoria nie może się szczycić ściślością, gdyż wszystko zależy od zdolności obserwacyjnej postrzegacza, a któż za nieomyślność naszego oka zaręczy. Przed Lavaterem, jako postrzegaczem; musimy uchylić czoła i zgodzić się na prawdziwość jego postrzeżeń, lecz tém nie mniej trudnym by było, zamknąć jego poglądy na fizjonomję człowieka w ścisłe karby nauki. Gdzie są tylko wyłożone fakta, bez oznaczenia niezbędnej ich zależności od przyczyn wewnętrznych, i wyka-

zania téj nierozzerwanéj spojni siły ze znakiem jej przejawu,—tam trudno uogólnić nasze poglądy i u- wolniwszy je ze spowijaczów indywidualności, do- godności obywatelstwa w nauce doprowadzić. Da- leko więcej naukowej podstawy mieli w swych ba- daniach kranilogowie, *Kamper, Gall i Karus*, a chociaż ich teorye nie są wolne od błędnych wniosków, a niekiedy przypuszczeń dowolnych, tém nie mniej mamy prawo roztrząsać je z punktu widzenia nauki.

I.

Piotr Kamper urodził się w Lejdzie w 1722, umarł w 1789; biografii tego uczonego męża skreślać nie będziemy, bo i na cóż by się to zdało. W zakres nauki wchodzą tylko prace umysłowe człowieka nie zaś jego życie domowe i prywatne, które mogą wprawdzie wpływać ubocznie na rozwój jego ducha, lecz wcale w roztrząsaniach naukowych mieć miej- sca nie mogą. Dla nauki wtenczas się pisarz ro- dzi, kiedy pierwsza jego praca staje się własnością ogółu, wtenczas umiera, kiedy przestaje pisać i pracować, chociażby później żył jeszcze lat kilka- dziesiąt, doszedł do nędzy lub najwyższych za- szczytów, pędził swe chwile samotnie lub jako ojciec familii, to dla nas powinno być obojętnem: człowiek nauki, zostaje w dziełach, człowiek gleby, tak lub inaczej musi dojść do ostatniego wyrazu swego istnienia—do rozkładu organicznego materyi I cóż nas może obchodzić przez jakie przechodził jego organizm koleje, póki go nieprzywaliło kilka łokci piasku, zapewniając nowy pierwiastek wy-

żywienia innym istotkom. Jeżelibyśmy chcieli pisać historią materyalnej części człowieka, tobyśmy woleli za wzór wziąć jakiego grenadyera niż wywiedłego przy pracy uczonego: pierwszy bowiem skupił w sobie więcej pierwiastków fizyologicznego organizmu, wtenczas kiedy drugi musi być wyjątkową organizacją i najczęściej patalogicznie rozwiniętą.

Przystąpimy więc, na mocy téj zasady, wprost do nauki Kampera, nie wglądając w to co się z nim działo po za obrębem jego naukowego zawodu i dodamy tylko, że jako professor przy Uniwersytecie Lejdejskim, łatwo mógł dać rozgłos swéj nauce; wsparł ją bowiem potęgą żywego słowa, które łacniej i prędzej przyszczepia się i kiełkuje w umysłach, pragnących wiedzy, słuchaczy.

Opierając się na postrzeżeniach, Kamper skupia całą działalność umysłową człowieka w mózgu, i wychodząc z tego założenia, przypuszcza, iż potęga inteligencyi musi być w prostym stosunku z ilością materyi mozgowéj, która przeważnie się rozwija w górę i na przód się podaje; zewnętrzna przeto obstona tego organu t. j. czaszka,® powienna się odpowiednio rozwijać: kości łbowe powinny się na przód wysunąć i silniej się rozrosnąć co do wyniosłości; jednoczasowie z tém wnioskował, iż wysunięte na przód szczęki, muszą zwiastować pierwiastek zwierzęcy.

Jeżelibyśmy mogli przyjąć bezwarunkowo jego zasadę, wystarczało by tylko dokładnie określić stosunek rozwinięcia górnych części twarzy do dolnych,

by oznaczyć jaki pierwiastek umysłowy lub cielesny w usposobieniu człowieka przeważa.

Temu celowi gwoli, Kamper daje swój *kąt twarzowy*, utworzony przez dwie linije proste: jedna z nich przechodzi od osnowy kości łbowej do osady zębów przednich, druga od osady zębów przednich do otworu słuchowego. O ile kąt twarzowy, bardziej jest do prostego zbliżony, o tyle umysłowa strona powinna być silniej rozwinięta, i odwrótnie, gdy się szczęki nazbyt się naprzód wysuwają, musi w usposobieniu przeważać natura zwierzęca, i przytłaczać zdolności umysłowe.

Zachodzi teraz pytanie, jak ten kąt wymierzyć. Kamper posiadał wielką zdolność do rysunku i dla tego łatwem mu było, narysować profil dokładny i już na tym rysunku, kąt wymierzyć, chociaż i w tym sposobie dowolność jest podstawą i błąd od rysunku powstały, niczém się nie daje określić i oznaczyć,—tém niemniej jednak uczony mąż używając tego sposobu, nader nieraz trafne robił postrzeżenia i wnioski. Lecz znowu niepodobna tego sposobu wprowadzić w użycie; trafność bowiem w wykreślaniu konturów, była li—tylko osobistą własnością Kampera, której ani przelać, ani też nauczyć niepodobna, mianowicie tych co do rysunku nie mają zdolności. Bodaj czy nie najbardziej byłyby tu pomocny przyrząd *Daguera*, bo tu mylną rękę człowieka zastąpiłaby machina, która właśnie dla tego że nie od woli zależna, mylić się nie umie.

W piątym tomie *Annales des sciences naturelles*, P. II. *Jacquart* opisuje swój przyrząd mechaniczny do wymiaru nachylenia kąta twarzowego służą-

cy; przyrząd ten chociaż bardzo dowcipnie pomysłany, może tylko być użytym do czaszek preparowanych, bo już ci też głowę żyjącego człowieka, nie łatwo ująć w żelazne kluby.

Pomysł *P. Jacquart*, nie jest nowością; *Dr. Morton* w dziele swoim: *Crania Americana* st. 250 opisuje swój Goniometr mało co się różniący od wynalazku *P. Jacquart*.

Znakomity *Cuvier* i *Geoffroy Saint-Hillaire*, podają następujący sposób oznaczenia kąta twarzowego (*).

»Myśmy się trzymali téj zasady co i Kamper—
 »powiadają znakomici uczeni, w swoich badaniach
 »fizyonomistyki rozmaitych plemion rodzaju ludzkiego—
 »go— mieliśmy tylko na celu ścisłe oznaczenie dwóch
 »linii zasadniczych: poziomej przechodzącej od osady
 »zębów przednich do środka linii łączącej dwa
 »otwory słuchowe, i pochyłej, przechodzącej od
 »pierwszego punktu do wypukłości czoła między
 »brwiami, w miejscu gdzie się nos zaczyna. Kąt
 »między temi linijami zawarty, będzie wedle nas
 »kątem twarzowym.»

Główne zasady nauki Kampera, w wielu bardzo wypadkach potwierdzają się w praktyce. Modyfikacye kąta twarzowego we wszystkich plemionach rodu ludzkiego, przechodząc od Kaukazkiego z wyniosłym czołem, do spłaszczonej czaszki mieszkańca Ameryki północnej, mogą nam służyć jako dowód prawdziwości głównego założenia jego nauki, którą poparł

(*) Magasin encyclopedique premiere année T. III. p. 451,
 à l'Histoire naturelle des Orangs-Outangs.

uczony professor lejdejski sumiennemi studyami nad portretami i biustami znakomitych postaci historycznych.

Ścisłe zbadanie stanowiska téj zasady, daje nam możność określenia znaczenia w obec nauki kąta twarzowego, tak w stosunku do człowieka, jako też do zwierząt, a tém samém dozwala potwierdzić lub też podkopać główną zasadę nauki Kampera, co do stosunku jaki zachodzi między ilością mózgu i umysłowemi zdolnościami.

W stosunku do człowieka, więćej ona ma prawdy za sobą, niż w zastosowaniu do zwierząt; chociaż nie możemy zaręczyć że mózg jest wyłączném a nawet konieczném narzędziem psychicznej działalności, która w pewnym stopniu przejawia się u zwierząt nieposiadających mózgu: jako to u większej części niekręgowych, których liczba znacznie przewyższa numerycznie liczbę zwierząt, mozgiem uposażonych.

Dusza nasza cielesnego siedliska nie potrzebuje, bo nie posiada materialnych własności; może potrzebować narzędzi cielesnych do przejawu swój działalności, lecz jeszcze za tém nie idzie by się w tych zamykała narzędziach i była z nimi nierozdzielnie połączoną.

Na obalenie naszego założenia mógłby kto wskazać poszukiwania znakomitych Bidera i Folkmana, którzy po raz pierwszy wykazali naukowo dwoistość przyrzędu nerwowego; przyrząd mózgomleczowy ześrodkowyywa w sobie działalność rozsądną, od woli i zeznania zależną, gdy przeciwnie wszelkie instynktowe popędy, objawiające się bez zeznania i bez udziału woli, zależą od przyrzędu zwojowatego; zwierzę-

ta przeto z silnie rozwiniętym przyrządem mózgo-mleczowym, mają prawo do czynności rozważnych i od woli zależnych, czego niespostrzegamy w niżej ukształconych zwierzętach posiadających-li tylko przyrząd zwojowaty i odznaczających się instynktowemi, niezeznanemi popędami.

Lecz tu znowu spotyka nas na drodze badań nowe zawikłanie; a mianowicie jak ze ścisłością oznaczyć linią przedziału, rozgraniczającą czynności rozważne od instynktowych. Idąc przeto za przykładem Woltera, który we wszystkich sporach naukowych, zwykle wołał „*definissons et encore une fois definissons*” postarajmy się, o ile można, ściśle skreślić różnicę między rozsądkiem (w naukowym znaczeniu t. j. wszelką zdolność sądenia) i instynktem.

Zwykle różnicę między instynktem i rozsądkiem określają w sposób następujący. W życiu zwierząt postrzegamy czynności dwojakiego rodzaju: pierwsze w których bierze udział wola i zeznanie, drugie, któremi kieruje jakiś popęd wewnętrzny z którego istoty żyjące zdać sobie sprawy nie mogą; pierwsze przyzwyczailiśmy się nazywać czynnościami rozważnemi, drugie instynktowemi.

Oprócz tego, czynności instynktowe nie stosują się wcale do zewnętrznych okoliczności, a przeto jako wolne od wszelkiego postronnego wpływu, są niemylne, zwykle się odbywają wedle praw stałych i niezłomnych. Nie możemy tu wcale uważać za cechy charakterystyczne większe lub mniejsze zawikłanie procesu czynności; poczucie głodu i budowla sztucznych kilkopiętrowych domków trzmieli, zarówno są

instyktu przejawami, gdy przeciwnie wybór pokarmu wedle gustu, jest rzeczą rozwagi.

Przyjeliśmy więc główne zasady różnicy zachodzącej między czynnościami instyktowymi i rozważnemi; lecz czyśmy słusznie przyjęli, to jeszcze pytanie. Czy czynności instyktowe nie przychodzą z czasem w zakres czynności rozważnych i odwrotnie, to jeszcze zostaje nam do rozwiązania.

Słuchając po raz pierwszy jakiej wzniosłej kompozycji muzycznej, dusza uasza porwana potęgą tonów, buja w atmosferze melodyi nie zeznając wcale piękności słuchanego utworu; lecz skoro ten sam utwór posłyszemy raz drugi, trzeci, rozwaga weźmie górę, już będziemy się zastanawiali nad myślą utworu, nad dokładnością jej przelania w tony, nad harmonją całości i oddzielnych części; jednem słowem, wrażenie silne ale bez zeznania, przechodzi w mniej silne ale rozważne, umiejące zdać sobie sprawę z zachwytu, i mogące już zastosować władzę sądenia, do oceniania utworu.

Podobne zjawisko tylko w odwrotnym stosunku widzimy w faktach codziennego życia. Dziecię uczy się czytać, najprzód poznaje litery oderwanie, później uczy się je łączyć w sylaby, sylaby w wyrazy, a skoro zacznie czytać powierzchu, już ta czynność przygotowawcza sylabizowania odbywa się u niego bez zeznania, instyktowie łączy ono oddzielne litery w wyrazy, wcale się niezastanawiając nad tém jak to było pierwiastkowo.

To samo się zdarza w tańcu, i innych mechanicznych zajęciach; tu jeszcze widoczniej czynności zeznane, przez ciągłe użycie przechodzą w instyktowe. Dziwném by się nam wydało, skoroby jaki za-

wzięty tancerz w wirze polki lub walca zaczął liczyć raz, dwa, trzy; a jednak ta czynność odbywa się w nim instynktowie bez jego zeznania, bo od tego rozpoczął swe choreograficzne popisy.

Widzimy z przytoczonych tu przykładów iż wrażenia niezeznane przechodzą w zeznane i odwrotnie; rażącej przeto i nieprzebytej tamy między czynnościami instynktowymi i rozważniami, w gruncie rzeczy nie ma.

Przyczyna li-tylko wewnętrzna stanowi tę różnicę, a że na rozwiązaniu tego pytania opiera się cała gmach teorii Kampera i Galla, postarajmy się kwestyą ogólną rozdzielić na kilka podrzędnych, które się łatwiej dadzą rozwiązać, i albo potwierdzą lub też podkopią kranologiczne teorie. Skoro bowiem czynności rozważne mogą mieć miejsce u zwierząt pozbawionych mózgu, mózg przeto nie jest niezbędnym warunkiem istnienia rozważki, a przeto i wszystkie wnioski o psychicznej stronie człowieka, na rozwinięciu oddzielnych części mózgu oparte, jako przypadkowe i tylko do pewnej liczby jednostek mogące się zastosować, muszą się rozwiązać dla braku niemyślniej naukowej podstawy; bo też fakt jeden i drugi nie stanowią jeszcze prawa: mogą to być wyjątki—albo też przyczyny co je spowodowały mogą być różne, chociaż objaw skutków jest jednaki.

Pytania te podrzędne dają się następnie ugrupować. a) Czy zwierzęta mają rozsądek? b) czém się różni rozsądek zwierząt od rozsądku człowieka?

Dla tego by się nie błąkać na rozdrożach polemiki o wyrazy, okreśmy pierwiastkowo co my na-

zywamy *rozsądkiem*. W życiu codzienném społeczeństwa, rozsądkiem nazywa się zwykle szereg zjawisk wrażliwości, pamięci, sądzenia i woli. Nasze przeto pytanie zależy na tém, by zbadać czy zwierzęta posiadają lub też nie, te zdolności i w jakim stopniu rozwinięcia; dla tego, by albo zgodzić się na istnienie rozsądku u zwierząt lub też go odrzucić.

Świat zewnętrzny działa na zwierze, poczucie chłodu lub ciepła w nim się objawia widocznie, wszystko co go otacza wywiera nań wpływ większy lub mniejszy, nie możemy przeto im zaprzeczyć *wrażliwości*; bo i na coż by się im przydały zmysły, te wrota wewnątrz każdej żyjącej istoty dla świata zewnętrznego; byłyby to organa bez przeznaczenia i bez oznaczonej czynności, które się przyczepiły do głowy zwierzęcia li-tylko dla ozdoby; czego zdrowy rozsądek przypuścić nie dozwala; skoro przeto są zmysły, musi być i wrażliwość, to jest objaw ich działalności.

Przeloty ptaków, a mianowicie bocianów wracających zwykle na swe stare gniazda, najlepiej dowodzą, że zwierzęta muszą się w czasie tych wędrówek kierować pamięcią miejscowości. Dla tego by się jeszcze lepiej o tém przekonać, przypomnijmy sobie jazdę na psach w Syberyi, lecących od jednej stacyi do drugiej, ze względu na to iż głód je do tego przymusza a pamiętają iż je zwykle na następującej stacyi karmiono.

Dla tego by dowieść iż zwierzęta nie są pozbawione zdolności pewnych kombinacyj, przytoczymy tu przykład, jak w naszych lasach rysie polują na sarny i łosie. Każdy wiesniak z Polesia

będzie nam służyć za świadka, iż to co mówimy, nie wyroliło się nam za stołem do pracy, ale jest faktem znanym i postrzeganym przez tych co chcą i umieją żyć z naturą.

Ryś skoro spotka świeży ślad łosi lub sarn, drobnym krokiem obchodzi cały ostep gdzie się te biedne istoty zatrzymały na czas jakiś, ściskając koło o ile możności jak łańcuchem okala je swemi śladami, zostawując jakby wrota wolne do przejścia tylko tam gdzie największe grozi niebezpieczeństwo, t. j. gdzie on sam siedzi na drzewie.

Czyż to nie najlepszy dowód nietylko zdolności rozważania ale nawet sądenia. Ryś rozważa w sposób następujący: sarna lęka się mnie, nie pójdzie przeto w tę stronę gdzie mój ślad zobaczy, pędząc się za nią mozolna praca, wolój niech ona sama do mnie przyjdzie. I rzeczywiście, biedne zwierzątko biega we wszystkie strony i wszędzie ją straszny ślad rysia odpycha, w końcu gdy radośnie znajdzie już wolne przejście, pada ofiarą swój łatwowierności.

Skoro przypuszczamy wrażliwość, musimy i wolę przepuścić u zwierząt, bo skoro tylko zwierze ból czuje, musi mieć możność jego unikać, a przynajmniej tego żądać. Nie przypuszczać tego, to zaprzeczać sprawiedliwości Przedwiecznego, co by skazał na cierpienia, nie dając możności ratowania się od nich; zapewne wola zwierząt nie dotyla jest wolną co człowieka, tém niemniej jednak jest to zdolność postąpienia tak lub inaczej, wedle zachcenia lub też w skutek rozwagi.

Zostaje nam jeszcze do rozwiązania drugie py-

tanie: *czem się różni rozsądek zwierząt od rozsądku człowieka.*

Pytanie to nader wielkiej wagi, głównie powinno nas zajmować, gdyż skoro dowiedzimy iż rozsądek zwierząt w gruncie jest jednej natury z rozsądkiem człowieka, i tylko u tego ostatniego wszystkie te władze są daleko silniej rozwinięte, w takim razie wszystkie wnioski, oparte na postrzeżeniach nad zwierzętami robionych, będą się stosować i do człowieka; w przeciwnym zaś razie, jeżeli podobnymi narzędziami poruszają u człowieka i zwierząt różne co do swęj istoty siły, w takim razie żadne stosowanie mieć miejsca nie może, i wszystkie wnioski będą się odnosić li-tylko do materialnych obwarunkowań sił działających nie zaś do istoty samęj siły.

Zwierze tworzy sobie pewne pojęcie o chwili obecnej, nie łącząc go z tém co spowodowało fakt jakiś i co zeń wyniknie, i dla tego nie może mieć *ścisłych wymotywowanych pojęć*: przyczyna i skutek są dlań tylko faktem poprzedzającym i następnym, nie pojmuje ono związku jaki między niemi zachodzi, i nie stara się go przeniknąć, dla niego następstwo logiczne pojęć nie istnieje, a tém samem nie może się utworzyć myślenie, nie ma bowiem wewnętrznego pierwiastku czyli pobudki, chociaż fizyczna możliwość w narzędziach być może; krzyk, jęk, ruchy części twarzowych są to znaki, któremi się objawia na zewnątrz poczucie zwierzęcia, lecz dla wyrażenia myśli, niezbędną jest mowa. Buffon powiada, iż człowiek cały jest w swęj mowie, i rzeczywiście mowa to owoc myślenia, to

najwyższa przewaga człowieka nad zwierzęciem; człowiek myśli i ma potomstwo ducha, które od wieków nierozzerwanym łańcuchem pojęć wiąże chwilę obecną z całą przeszłością.

Myśl człowieka w obec ludzkości, to ziarno rzucone w glebę i czekające tylko sprzyjającej pory, by zacząć kiełkować, urosć wspaniale i wydać owoce przyszłością brzemienne—owoce które nakarmią i pokrzepią na życie pracy i poświęceń całe pokolenie pracowników w Winnicy Pańskiej.

Myśli i mowa są to dwa niezbędne i konieczne warunki doskonalenia się rodu ludzkiego. Zwierze można przyuczyć, ale nie ma ono prawa do doskonalenia się, i dla tego, nie może oddać tego innym, co samo nabyło przez wprawę; pies najlepiej ułożony, drugiego psa bez pomocy człowieka ułożyć nie potrafi; bo człowiek się doskonali, a zwierze się układa.

Brak myśli powoduje rozwinięcie samopoznania u zwierząt tylko w niższym stopniu, i dla tego poczucie prawdy i zgoła wszystkie uczucia moralne mieć miejsca u nich nie mogą. Najwyżej jednak człowieka wynosi, po nad cały ogrom stworzenia to potęga twórczości duchowej i uczucie religijne, które jak Znicz nigdy niegasnący tleje w piersi każdego, a chociaż życia zapasy, a co jeszcze gorsze zwątpienie, przytłoczą płomień tego świętego ognia popiołami fałszywych teoryjek i mrzonek chorobliwych, tym niemniej przygasić go zupełnie nie jest w stanie, i w życiu najbardziej upadłego człowieka, są momenta kiedy to uczucie pierś mu rozwidni i w jednej chwili podniesie go wysoko po nad wir

namiętności, przypomni mu że on Synem Bożym — i że przychodząc na świat, przyniósł świętą spuściznę obowiązku pracy, miłości bliźnich i poświęcenia.

Dziki mieszkaniec półwyspu Perou z ciałem kosszlawém i niedołączném, a i ten przeczuwa istnienie wyższej potęgi i błagalnie wyciąga ramiona i w religijnej kontemplacji patrzy na cuda stworzenia i swym podziwem i nieświadomością pokorną niesie cześć Stwórcy. Uczucie przeto religijne jest tą granicą, której żadna z istot żyjących, oprócz człowieka, przekroczyć się nie waży i nie podoba. I skoro jest prawdziwém zdanie Buffona, iż człowiek cały jest w mowie, to tém sprawiedliwszą jest myśl: iż *cała potęga człowieka w modlitwie*.

Stoń wprawdzie powstając o wschodzie słońca, podejmuje swą trąbę, kogut rozgłośném pianem wita jutrznię; lecz w gruncie przyczyną tego wszystkiego jest ciemne nieoznaczone instynktowe związanie tych istot ze zjawiskami natury, a kto wie, może potrzeba wyciągnięcia i wyprostowania członków. Nie ma tu zeznania, nie ma woli, nie ma uczucia.

I dla tego cały ród ludzki, pragnęlibyśmy wyłączyć z królestwa zwierzęcego, które tylko czującém i poruszającém się nazwać winniśmy, i otworzyć dlań szranki nowego królestwa, królestwa duchowój i religijnej potęgi.

Śmiesznemi nam się wydają niesforne podskoki téj poziomej miłości własnej, która sądzi iż przynając zwierzętom niższy stopień rozsądku, ubliżamy przez to człowiekowi, dla którego Bóg więcej przeznaczył, dając mu potęgę twórczości i uczucie religijne.

Rzućmy tylko okiem na to co wywalczyły przez tyle wieków nauki i sztuki piękne, jaki człowiek potężny wtenczas, kiedy się myślą nad poziom uniesie, i całe mirijady światów ogarnie, gdy gwoli natchnieniu wysnuwa ze swęj piersi nowe światy i proroczą potęgą sięga naprzód na kilka wieków, i wytyka drogę życia narodów, a nie będziemy zazdrościć téj drobnęj okruszyny siły sądzenia, którąśmy zwierzętom zostawili.

Z tego cośmy powiedzieli o różnicy pierwiastków psychicznych człowieka i zwierząt, możemy wyprowadzić wniosek, że zależność moralnéj siły od fizycznych narzędzi, możliwą jest tylko do pewnych granic, a dla tego nauka Kampera, w zastosowaniu swém do rodzaju ludzkiego, bez względu na wielką liczbę potwierdzających ją przykładów, nie może być przyjętą jako prawo niemyślne; gdyż z mylnęj wychodzi zasady, wnioskując z narzędzi o sile, która je porusza, a oprócz tego nauka ta w zastosowaniu swém do królestwa zwierzęcego, w wielu bardzo wypadkach nie zadowolnia potrzeb naukowych, chociaż bowiem ilość mózgu u człowieka stosunkowo znacznie jest większą niż u zwierząt, bywają jednak wypadki dowodnie nas przekonywujące, iż rozrastanie się mózgu w objętość nie jest jeszcze zasadniczą cechą rozwoju sił psychicznych. Naprzykład pies morski więcéj stosunkowo posiada mózgu niż człowiek. Mrówkojad zupełnie obala nieomyślność kąta twarzowego.

Pomimo swych usterek teorja Kampera, ogromną zrobiła przysługę w nauce, otworzyła ona wrota na nową drogę badań, które chociaż niekiedy do myl-

nych doprowadzały wniosków, tém niemniej wiele znakomitych prawd do dziedziny nauki wcieliły, do dziś dnia ma ona swoich zwolenników i swoich wyznawców, jeszcze niedawno Jacquart wymyślił przyrząd do wymierzania kąta twarzowego czaszek — i to z największą dokładnością; musiał przeto wierzyć, że jedna linija wysunięcia kości czaszkowych w tą lub inną stronę musi być znakiem nieomylnym siły odpowiedniej dacha.

II.

Teorje Galla i Karusa więcej daleko mają naukowej podstawy, chociaż punkt wyjścia zostaje ten sam, a mianowicie prawo-wnioskowania z narzędzia o sile je poruszającej.

Teorja Galla jest dźwignią fatalizmu, przypuszcza ona pewną górującą namiętność w człowieku, panującą samowładnie, w obec której wola nie ma znaczenia. Odbierając wolną wolę, ten najwyższy dar Stwórcy dla nas śmiertelnych, niszczy ideę zasługi i występku, bo gdzie nie ma woli, tam i zasługi być nie może.

Oto wyniki z zasad Galla:

Człowiek przychodząc na świat przynosi ze sobą spuściznę złych lub dobrych skłonności.

Skłonności te są mu wrodzone, wszelka przeto walka z niemi jest niemożliwą.

Wola nie tu działać nie może, a zatem zdolność ta jako bezwładna, tak jakby nie istniała.

Gdzie nie ma woli, tam i zasługi nie ma, a również nie ma i występku.

Człowiek, bezbronna ofiara swych namiętności, skrępowany niemi jak galernik łańcuchem, niemogąc podołać sam sobie, staje do walki z towarzystwem.

Towarzystwo mści się na nim, za krzywdy wyrządzone sobie; krzywdy, których on nie jest winien, bo się urodził na to by je wyrządził.

Gdzie nie ma winy, tam i kary być nie może.

Wedle nauki przeto Galla, jeżelibyśmy ją bezwarunkowo przyjęli, musielibyśmy jednocześnie pozbawić towarzystwo prawa nagrody lub kary — w przeciwnym razie byłoby to bezsens; byłoby to samo co karać człowieka za to że oddycha.

W głównej swój zasadzie teoria Galla podkopuje wiekowe filary, na których bezpieczeństwo społeczeństw spoczywa, obudzając w każdym ideę fatalizmu; stawia ją nieprzebytą tamą wszelkiemu doskonaleniu się, gniewając uczucie religijne, które zagrzewa człowieka do poświęcenia i wlewa weń tę otuchę, iż jego usiłowania nie będą bezowocne.

Franciszek Józef Gall urodził się w Württembergu; w roku 1758 ukończył swe wychowanie w uniwersytecie Wiedeńskim na fakultecie medycznym. Jeszcze małym dziecięciem rozwinął w sobie postrzeżalność w wysokim stopniu, rozmaite usposobienia i skłonności kolegów, zwracały na się szczególnie jego uwagę.

Każdy z nich miał sobie tylko właściwe cechy charakteru, których w gruncie ani czas, ani okoliczności zmienić nie mogły; jeszcze w szkołach zrobił postrzeżenie, iż wszyscy jego koledzy którym z ławnością przychodziło uczyć się na pamięć, lecz u których zdolność pojmowania i kombinacyi nie nazbyt

były rozwinięte, mieli oczy wypukłe. Fakt ten sam stwierdził on postrzeżeniami nad kolegami studjów uniwersyteckich; było to pierwsze postrzeżenie które doprowadziło Galla do wniosku; iż każda zdolność musi mieć swój zewnętrzny znak widoczny. Od tego czasu właśnie, rozpoczął on swe studia nad każdą jednostką, która się czémkolwiek wyróżniała od innych, wedle jego zdania cała działalność umysłowa skupiała się w mózgu, każda przeto zdolność musiała mieć swe wyłączone narzędzie, część mózgu stanowiące, do przejawienia siebie na zewnątrz; i o ile ta zdolność była większą, o tyle jej organ powinien był silniej się rozwinąć. Każda przeto zdolność, miała według Galla swe oznaczone, stałe siedlisko w mózgu, i uformowała na jego powierzchni wyniosłość większą lub mniejszą ze względu na silniejsze lub słabsze swe rozwinięcie; wyniosłości te na mózgu musiały wycisnąć na czaszce odpowiednie wypukłości na zewnątrz, z których wedle opinii Galla można już wnioskować o zdolnościach człowieka.

Trzymając się téj zasady Gall podzielił całą czaszkę na dziedziny rozmaitych zdolności i usposobień, z których każda miała na czaszce swą oddzielną wyniosłość i wklęsłość. Kwestja zatem zbadania istoty moralnej człowieka redukowana się, do topografii jego czaszki i do wymiaru objętości i wyniosłości guzów zdolnościowych.

Wszystkie zdolności niższe, służące do ochronienia swojej istoty i rodzaju wedle Galla, miały swe miejsce w tylnej części czaszki, która tém wydatniejszą bywa o ile mniej duchowa strona rozwija

się u człowieka. Murzyni posiadają te części najsilniej rozwinięte. Potwierdza się to jeszcze i na zwierzętach, u których tylna część czaszki silniej się rozwija niż u człowieka.

Główne zasady Galla, do dziś dnia nie zmieniły się, chociaż wielu znakomitych uczonych pracowało nad kranjologiją, i tylko rozwinęło dalej jego zasady, lub zmieniło wnioski podrzędne.

Imiona Spurchejma, Fossati, Grommana, Struve, Chastela, Noela i innych dowodnie świadczą, iż ta nauka miała wielu wyznawców i stronników, którzy z głęboką wiarą w jej rady starali się zbadać zastosowanie praw Galla i potwierdzić je ile można większą ilością przykładów, postrzeżeń i doświadczeń.

Jeżelibyśmy nawet przypuścili, iż główne zasady Galla są nieomyłne, już sama praktyczna strona postrzeżeń stawia niepokonaną zaporę dla tego, by ta nauka doszła kiedykolwiek do pewnego stopnia doskonałości i dokładności. Dla tego by ten cel osiągnąć, trzeba mieć możność robienia postrzeżeń nad jednostkami od ich urodzenia aż do śmierci; i w każdej chwili ich życia mieć prawo zajrzeć wewnątrz ich istoty i zgłębić najzawilsze tajnie ich ducha; trzeba więc by każdy odkrył się przed nami z całą szczerotą, a czyż to możliwe, czyż w głębi piersi nie chowamy małych słabostek, których z własnej woli nie odkryjemy przed drugimi, ale przeciwnie z całą usilnością będziemy je chować i maskować pozorami cnót, pięknymi słowy o poświęceniu i t. p.

Ponieważ już jesteśmy na drodze przypuszczeń, osuwajmy się dalej — zgoda na to, że znalazł się

ludziska co z całą otwartością zechcą wyjawić każde swe zachcenie, każdy popęd; to jeszcze będzie do rozwiązania: czy oni sami dobrze się rozumieją, czy potrafili ocenić i zdać sobie sprawę ze stanowiska i usposobienia swój duchowej istoty.

Ale i to jeszcze nie wystarcza, trzeba mieć jeszcze możność dyssekcowania po śmierci właśnie tych osób, nad których moralną stroną robiliśmy postrzeżenia, dla tego by się dotykalnie przekonać że wnioski nasze nie są płonne, co już jest rzeczą niemożliwą, bo nie od człowieka zależy. Któż zaręczy, że indywidua, które postrzegaliśmy, nas nie przeżyją; a nawet prawdopodobniejszą przypuścić, że muszą przeżyć, gdyż nasze badania nad nimi od kolebki, musieliśmy rozpocząć już w pewnym wieku.

Ile się nam zdaje, podobnych wypadków, bardzo niewiele zdarzyło się spotkać, w całym przeciągu badań kranijoskopijnych.

A i to jeszcze nie wszystko: trzeba jeszcze dokładnie oznaczyć siedlisko zdolności, co wymaga powtórzenia doświadczenia na licznych exemplarzach jednakowo usposobionych i w ten sposób, jakeśmy to wyżej powiedzieli badanych, a i wtenczas nie będzie to jeszcze pewnik, ale tylko prawdopodobieństwo, bardzo niewielkie.

Wymierzając guzy zdolnościowe nową spotykamy trudność: jak go proszę wymierzyć dokładnie, jak oznaczyć jego wysokość, wydatność i szerokość, wtenczas kiedy pomyłka na włos jeden do fałszywych doprowadzi nas wniosków.

Kranijoskopja przeto, wymaga tylu obwarunkowań, iż nie grzesząc zdaje mi się możemy powątpiewać, azali dojdzie kiedy ta nauka do żądanej doskonałości, tém bardziej że w ostatnich czasach doświadczenia Leuret przekonały, że wydatności czaszki nie zawsze odpowiadają wyniosłościom mozgu, dla tego, że pod wydatnością czaszki, na zewnętrznej stronie, nie zawsze bywa wklęsłość na jej stronie wewnętrznej.

Nauka Galla, to pierwsza próba, to tylko pierwszy krok na drodze tych badań, które muszą się wesprzeć na całym zasobie wiedzy ludzkiej, dla tego by stanąć na tym stopniu, że rozwiążą choć w części zawiały kwestją zależności treści od formy, lub formy od treści, co w badaniach naszych na jedno wychodzi.

Daleko ściślej rozwinął pojęcia Galla w bieżącym stuleciu Karuss. Pierwsze pomysły do jego teoryi spotykamy u Bojanusa niegdyś profesora uniwersytetu wileńskiego w jego dziele: *Parergon ad Bojani anatomem testudinis, cranii vertebratorum animalium, scilicet piscium reptilium, avium, mammalium, comparisonem faciens.*

Porównywając budowę czaszki od ryb poczynając, aż do człowieka, uczony professor położył kamień węgielny teoryi Karussa. Pojęcia Bojanusa, o przeznaczeniu mozgu i jego ustroju anatomicznym cechują się ścisłością poglądu i dokładnością; na nich to opiera Karuss główne zasady swój teoryi, w której ten uczony starał się dopełnić naukę Galla, i dać jej więcej ścisłości i powagi naukowej, na sumiennych

badaniach opartój, i dla tego teoria jego więcej ma prawdy za sobą niż nauka Galla, chociaż bardzo się mało od niej różni i jest jakby dalszym tylko jej ciągiem.

Oto są główne zasady téj teorii. Badając czaszkę najprzód rzuca się w oczy jej skład jakoby z trzech zrośniętych ze sobą kręgów utworzony. U żółwi ta troistość jest widoczną. Myśl ta rozwinięta pierwotkowo przez Bojanusa, a później artystycznie wypowiedziana przez Okena i Goethego, posłużyła za punkt wyjścia dla teorii Karussa; tém bardziej, że tę samą troistość postrzegał on i w budowie mózgu.

Z każdój z trzech głównych części mózgu bierze początek jedna para ważniejszych nerwów: z mózdzka wychodzi para nerwów słuchowych, ze wzniesienia poczwornego (Quadrigemina) nerwy widzenia, a z półkul mózgowych nerwy powonienia. Prawo to troistości części składowych mózgu, daleko widoczniej się ukazuje w zarodku niż u człowieka dojrzałego, a ponieważ czaszka później się niż mózg rozwija, nie podlega przeto wątpieniu, iż troisty skład czaszki troistości mózgu jest skutkiem.

W dziedzinie ducha spotykamy tę samą troistość, trzy potęgi myśli, uczucia i żądz na każdy nasz postępek wpływają; szczęśliwy, kto umiał te trzy siły utrzymać w równowadze; skoro bowiem którakolwiek bądź z tych władz rozwija się potężniej kosztem innych, w takim razie można sięgnąć po laury lub wawrzyny, można ludzkość poprowadzić na drodze przyszłości, ale swą dolę trzeba własnymi zgrychotać rękami; bo przygnębione władze w nieustan-

nym rokoszu, będą szamotać piersią wybrańca i nie jedną krwawą łzę wycisną mu z pod powieki; nie raz wyrzucą go z normalnej kolei; w krainach ducha te same rządzą prawa co i w świecie materii; gwałt się gwałtem odpiera, i prawo Mariota, co do sprężystości powietrza, bodaj że słusznie dałoby się zastosować i do zwalczonych lecz niezniszczonych władz ducha.

Gdzie nie ma zrównoważenia potęg duchowych, tam musimy być co chwila świadkami niesfornych a szalonych, świetnych a dziwacznych, genialnych lub zwierzęcych wyskoków; bo życie całe będzie migotać i mienić barwami jak chameleon; świat zewnętrzny swojemi wpływami raz jednej to znowu innej z potęg duchowych zabezpieczy zwycięstwo w ich walce nieustannej, a i to zwycięstwo to nocleg w kraterze wulkanu, gdzie pod naszymi stopami, siły podziemne szamocą ziemnymi pokłady, lawa kipi, wre — i biada ci wędrowcze jeżeliś zaufał temu chwilowemu spokojowi, jeszcześ ledwo zmrużył powieki, ledwie nad twą rozmarzoną głową zaczęły bujać cudne nadpowietrzne, świetlane obrazy sennych widziadeł, już dokoła ciebie zniszczenie, ukryte potęgi zerwały wędzidło i hulaszczą a gwałtownie używają swobody.

Troistość duchowa widoczna dla każdego oka coby chciał, trochę głębiej zajrzeć we swą własną i w pierś swych bliźnich; potwierdza się jeszcze ściśle naukowym sposobem. Karuss bada przejawy tej troistości, w całym szeregu istot żyjących w stosunku do anatomii porównawczej i psychologii, ba-

dając stopniowe rozwijanie się jednostki a także i całego rodzaju, względnie do plemion, płci, chorobliwych i kalekich exemplarzy, a także stosunkowo do doświadczeń dokonanych nad żyjącymi zwierzętami.

Skoro doświadczenia takowe potwierdzą tę odpowiedność troistości materjalnej i duchowej, wszelkie zwątpienie musi ustąpić placu.

U zwierząt prościej uorganizowanych, rozwija się tylko supetek nerwowy, od którego biorą początek nerwy widzenia i dla tego posiadają one niejasne poczucie, bez dokładnego pojmovania, przednie półkule mozgowe rozwijają się tylko odpowiednio do rozszerzenia się granic sądzenia, mózdzek odpowiednio do objawu silnej ruchliwości, i dla tego tę część mózgu, niektóre zwierzęta posiadają silniej rozwiniętą niż człowiek, u którego przednia część mózgu wybujała i przytłoczyła wszystkie inne części.

Czyż nie widocznym tu jest stopniowanie w rozwoju poczucia, myśli i woli. Fakt podobny spostrzegamy i w stosunku do płci. Chociaż bowiem u kobiet mózg jest znacznie mniejszy niż u mężczyzn, lecz winniśmy zwrócić naszą uwagę na to zjawisko, iż gdy u mężczyzn przeważają przednie części, u kobiety górują w rozwoju środkowe płaty mózgu. Nie potrzebujemy zdaje się przypominać naszym czytelnikom, iż poczucie piękna jednym słowem strona uczuciowa jest wyłączną kobiet spuścizną, wtenczas kiedy potęga myśli, sądzenia i wola są mężczyzną udziałem.

Przypatrzmy się głowie kobiety, jaka tu miękkość konturów, zaokrąglenie; gdy przeciwnie głowa

mężczyzny z wysunięciem naprzód kątowatém czołem, jest pozbawioną téj estetycznie pięknej formy.

Godnym uwagi jest fakt, że szerokość czoła jest oznaką idealnej, kobiecej uczuciowej strony, gdy przeciwnie wyniosłość czoła jest cechą męskości. Dziwnie rażąco — odbiło się to prawo na czaszkach idealisty — filozofa, poety Szyllera i ściśle uczonego, wiecznie analizującego Goethego.

Do tych samych wniosków doprowadza nas badanie czaszek rozmaitych plemion rodzaju ludzkiego.

Postawmy obok siebie czaszkę Europejczyka i murzyna — jakaż to ogromna różnica w rozwoju; w pierwszej widzimy jakby piętno przewodnictwa ludzkości całej na drodze cywilizacji; w drugiej wybitnie się wykazały potęga plastycznej strony życia w tylnej części czaszki i zwierzące popędy w wysuniętych naprzód szczękach. Na pierwszej widzimy ślady potęgi myśli, na drugiej wybijania materji. Różnica ta w rozwoju stosunkowym trzech części składowych mózgu, odbiła się widocznie we wszystkich przejściach życia rozmaitych plemion rodu ludzkiego. Chciejmy tylko zajrzeć w historję a łatwo się przekonamy, iż założenie nasze potwierdza fakta, w obec których wszelkie zwątpienie musi zamilknąć. W Europie zjawiały się kolejno trzy zupełnie różne plemiona i każde zostawiło pamiątkę po sobie, na wszystkiém do czego się tylko dotknęto; całe stulecia nie mogą zniszczyć tego piętna jakie one zostawiły po sobie.

Plemie Kaukazkie, w którém przeważał twórczy pierwiastek, górowało nauką i poczuciem piękna;

Mongolskie, przerażało swą siłą materjalną, niosło wszędzie mord i pożogi; było to wcielenie pierwiastku zniszczenia, i dla tego gdzie tylko przeszło, głos nauk i sztuk pięknych przygłuszony szczękiem oręża, zaniemiał — a natomiast wyłoniły się przemoc, gwałt i niewola, jako nieodstępni towarzysze siły, tylko materjalnej. Maurowie raz tylko przebiegli Europę i zostawili po sobie pamiątki budownictwa i ducha rycerskiego. Była w tém plemienu potęga materjalna, wraz z uczuciowością połączona, ta sama uczuciowość pod palącemi promieniami zwrótnikowego słońca, w pożar zmysłowy się zmienia, a wśród uroczych gajów Hesperii, rozlewa się w uroczej piosnce, lub w cudnej Alhambrze plastyczną modłą ku niebu wystrzeli.

Zachodzi teraz pytanie, czy nauka Karusa zgadza się z postrzeżeniami fizjologii doświadczalnej?

Wiwiskeje dowiodły, iż przy naciskaniu półkul mózgowych, w zwierzęciu się objawia ospałość, ociężałość, ogłupienie; przez obrażenie części środkowej, osłabienie wzroku i rozstrój w trawieniu; związek ten łącznie nam wytłómaczy morską chorobę, w której tylko zmysł widzenia obrażając się powoduje nudzenie i stan chorobliwy; od obrażenia mózdzka zwierzę traci zdolność ruchu; nie może ono chodzić, ani nawet trzymać się na nogach.

Oto są ogólne wypadki doświadczeń, wcale nie podkopujące zasad Karusa.

Porównywając ze sobą czaszki takich ludzi jak Szyller, Goethe, Kant, Ehrenberg, Torwaldsen, Tieck, Tayllerand, Napoleon i t. p. Karus jeszcze bardziej dowiodł swych zasad.

Teorya jego jako niewdająca się w detale, ale ograniczająca się na ogólnych zasadach, więcej niż inne zasługuje na wiarę; gdyż wszystkie jej prawa oparte są na ścisłych a sumiennych studjach naukowych, i nigdzie nie spotykamy domniemań, z własnych urojeń wysnutych, ani też opiii a priori, oczekujących jeszcze potwierdzenia, którego kto wie czy się kiedy doczekają.

K O N I E C.

Spis rzeczy.

	<i>Stron.</i>
Klaudya. Dramat we trzech aktach	1
Pieśń Mirzy	113
Kaprys, Komedia w jednym Akcie	149
Waryacje z tematu Jerzego Sanda	203
Przesiedlenia	247
Kamper, Gall i Karus	285



